

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik ● 2 (74)/2016

Łódź 2016



Wydawca:
Urząd Miasta Łodzi
Biuro Informacji i Komunikacji Społecznej

Redakcja:
Gustaw Romanowski — redaktor naczelny

W zredagowaniu numeru uczestniczyli:

Koncepcja i koordynacja:
Błażej Filanowski

Współpraca redakcyjna:
Małgorzata Golicka-Jabłońska

Projekt typografii i okładki:
Andrzej Chętko

Korekta:
Adriana Grzelak-Krzymianowska

Zdjęcia:
Autorzy, Archiwum UMŁ, materiały prasowe

Skład i druk: Drukarnia WIST
95-100 Zgierz, ul. Barona 8 B

Łódź, 2016

Redakcja:
Kronika Miasta Łodzi, ul. Piotrkowska 113, prawa oficyna
90-430 Łódź, tel. (42) 638-44-39
e-mail: kronika@uml.lodz.pl

ISSN 1231-5354

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzegamy sobie prawo
do zmian i skrótów.

Kronika jest pismem bezpłatnym i nie jest przeznaczona do sprzedaży.

Spis treści

<i>Hanna Zdanowska</i> , Łódź kandydatem do organizacji EXPO 2022!	5
<i>Andrzej Chętko</i> , Nasza okładka	7
pierwsze kolumny	9
<i>Błażej Filanowski</i> , Miasto na skrzyżowaniu szlaków	11
Rozmowa z Tomaszem Jakubcem i Wojciechem Michalskim	
<i>Przemysław Waingertner</i> , Łódzkie migracje po drugiej wojnie światowej	23
<i>Krzysztof Paweł Woźniak</i> , Gorzkie losy	39
<i>Piotr Wysocki</i> , Łódzkie drogi Rosjan	45
<i>Kamil Śmiechowski</i> , Łódź i Warszawa	57
<i>Błażej Filanowski</i> , Architektoniczne ślady migracji	64
kultura	71
<i>Dominika Łarionow</i> , 22. edycja festiwalu Ewy Piławskiej	73
<i>Olga Łabendowicz</i> , Nowa edycja filmowego festiwalu	77
<i>Gustaw Romanowski</i> , Retrospektywa Andrzeja Gieragi	85
<i>Błażej Filanowski</i> , 15. Międzynarodowe Triennale Tkaniny	91
<i>Paulina Dzwonkowska</i> , Niezwykła wystawa w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym	97
<i>Błażej Ciarkowski</i> , Realizacje i projekty Jakuba Wujka	104
<i>Karol Józwiak</i> , Problematyczna wystawa w Atlasie Sztuki	111
<i>Monika Nowakowska</i> , Włodzimierz, Jolanta, Rafał Ciesielscy	117
historia	123
<i>Wojciech Źródłak</i> , Nowe fakty o Aleksym Rzewskim	125
<i>Bartosz Bijak</i> , Nieudany werbunek	133
łódzkie organizacje pozarządowe	141
<i>Bożena Pellowska-Chudobińska</i> , 130 lat Stowarzyszenia Śpiewaczego Harmonia	143

	wspomnienia	155
	<i>Paweł Patora, Stanisław Liszewski (1940–2016)</i>	157
	<i>Anna Kuźnicka, Andrzej Jędrzejczak (1950–2016)</i>	161
	<i>Maria Sondej, Ewelina Nurczyńska-Fidelska (1938–2016)</i>	164
	<i>Maciej Cholewiński, Jacek Ojrzyński (1940–2016)</i>	168
	recenzje	171
	<i>Tomasz Czarnecki, Strajk studencki w Łodzi '81</i>	173
	<i>Błażej Filanowski, Monografia Bolesława Kardaszewskiego</i>	178
	<i>Mieczysław Kuźmicki, Sejsmograf duszy, czyli kino według Marii Kornatowskiej</i>	183
	<i>Maria Sondej, Jerzy Skrzepiński. Ostatni z wielkich</i>	187
	<i>Mieczysław Kuźmicki, Murale, sztuka ulicy</i>	191
	osiedla, domy, ulice	195
	<i>Dariusz Kędzierski, Kopcińskiego</i>	197
	<i>opracowała Małgorzata Golicka-Jabłońska, Z łódzkiego raptularza</i>	205

Łódź kandydatem do organizacji EXPO 2022!

Zgłoszenie kandydatury Łodzi do organizacji wystawy EXPO Internacional to jedno z najważniejszych wydarzeń w najnowszej historii naszego Miasta. Możliwość ubiegania się o uzyskanie statusu gospodarza wystawy światowej jest wyrazem uznania dla zmian, jakie zaszły w Łodzi w ciągu minionych kilku lat, a także potwierdzeniem ogromnego potencjału, jaki niosą ze sobą dwa strategiczne projekty realizowane przez Łódź: rewitalizacja Miasta oraz budowa Nowego Centrum Łodzi.

To, co jeszcze kilka lat temu było absolutnie nie do wyobrażenia, staje się faktem. Podczas Zgromadzenia Generalnego Międzynarodowego Biura Wystaw w Paryżu, Łódź dołączyła do elitarnego grona miast, które mogą ubiegać się o organizację jednego z najważniejszych wydarzeń o charakterze globalnym.



Polska delegacja w Paryżu. Na zdjęciu m.in.: prezydent Hanna Zdanowska (druga od lewej) wicepremier minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński i sekretarz generalny Międzynarodowego Biura ds. Wystaw Światowych Vicente Gonzales Loscartales

Chcę serdecznie podziękować wszystkim osobom, które przyczyniły się do tego, że Rząd Rzeczypospolitej Polskiej przyjął uchwałę w sprawie złożenia polskiej kandydatury, a Pani Premier Beata Szydło złożyła podpis pod Listem Notyfikującym.

Zarówno ja, jak i wszyscy Łodzianie, jesteśmy niezmiernie wdzięczni Pani Premier za decyzję przychylną Łodzi i ważną dla przyszłości naszego Miasta.

Chciałabym serdecznie podziękować także panu Premierowi Piotrowi Glińskiemu, Ministrowi Spraw Zagranicznych Witoldowi Waszczykowskiemu oraz Panu wiceministrowi Radosławowi Domagalskiemu-Łabędzkiemu, bez których poparcia, zaangażowania i operacyjnej współpracy złożenie aplikacji nie byłoby możliwe.

Przez niemal 3 lata, od momentu, gdy premier Donald Tusk oraz Elżbieta Bieńkowska poparli pomysł organizacji wystawy, przeszliśmy razem długą drogę. Przeprowadziliśmy niezbędne analizy, opracowaliśmy koncepcje i projekty. Zaangażowaliśmy mieszkańców, ekspertów, międzynarodowych gości w przygotowanie doskonałej promocji wystawy, dotyczącej rewitalizacji miast. Przez ten czas zmieniliśmy także sposób, w jaki Łódź postrzegana jest w innych miastach, w stolicy i jak patrzą na nas instytucje centralne.

Chcę jasno i mocno podkreślić, że nie jesteśmy faworytem tego wyścigu. W każdej chwili może pojawić się kandydat z ogromnym budżetem, a wtedy o zwycięstwo będzie bardzo trudno. Do decyzji pozostał jeszcze ponad rok, dużo może się wydarzyć. O wyborze Miasta Gospodarza zadecyduje bardzo wiele czynników, a nie na wszystkie mamy wpływ.

Chcę jednak Państwa zapewnić, że Łódź zmienia się i będzie rozwijać bez względu na to, czy dostaniemy Expo, czy nie. Organizacja wystawy tylko przyspieszy niektóre procesy, pozwoli zrobić je z większym rozmachem, a w 2022 roku może odwiedzić nas w ciągu 3 miesięcy około 8 mln turystów.

Hanna Zdanowska
Prezydent Miasta Łodzi

Fragment listu do Rady Miejskiej w Łodzi z 10 czerwca 2015

Nasza okładka

czyli o łodzianach z importu

Kiedy okazało się, że okładka jubileuszowej (25 lat) Kroniki Miasta Łodzi dedykowana jest migracjom, poczułem satysfakcję. Uważam się za łodzermenscha, choć pochodzę z innego, zupełnie do Łodzi niepodobnego miasta. Także moi rodzice, zesłani do Łodzi przez komunę, urodzili się daleko stąd. Z Podkarpacia przyjechała tu na studia moja żona. Zdecydowałem pokazać 25. losowo wybranych przyjaciół i znajomych łodzian, pytając ich (często po raz pierwszy), skąd pochodzą. Wiedziałem, że koncept taki wymusi pytanie: „Kim są te osoby”, i wymagać będzie komentarza.

Najprościej mówiąc, jest to konstrukcja inspirowana facebookową frazą o „znajomych Twoich znajomych, których możesz znać”. To nowy rodzaj społecznościowej gry towarzyskiej. Dyskomfort konieczności wyboru (25 lat to dużo, 25 znajomych to tak niewiele) zredukował w dużym stopniu czas wakacji. Kilka telefonów, kilka zaczepki na fejsie kończyło zawsze: „Tak, ale za miesiąc, bo nie ma mnie w mieście”. Ucieszyła mnie ta pozorna komplikacja. Dyscyplina przypadku, ciekawość, kogo w tym krótkim, danym mi czasie zdążę spotkać, wciągnęła mnie do gry. Odłożyłem na półkę notes z adresami i poszedłem do sąsiadów mojej pracowni na kawę. Na balkonie, przy zapadającym zmroku, zrobiłem pierwsze zdjęcie na okładkę. Jedyne, gdzie w kadrze są dwie osoby.

Darek J. (1) jest z Piotrkowa, z sieradzaninem Romkiem Ch. (2) tworzą projektowy team Transmode. Nim skończyliśmy naszą „sesję”, przyszedł Adam K. (3), znany w środowisku jako Dziarka, z miasteczka Chociw Łaski. Potem odwiedziłem Joannę W. (4) z Kielc, sąsiadkę w kamienicy, gdzie mieszkam. Gdy słyszę z góry jej śpiew z akompaniamentem fortepianu, wiem, że jest tam Taras z żoną Halinką (5) z Drohobycza. Idę wtedy wyciągnąć ją do Arshaka S. (6) na ormiański obiad i pogaduszki o morwowych i dereniowych nalewkach. Kiedy odwiedzam Rene T. (7), rozmawiamy z kolei o kuchni jego mamy w Kongo i nietoperzach. Nieoczekiwanie odwiedza mnie Barnaba B. (8), anarchista z Monzy, łodzianin z wyboru. Jak to Włoch spędza mnóstwo czasu na gotowaniu i degustacji win. Uroda Marty E. (9) puentuje moją słabość do kucharzy. Po Harvardzie zamieszkała w Australii, zdecydowała się jednak wrócić do Anglii. Na szczęście po drodze zahaczyła o Łódź i już tu została. Kasia Ż. (10) z Kalisza jest mamą koleżanki z klasy mojej córki. O klasę niżej uczy się też córeczka Rodrigo A., łodzianina z Chile (11). Ma na imię Apolonia, jak moja mała. Eugenię (12) z Ałma Aty,

lekarke, poznałem także na dziecięcych zajęciach z baletu. Agnieszka (13) z miasta Meksyk pracuje w ASP. Gdy szliśmy przez woonef, zawołała: „Spójr! Fotel Acapulco, ikona meksykańskiego designu”. Poprzez ASP poznałem jeszcze trzy dziewczyny z okładki. Elina T. (14) jest z Sofii, uczy w Filmówce ruchu scenicznego. Jest instruktorem walk i wielkim wojownikiem. Martyna J. (15), studentka, przyjechała z Olsztyna. Odnosi pierwsze sukcesy zawodowe. Waha się, czy wrócić na Warmię, Halinka T. (16), Polka z Białorusi, wie natomiast, że zostanie. Mariusza G. (17), który przyjechał z Cieszyna, aby zostać rektorem najstłynniejszej łódzkiej uczelni, poznałem dzięki Grzegorzowi M. (18) z Pałuk, jednemu z najbarwniejszych ludzi naszego miasta. Kiedy pozował mi w ogrodzie Muzeum Książki jego kustosz, Paweł T. (19) ze Szczecina, opowiedział mi o zaskakującym powodzie swoich przenosin do Łodzi. Adam R. (20) z Brodnicy (dla przyjaciół Mamut) przyjeżdżał do Łodzi za paradami techno. Osiadł jednak jako promotor komiksu. Wspominaliśmy te czasy, siedząc w kominie chłodniczym EC-1. Tomek R. (21) urodził się w Warszawie, należało by jednak powiedzieć, że pochodzi z Gardzienic. Pszczelarz, który jak nikt inny zasłużył na tytuł wielkiego Łodzianina (wielką literą właśnie), Łukasz O. (22), to kolejna postać z Piotrkowa. Przed laty był moim uczniem, dziś szczerze podziwiam go jako artystę. Juliet M. (23) poprosiła o pomoc w akcji „stop boknal”. Zgodziła się na każdą koncepcję zdjęcia, byle widać było flagę jej rodzinnej Etiopii. Na koniec listy reprezentacja mniejszości, czyli łodzianie urodzeni w Łodzi. Na pierwszej stronie okładki Zorak (24), absolutny mistrz beatboxu, a z tyłu Jacek (25), sztandar Marynarzy Łodzi, autor hymnu miasta, człowiek instytucja. Mówi się, że kto nie zna Bielasa, tylko udaje łodzianina. Tak więc ilu mamy wspólnych znajomych?

PS. Numery przy zdjęciach nie odpowiadają miejscom na okładce. To by było zbyt proste.

Andrzej Ch. (0) z Lublina

pierwsze kolumny

Miasto na skrzyżowaniu szlaków

*O migracji, demografii i rewitalizacji z dyrektorem Tomaszem Jakubcem
i doktorem Wojciechem Michalskim z Biura Strategii Urzędu Miasta Łodzi, rozmawia*

Błażej Filanowski

str. 11

Łódzkie migracje po drugiej wojnie światowej

Miasto to samo, lecz nie takie samo

Przemysław Waingertner

str. 23

Gorzkie losy

Łódzcy Niemcy, Łódzcy Żydzi

Krzysztof Paweł Woźniak

str. 39

Łódzkie drogi Rosjan

Exodusy i powroty

Piotr Wysocki

str. 45

Łódź i Warszawa

Historia trudnego siostrzeństwa

Kamil Śmiechowski

str. 57

Architektoniczne ślady migracji

Szukając autentycznych miejsc

Błażej Filanowski

str. 64

Miasto na skrzyżowaniu szlaków

O migracjach, demografii i rewitalizacji z dyrektorem Tomaszem Jakubcem i doktorem Wojciechem Michalskim z Biura Strategii Urzędu Miasta Łodzi rozmawia Błażej Filanowski.

– W statystykach dotyczących demografii Łodzi obserwujemy od dłuższego czasu tendencję spadkową. Jaki udział mają w niej wyjazdy łodzian z miasta?

Wojciech Michalski: Trwający do dziś spadek liczby mieszkańców Łodzi zaczął się w 1988 roku; byliśmy pierwszym dużym miastem w Polsce, które odnotowało takie zjawisko. Tempo spadku ludności jest dziś umiarkowane i sięga około jednego procenta rocznie. Co do struktury tego spadku, to 80 procent ubytku ludności wynika z przyczyn naturalnych. Po prostu rodzi się mniej łodzian (ok. 6 tysięcy rocznie), niż ich umiera (10–11 tysięcy rocznie). Wyjazdy z Łodzi stanowią około 20 procent ubytku ludności przy proporcjach czterech tysięcy przyjeżdżających do miasta i pięciu tysięcy z niego wyjeżdżających.

– Emigracja nie jest więc decydującym elementem, który powoduje zjawisko wyludniania się Łodzi, największy problem stanowi kwestia demografii. Czy zatem niekorzystne saldo migracji wyraźniej uwidacznia to zjawisko?

WM: Mówiąc o problemie migracji, trzeba zaznaczyć, że połowa wyjeżdżających z Łodzi osiedla się w granicach aglomeracji łódzkiej. Czyli pozostają w naszej sferze usług, kultury, opieki zdrowotnej i komunikacji, ale nie płacą w Łodzi podatków. To powoduje pewien dyskomfort, ponieważ Łódź świadczy na ich rzecz



usługi, nie otrzymując za to odpowiedniej rekompensaty. To niestety problem wynikający ze struktury systemu podatkowego w całej Polsce.

Tomasz Jakubiec: Między innymi dlatego walczyliśmy o ustawę metropolitalną. Ona dawała możliwość uzyskiwania dochodów z podatków PIT, ale liczonych od aglomeracji. Nasza aglomeracja liczy powyżej 1 100 000 mieszkańców. Jesteśmy dużym zurbanizowanym ośrodkiem o wspólnych uwarunkowaniach i przeplatających się funkcjach, a także zwartym obszarem, najbardziej kompaktowym w całej Polsce.

– Czyli potencjał aglomeracji jest całkiem obiecujący, ale nie może być odpowiednio wykorzystany?

TJ: Działamy w ramach stowarzyszenia Łódzki Obszar Metropolitalny i w nim, zgodnie ze wspólną strategią, realizujemy Zintegrowane Inwestycje Terytorialne. Wciąż jednak nie ma ustawowych mechanizmów dających możliwość władztwa nad tym obszarem, choćby w pewnych ograniczonych kwestiach, takich jak komunikacja i partycypacja w kosztach jej utrzymania. Odpowiednia ustawa została już uchwalona w poprzedniej kadencji, ale niestety nie wydano do niej rozporządzeń wykonawczych, wciąż jest na etapie konsultacji parlamentarnych i nie wiadomo, czy nie nastąpią w niej zmiany. Daje ona narzędzia finansowania aglomeracji, czyli jej

wspólny budżet. Byłaby szansa na pobieranie pięciu procent z podatku PIT z całego obszaru aglomeracji na rzecz nowej jednostki – Związku Metropolitalnego. W naszym przypadku mogłoby to dawać ponad 250 milionów złotych rocznie.

– Czyli jednym słowem granice administracyjne i regulujące je prawo nie pokrywają się z rzeczywistością i potrzebami współczesnych terenów zurbanizowanych?

WM: Łódź otoczona jest czterema powiatami – taka struktura istnieje jeszcze tylko w aglomeracji warszawskiej. Zwykle miasta mają jeden powiat miejski i jeden „obwarzankowy”. U nas zamiast dwóch podmiotów musi dogadać się pięć, co nieco utrudnia integrację.

TJ: Licząc wszystkie jednostki – nie tylko powiaty, ale i gminy – mówimy w sumie o 37 jednostkach samorządu terytorialnego. Wśród nich są gminy miejskie, miejsko-wiejskie i wiejskie. To wszystko składa się na dość skomplikowany twór wynikający z ustawy o samorządzie terytorialnym. Na poziomie administracyjno-organizacyjnym taka sytuacja prosi się o lepsze rozwiązania. Bo dlaczego ludzie przeprowadzają się poza granice Łodzi? Jeśli gdzieś istnieje w miarę dogodna komunikacja z miastem, mogą szybciej i często taniej zbudować dom, a z drugiej strony zrealizować swój sen o podmiejskiej „lepszej jakości życia” na własnym kawałku ziemi. To jednak powoduje masę problemów, takich jak zatłoczenie głównych arterii drogowych w godzinach szczytu.

WM: Druga sprawa to problem ekologiczny. Na dużej przestrzeni przy rozproszonym osadnictwie poprowadzenie na przykład kanalizacji to koszt porównywalny z budową samych domów.

– Czy wobec tego należy powstrzymać proces rozlewania się miasta?

TJ: Jeśli pozwolimy na dalsze rozproszenie, to budżetowo nie udźwigniemy takiej struktury. Trudno nam będzie inwestować w jakość, a jeśli będziemy chcieli mieć wszystkie udogodnienia na bardzo dużym obszarze, to szybko zbankrutujemy.

– Polityka miasta jest więc taka, żeby jak najwięcej ludzi mieszkało w jego granicach, a najlepiej w centrum, ale to nie jest w interesie ościennych gmin. Czy nie dlatego trudno się obecnie w tych sprawach porozumieć?

WM: Oczywiście, że to nie jest w interesie ościennych gmin, a brakuje narzędzia, które pozwoliłoby na racjonalizowanie gospodarki przestrzennej w obszarze metropolitalnym. Obszar metropolitalny jest zjawiskiem faktycznym. Jako jedyna struktura osadnicza w Polsce nie ma swojej administracyjnej struktury. Między jednostkami takimi jak powiat i województwo brakuje jednostki dla obszarów wielkich aglomeracji. Według obliczeń Miejskiej Pracowni Urbanistycznej w okolicach Łodzi może zamieszkać około miliona osób. Czyli praktycznie możemy na te obszary wysiedlić całą Łódź i jeszcze zaprosić dodatkowych mieszkańców. Tu mamy do czynienia z intelektualnym wyborem. Już dawno doszliśmy do przekonania, że nie można pozwalać na degradowanie środowiska naturalnego. W zakresie gospodarki przestrzennej powinniśmy myśleć podobnie. Przestrzeń jest dobrem wspólnym, które legalnie zawłaszczamy, ale nie możemy jej degradować. Działamy na rzecz jakości powietrza, na przykład wymuszając instalowanie nowego typu ogrzewania, natomiast tym, których stać na szkodliwe działania przestrzenne, mówimy: „róbcie, co chcecie”.

– W takim razie co w pierwszej kolejności należałoby zrobić, aby zatrzymać trwający proces rozlewania się miasta?

TJ: Można na to spojrzeć z krajowego punktu widzenia. Mamy problem z warunkami zabudowy, prawo nie daje możliwości ich niewydania w wielu miejscach, gdzie warto byłoby tak postąpić. A miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego, opracowane dla całych miast, wyczerpały się w 2000 roku. Obecnie,



mimo wielkiego zaangażowania w ich tworzenie, w samej Łodzi mamy zaledwie 20 procent pokrycia planami zagospodarowania.

– *A ideałem byłby plan zagospodarowania całej aglomeracji?*

TJ: Pewnie tak. W ramach ustawy mówiono o ramowym studium planistycznym, które dawałoby pewien bilans, chociażby terenów pod zabudowę. To byłaby zmiana w dobrym kierunku, ale aby rozwiązać wszystkie sporne sprawy między gminami, musiały zostać zbudowany mechanizm kompensujący straty tym, którzy musieliby zrezygnować z pewnych działań, na przykład z wydawania pozwoleń na budowę.

– *Pewnie Łódź musiałaby dopłacać ościennym gminom za rezygnację z pewnych korzyści. Tylko skąd brać na to środki?*

WM: Od 1988 do 2013 w Łodzi ubyło 140 tysięcy mieszkańców, a równocześnie powierzchnia użytkowa mieszkań wzrosła o 4,3 miliona m² (czyli o około 30 procent). Dziś na łodzianina mamy jej 9 m² więcej. Co z tego wynika? Jeśli mamy 9 m² więcej, to musimy intensywniej pracować, żeby je utrzymać. Podwyższenie jakości miejsc pracy to wyzwanie, które stoi przed Łodzią. Przy czym zaznaczam, że musimy nie tylko utrzymać liczbę miejsc pracy przy spadającej liczbie ludności, ale potrzebujemy ewidentnie lepszych miejsc pracy.

Przedsiębiorcy (choćby w sektorze usług) chętniej inwestują w miastach, których mieszkańcy mają dużą siłę nabywczą. Tego Łódź nie gwarantuje, więc czym może przyciągnąć, jeśli nie niższymi płacami?

WM: Łódź w tej chwili musi zrozumieć, że atut miasta, jakim była tania siła robocza, już się wyczerpał. Co dziś może stanowić o konkurencyjności Łodzi? Przede wszystkim położenie: miasto leży przy skrzyżowaniu najważniejszych arterii, w przyszłości być może z centralnym lotniskiem. Miejmy nadzieję, że też w ważnym punkcie w systemie kolei, z węzłem przeładunkowym z Chinami. Trudno to dziś jeszcze przesądzać, ale patrząc na pierwszy kursujący z Chin pociąg, możemy mieć pewne nadzieje. Drugi atut miasta to nasi absolwenci. Zakładamy w naszej polityce demograficznej, że poziom kształcenia będzie wysoki w stosunku do innych uczelni w Polsce. Jest to zarówno szansa, jak i wyzwanie stojące przed środowiskiem akademickim. Dzisiaj nie oznacza to, że trzeba mieć potężny kapitał, by tworzyć zatrudnienie – wiele innowacyjnych miejsc pracy nie wymaga wielkich nakładów finansowych. W polskich warunkach nie jest jeszcze łatwo pozyskiwać środki na startupy, ale jeśli są to prawdziwe innowacje, to i pieniądze mogą się na to znaleźć. Trzeci element to rewitalizacja miasta.



Chcemy, aby warunki życia w Łodzi były na takim poziomie, abyśmy mogli powiedzieć, że jesteśmy równi innym aglomeracjom, ale rozwijamy się szybciej. Dlaczego szybciej? Żeby ściągnąć do miasta nowych mieszkańców, nie trzeba rozwijać się szybko, ale szybciej niż konkurencja. Konkurentów mamy silnych, takich jak Warszawa, a współpraca między miastami pozostaje na razie w sferze naukowej...

– To znaczy w sferze rozważań czysto teoretycznych czy badawczej współpracy naukowej?

WM: I jednego, i drugiego, użyłem tego sformułowania celowo. Warszawa nie widzi wciąż potrzeby uzyskania wzajemnych korzyści wynikających z efektu skali. Jeśli Warszawa robi coś w kierunku Łodzi, to jest to raczej rodzaj drenażu niż współpracy obopólnej.

– Czyli wciąż na papierze mamy pomysł duopolis, który dzięki synergii obu miast miał nam pozwolić konkurować z największymi ośrodkami miejskimi Europy...

TJ: Może tak kiedyś będzie, ale co to znaczy synergia? W tej chwili możemy mówić o współpracy w przypadku rewitalizacji. Dla nas to proces kluczowy

w samej wielkomięjskiej strefie, a dla Warszawy – kwestia ożywienia Pragi. Podkreślić trzeba, że warszawskie firmy korzystają z łódzkiej strefy ekonomicznej. Niemniej ta bliskość przy roli Warszawy jako ogólnopolskiego dominatora ma znaczenie. Wskaźniki pokazują, że istnieje odpływ ludzi w kierunku Warszawy, ale on nie ma tak dużego znaczenia w kontekście liczby ludności Łodzi. My jesteśmy w takim momencie – być może przełomowym – że musimy znaleźć swoje miejsce w tym procesie. Rola Warszawy jest już wyraźnie określona: to stolica i gospodarcze centrum kraju, miasto siedzib kluczowych instytucji. Zabiegi związane z rewitalizacją pozwalają wykorzystać różnice w konkurencyjności, w zarobkach, stawkach, cenach wynajmu przestrzeni. To, co dzieje się w kontekście rewitalizacji, chociażby dworzec, który połączy dwa centra miast, to zupełnie nowa jakość. Również autostrady dają możliwości, które dopiero się przed nami otwierają. Mamy ciekawy przykład relacji duńskiej stolicy Kopenhagi i szwedzkiego Malmö. Między miastami istniał szereg różnic w cenach mieszkań, wynagrodzeniach, dodatkowo jeszcze wchodziły w grę kwestie kursu waluty. Zbudowanie mostów między tymi miastami spowodowało, że Malmö, borykające się ze spadkową tendencją ludności, w ciągu dwóch dekad zwiększyło swoją liczebność o ponad 100 tysięcy mieszkańców. To pokazuje, że różnice potencjałów mogą być korzystne dla biedniejszych miast. W przypadku Łodzi, gdy dopniemy autostrady i drogi ekspresowe, podniesie się też jakość życia w samym mieście, bo nie będzie w nim tranzytowych przejazdów. To jest pewien portfel uwarunkowań, kiedy one wszystkie zaistnieją, będziemy mieli inny potencjał. Warto też pamiętać, że jesteśmy rządowym kandydatem do Expo 2022.

– Expo ma odbywać się w Nowym Centrum Łodzi. W założeniu jego przestrzeń ma być atrakcyjnym miejscem dla branży deweloperskiej, która będzie mogła budować nowe mieszkania, ale też obiekty przystosowane dla inwestorów z dużym międzynarodowym kapitałem. Czy to dobre miejsce na tego typu imprezę, czy nie zahamuje tego procesu do 2022 roku? Czy nie będzie to za duży wysiłek finansowy dla Łodzi?

TJ: Trzeba przejść się po obszarze Nowego Centrum i zobaczyć, jak wyrastają nowe budynki. Expo nie zahamuje rozbudowy tego obszaru. Wysiłek finansowy dla Łodzi? Będzie to wysiłek finansowy dla Polski. Impreza ta ma rangę państwową, a rząd podpisem premier Beaty Szydło wskazał jako gospodarza nasze miasto. Expo trwać będzie przez trzy miesiące, a przez miasto i cały kraj przewijać się będzie około ośmiu milionów ludzi – potwierdzają to statystyki oparte na innych imprezach rangi Expo w Europie. To chyba pierwsze w historii Łodzi tak ważne międzynarodowe wydarzenie. A dla Łodzi, ostatniego nieodkrytego miasta – jak mówi Marek Janiak – będzie to wyjątkowa szansa na wizerunkową promocję. Łódź to miasto trochę inne niż pozostałe w kraju, ze względu na swoją architekturę, strukturę urbanistyczną i historię.

Ta unikatowość może zostać dostrzeżona. Taka widoczność medialna, jaką Łódź dziś ma i jaką jeszcze może uzyskać, to kolejna nowa jakość.

WM: Padła tu sugestia, że w Nowym Centrum mają pojawiać się inwestycje z międzynarodowym kapitałem. Ale mamy już w Polsce wiele dużych firm z poważnym polskim kapitałem, które liczą się na świecie. W naszych mediach pojawiła się niedawno informacja, że w parku technologicznym rozpoczynają się poważne studia nad produkcją grafenu w płytkach 30 x 40 cm (rewelacja na skalę światową). Takie innowacje też mają ogromny potencjał komercyjny, choć dotąd nie znalazł się kapitał, który by tę produkcję wsparł...

– Wracając do tematu migracji i demografii. Rozmawialiśmy o tym, jakie wyzwania i zagrożenia się z nią wiążą, ale może są też pewne korzyści ze zmniejszenia się liczby mieszkańców, choćby poprawa jakości życia?

WM: Czy depopulacja jest zła czy dobra dla miasta? Zależy jaka. To tak jak w gimnastyce różnica między upadkiem a padem. Jeśli upadamy w sposób przypadkowy, to możemy zrobić sobie krzywdę, ale jeśli zrobimy to w kontrolowany sposób, nic nam się nie stanie. Konkretnie: jeśli monitorujemy proces, potrafimy



podjąć właściwe decyzje i działania dostosowujące przestrzeń i gospodarkę miejską do mniejszej liczby ludności, to możemy czerpać z tego korzyści. Miasto mniejsze nie znaczy gorsze, ale miasto wyludniająca się i nieuporządkowane to poważny problem. Już kilkanaście lat temu zmniejszyliśmy wielkość grupowej oczyszczalni ścieków – miało być dwanaście ciągów technologicznych, a jest siedem i to na razie wystarcza. Gdyby pozostać przy pierwotnym planie, koszt byłby większy, a efekt żaden. Druga sprawa to podniesienie jakości kapitału społecznego. Co zrobimy, kiedy spadnie liczba osób pracujących w stosunku do niepracujących? Niewiele można zrobić w zakresie demografii. Prawdopodobnie będziemy musieli zwiększyć efektywność pracy – ale czy to możliwe? Gdy zaczynałem pracę czterdzieści lat temu, pracowało się 46 godzin tygodniowo i poziom konsumpcji był zdecydowanie niższy. Teraz pracujemy 40 godzin w tygodniu, a konsumpcja wzrosła. Takie przyspieszenie zyskaliśmy w skali jednego pokolenia dzięki rewolucji informacyjnej. Dlaczego wykluczamy, że podobny postęp nastąpi w ciągu kolejnych 30–40 lat? Nie zastanawiajmy się, kto będzie kopał łopatą, ale jak zastąpić łopatę bardziej specjalistycznym sprzętem.

TJ: Planujemy w Łodzi rozwój do wewnątrz, czyli skupienie się na obszarze, który spełnia funkcje wyższej edukacji, kultury, konsumpcji różnego typu dóbr wyższych. To wszystko element świadomego działania w kontekście demograficznym. Jeśli nawet nie wydarzy się coś takiego, jak w wypadku Malmö, to nasze działania mogą hamować pewne procesy. Oczywiście samorządy mają ograniczone możliwości – demografia, migracje są w każdym państwie domeną rządu. Na politykę demograficzną składa się szereg zachęt, głównie ekonomicznych, do posiadania dzieci. Migracja zaś to kolejna kwestia, należy rozważyć, kogo chcemy, gdzie chcemy i na jakich warunkach.

– Tutaj też od władz miasta niewiele zależy...

WM: Problem jest istotny w skali całej Europy. Mamy do czynienia z cywilizacyjną zmianą w migracjach światowych, ponieważ dotąd głównie ludzie wyjeżdżali z obszarów rozwiniętych gospodarczo do mniej rozwiniętych. Klasyczny układ kolonizacyjny. Teraz mamy odwrócenie i ludzie z biedniejszych krajów starają się dotrzeć na miejsce, gdzie gospodarka jest rozwinięta. Napływ nowych ludzi, kontrolowany tak, aby pozwalał rozwiązywać problemy, a nie je tworzył, jest dla społeczeństwa korzystny. Co to znaczy napływ kontrolowany i korzystny? To taki, który nie powoduje tworzenia gett i konieczności zwiększenia wydatków socjalnych. W tym pomagają zachowywanie bliskości kulturowej ludności napływowej – to pozwala zmniejszyć koszty takiej integracji.

TJ: Tej kwestii w skali miasta nie rozwiążemy, dla nas teraz najistotniejsza musi być rewitalizacja i praca z mieszkańcami, aby miasto mogło się przeobrazić i w pełni wykorzystać swój potencjał.



WM: Ja na koniec dodam coś pozytywnego. W przeprowadzonych niedawno badaniach młodzieży i studentów, na pytanie „Ile dzieci Pan/Pani planuje” najczęstszą odpowiedzią było dwoje lub troje, co jeszcze pokolenie temu byłoby wynikiem zaskakującym. Oczywiście od zapowiedzi do realizacji daleka droga, ale widzimy już zmiany w świadomości, a to dobry początek.

Rozmawiał: Błażej Filanowski

Zdjęcia ilustrujące tekst są dokumentacją projektu Niewidzialne miasto – w poszukiwaniu granic Łodzi i panoramy miasta, obok publikujemy opis projektu:

Niewidzialne miasto – w poszukiwaniu granic Łodzi i panoramy miasta

Tak nazywa się projekt grupy studentów Instytutu Architektury i Urbanistyki Politechniki Łódzkiej. 50 dziewcząt i 3 chłopców wyposażonych w wózek do malowania pasów na boiskach sportowych i w sprzęt fotograficzny przeszło w ciągu dwóch tygodni wzdłuż 103 km granic Łodzi. Trasę wytyczono na podstawie mapy administracyjnej stanowiącej załącznik do Statutu Miasta Łodzi. Powstała w ten sposób seria ponad 1500 prostopadłych do przebiegu granicy ujęć fotografii miasta i „niemiasta” wykonywanych co 200 m. Uczestnicy pleneru stworzyli także fizycznie granicę Łodzi, malując białą linię. Abstrakcyjność granicy miasta została udokumentowana poprzez zapis fotograficzny przestrzeni po obu jej stronach. Studenci próbowali sfotografować horyzontalną sylwetę Łodzi z jego granicy. Jednak tak naprawdę miasta z jego granicy nie widać!

Projekt zrealizowano w ramach warsztatów terenowych z przedmiotu Psychologia Percepcji Wzrokowej. Celem przedsięwzięcia była próba uchwycenia wpływu administracyjnych pojęć granicy miasta na miejską rzeczywistość. Sprawdzenie, czy i w jakim stopniu pozbawione fizycznych znaczeń powodują one elementarne skutki w sposobach zarządzania przestrzenią. Czy efektem projektu może być diagnoza, czy i w jakim stopniu nieokreślony kształt miasta wpływa na poziom identyfikacji z nim mieszkańców? Czy pojęcia „jestem łodzianinem”, „mieszkam w Łodzi” znaczą to samo dla mieszkańca ul. Piotrkowskiej i mieszkańca ul. Okólnej?

Historycznie odrębność miasta tradycyjnego manifestowała się czytelnymi, fizycznie podkreślonymi granicami i widoczną z zewnątrz sylwetą dominującą nad otoczeniem. Dzięki tak jasno określonym barierom przestrzennym człowiek bez problemu mógł zdefiniować, czy przestrzeń, w której się znajduje, jest już miastem, czy jeszcze nie. Każdy przekraczający bramy miasta otrzymywał czytelną informację; nabywał przywileje i poddawał się miejskiemu prawu. Granice miast bywały na tyle silne, że ślady ich istnienia nierzadko ciągle pozostają widoczne z lotu ptaka.

Współczesne miasta rozrosły się przestrzennie, najczęściej w sposób zupełnie chaotyczny, a co należy podkreślić – proces ten ciągle postępuje. W wyniku tych procesów powstają rozległe zespoły miejskie, które wchłaniają wciąż nowe niemiejskie tereny. Granice we współczesnych miastach przybrały jedynie formę graficznych symboli (linii) na mapach i tabliczek z nazwami miast na drogach dojazdowych. W wyniku nierzadko sztucznych i koniunkturalnych podziałów powstały odrębne jednostki administracyjne, co przekłada się zarówno na ekonomiczne, jak i społeczne aspekty życia mieszkańców. Mają one wpływ na więzi społeczne, gospodarcze, sposoby

organizacji, zarządzania, inwestowania, podatki i wiele innych. Zdarza się, że graniczna ulica zmienia zarządców wzdłuż jej przebiegu. Skutek – źródłem utrapień mieszkańców jest odpowiedzialność za stan jej utrzymania i remonty, a sąsiedzi po obu stronach granicznej ulicy mają różnych dostawców energii i odbiorców śmieci.

Polityka przestrzenna w drugiej połowie minionego wieku spowodowała, że nie tylko Łódź, ale większość polskich miast rozrosła się nieroztropnie. Dla przykładu – ta sama mniej więcej liczba mieszkańców Łodzi z końca XX w. zamieszkiwała w okresie międzywojnia (1918–1939) obszar trzykrotnie mniejszy. Granice Łodzi przeważnie są niewidoczne, trudne do uświadomienia, wręcz niezrozumiałe, stają się zjawiskiem coraz bardziej abstrakcyjnym. Jedyną, „naturalną” granicą miasta jest odcinek rzeki Wrząca na północy i krawędź autostrady na granicy wschodniej. Zdarza się, że więcej zurbanizowanych przestrzeni występuje poza granicą Łodzi niż po jej miejskich stronach. Więcej jest więc miasta w „niemieście” niż w mieście. Za to w granicach miasta występują setki hektarów łąk, lasów i pól obsianych zbożem i obsadzonych ziemniakami. Pozbawione granic miasto stało się niewidzialne.

Podkreślamy znaczenie granic Łodzi dla zatrzymania procesów dezurbanizacji, dla optymalizowania inwestowania w infrastrukturę, dla zmniejszenia kosztów utrzymania miasta. Ograniczanie rozrostu terytorialnego miasta może w efekcie przybliżyć mieszkańcom tereny aktywne przyrodniczo. Diagnoza faktycznego obrazu granic może być wykorzystana dla poprawy kondycji ekonomicznej, ekologicznej, wreszcie dla poprawy jakości życia mieszkańców.

Problem nieokreślonych cech granic oraz stopnia rozpoznawalności samego miasta został przedstawiony na przykładzie Łodzi na 11. Międzynarodowym Kongresie CTV *Back to the sense of the city* w Krakowie 6–8 lipca 2016. Dokumentacja z realizacji projektu będzie też prezentowana w każdym miejscu w trakcie dyskusji na temat rozwoju Łodzi oraz programów rewitalizacyjnych.

Realizacja projektu: Łódź, 9–23 maja 2016
dr hab. Włodzimierz Adamiak
opiekun naukowy pleneru

Łódzkie migracje po drugiej wojnie światowej

Miasto to samo, lecz nie takie samo

pierwsze kolumny

Historia Łodzi była już wielokrotnie przedmiotem naukowych analiz i syntez, pióra zarówno dziejopisów cenionych przez środowisko historyczne i czytelników, jak i tych mniej znanych. Stawała się ona często z jednej strony pretekstem do poważnej refleksji uznanych publicystów i reportażyistów, z drugiej – do powstawania tekstów autorstwa dziennikarzy lżejszego autoramentu. Miasto zagościło również na kartach wielkiej literatury powieściowej, było natchnieniem poetów, malarzy, wreszcie reżyserów. Dziejami Łodzi zajmowali się przy tym zarówno autorzy pochodzący z samego miasta lub regionu, jak i z innych części Polski, a nawet cudzoziemcy.

Charakterystyczne jednak, że we wszystkich tych naukowych i artystycznych odzwierciedleniach fenomenu Łodzi dominowały podobne wątki, które okazywały się wyjątkowo interesujące i atrakcyjne dla historyków, publicystów, literatów i artystów. Miasto przyciągało zatem uwagę jako legendarna „Ziemia Obiecana” i „polskie Klondike” – kolebka wielkich fortun i bajecznych karier fabrykantów, bankierów i kupców, „perła w koronie Romanów” – potężna, błyskawicznie rozwijająca się w skali ziem polskich, ale także całego imperium carskiego metropolia przemysłowa, przysłowiowy „tygiel narodów i religii”. Ale także osławione „złe miasto”, w którym niewyobrażalne bogactwo sąsiadowało z potworną biedą.

Znamienne jednak, że o ile duże zaciekawienie budziły mechanizmy funkcjonowania wielkomiejskiej, a zarazem wielokulturowej, wieloetnicznej i wielowyznaniowej społeczności, łódzkie recepty na robienie kariery i dochodzenie do fortuny, wreszcie „przepis” (społeczny, religijny, cywilizacyjny) na zacznyn, z którego wyrosło miasto imponujących gmachów publicznych, pałaców, willi, fabryk i kamienic, to jednak żmudne studiowanie procesów demograficznych, ilustrowanych suchymi liczbami, które legły wszak u podstaw miejskiego fenomenu Łodzi, zdawało się dla przeciętnego czytelnika siłą rzeczy mało atrakcyjne.

I na tym polu jednak, jak się okazało, niektóre zagadnienia z zakresu demografii i statystyki potrafiły wzbudzić więcej zainteresowania. Z pewnością

należały do nich procesy migracyjne, które spowodowały bezprecedensowy co do skali i dynamiki wzrost ludności Łodzi w XIX stuleciu, a także zaistniałe w dramatycznych okolicznościach kolejnych dwóch wojen światowych zmiany demograficzne w mieście w XX wieku. Na tym tle problematyka „łódzkich” migracji i zmiany zachodzące w zbiorowym portrecie mieszkańców miasta po drugiej wojnie światowej znalazły się w głębokim cieniu. Niniejszy tekst potraktować można zatem jako próbę przybliżenia tej tematyki czytelnikowi.

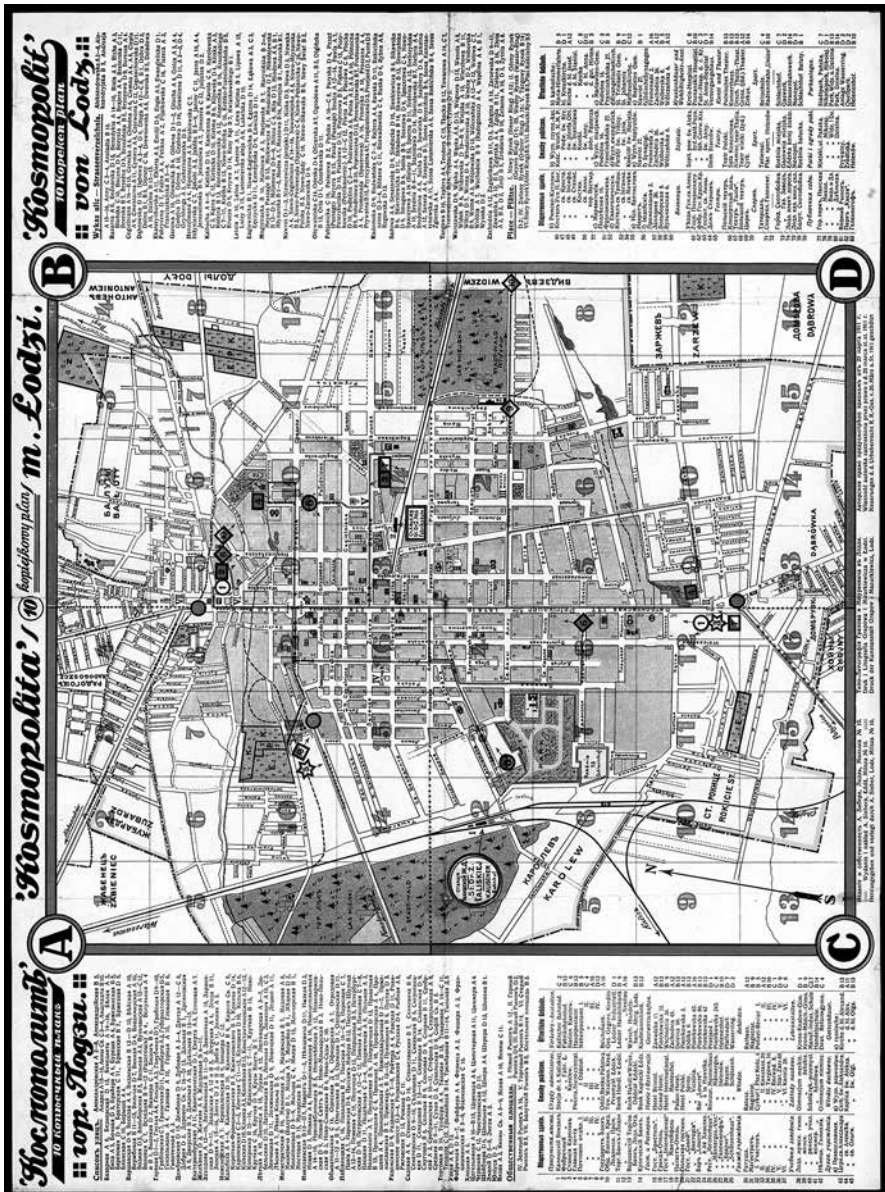
Historyczne wahadło, czyli „miasto imigrantów”

Dzieje Łodzi w kontekście zmian w strukturze demograficznej miasta przypominają do złudzenia ruch wahadła, a ich graficzną ilustracją może być charakterystyczna, nieregularna sinusoida. Pierwszy poświadczony historycznie spis ludności miasta (cieszącego się wówczas tym tytułem już od ponad 100 lat) został przeprowadzony w 1534 roku. Wykazał on, że ówczesna Łódź była zamieszkała przez 150 osób zajmujących 30 domów i – jak to skrętnie odnotowano – mogących korzystać z usług sześciu zakładów rzemieślniczych i tyłuż karczm. Na następne sprawdzone i wiarygodne informacje o populacji miasteczka nad Łódką trzeba było poczekać blisko 250 lat. W 1777 roku zamieszkiwało w nim 320 osób. Przyrost ten – wynikający zarówno z dzietności miejscowych rodzin, jak też, wówczas jeszcze powolnej, migracji okolicznej ludności do Łodzi – trudno uznać za szczególnie imponujący.

Istotne powiększanie liczby ludności Łodzi zaczęło następować od początku XIX stulecia. Związane było ono najpierw z próbą modernizacji gospodarki i stosunków społecznych na ziemiach Księstwa Warszawskiego. Skutkowało to ruchem ludności ze wsi do miast i miasteczek „za pracą”, a następnie – na znacznie większą już skalę – z decyzjami administracji Królestwa Polskiego, która wyznaczyła ówczesne małe miasteczko na centrum ośrodka przemysłu włókienniczego i miejsce budowy nowych dzielnic. Pierwszy skokowe zwiększenie liczby łodzian zanotowano w 1820 roku, kiedy to określono populację miasta na ponad 760 osób – w ciągu zaledwie półwiecza powiększyła się ona zatem ponad dwukrotnie.

W ciągu dekady migracja okolicznej ubogiej ludności wiejskiej poszukującej lepszych warunków życia w mieście i osadników związanych fachem z wytwórczością włókienniczą z innych regionów Królestwa Polskiego, a nawet spoza jego granic (przede wszystkim z Prus), sprawiła, że w 1830 roku Łódź zamieszkiwało już blisko 4,5 tysiąca osób. 13 lat później liczba ta, przede wszystkim w wyniku narastającej migracji, zwiększyła się do ponad 15,5 tysiąca mieszkańców. U progu lat 60. XIX wieku osiągnęła już poziom 40 tysięcy.

W wyniku zahamowania procesów migracyjnych – co było rezultatem zapaści importu bawełny, a w konsekwencji przemysłu włókienniczego, spowodowanej amerykańską wojną secesyjną Unii z Konfederacją (głównym dostawcą tego surowca) – liczebność łódzkiej populacji utrzymywała się na wcześniej osiągniętym



pierwsze kolony

stałym poziomie przez całą pierwszą połowę siódmej dekady, a tytułowe „historyczne wahadło” stanęło.

Jednak po zakończeniu amerykańskiej wojny domowej miasto szybko zaczęło nadrobić lata demograficznego zastoju. Kolejna narastająca fala migracji ludności wiejskiej (szukającej pracy w przemyśle), ale także niemieckich

wykwalfikowanych robotników i żydowskich rzemieślników i kupców, sprawiła, że już w 1877 roku Łódź zamieszkiwało ponad 50 tysięcy osób. W 1895 roku liczba ta przekroczyła 160 tysięcy, w 1900 roku – 280 tysięcy, wreszcie w 1905 roku – 340 tysięcy. Przez następnych 10 lat populacja Łodzi – głównie za sprawą ludności napływowej ze wsi – uległa niemal podwojeniu i w początkach Wielkiej Wojny liczyła około 600 tysięcy osób.

Cztery lata wyniszczającej jej uczestników pierwszej wojny światowej, której wschodni front przetaczał się przez ziemie polskie, spowodował głęboką demograficzną zapaść miasta (jak również zmianę jego narodowościowego oblicza). Łódź opuścili Rosjanie: wojskowi, policjanci, urzędnicy i nauczyciele wraz z rodzinami. W głąb Rosji ewakuowano również całe fabryki z robotniczymi polskimi załogami. Pracowników do pracy w Rzeszy werbowali także nowi niemieccy okupanci. Miasto, które ponosiło poważne straty gospodarcze w rezultacie zniszczeń wojennych, zapaści ekonomicznej wywołanej militarnym konfliktem, wywiezienia na wschód części parku maszynowego, surowców i produktów „łódzkiego włókna” w początkach wojny, późniejszej rabunkowej gospodarki Niemców, wreszcie utraty wielkiego zaplecza surowcowego i rynku zbytu Rosji po zwycięskim puczu bolszewików, przestało być przemysłową metropolią.

Łódź wypadła także z elitarnej puli najszybciej rozwijających się miast na świecie. Jej rola „Ziemi Obiecanej” przedsiębiorczych lodzermenschów, ale przede wszystkim miejsca pracy, mitycznego gwaranta przetrwania i zbudowania lepszego jutra dla setek tysięcy jej mieszkańców, należała do przeszłości. Nastąpił masowy odpływ ludności miejskiej na prowincję, gdzie łatwiej było przeżyć wojenną zawieruchę. W wyniku tej migracji – tym razem z miasta – populacja Łodzi skurczyła się w okresie wojny niemal o połowę i w 1918 roku liczyła około 340 tysięcy mieszkańców.

W okresie międzywojennym miasto nie odzyskało już dawnej świetności. Dzieliło wraz z całą II Rzeczpospolitą ekonomiczne trudności polskiego międzywojnia – kryzys powojenny w gospodarce początku lat 20., chaos inflacji, a później hiperinflacji w latach 1922–1923, wreszcie zapaść Wielkiej Depresji z pierwszej połowy lat 30. Trudną sytuację ekonomiczną miasta pogłębiał jeszcze permanentny miejscowy kryzys gospodarczy wynikający ze – wspomnianej już wcześniej – utraty chłonnych wschodnich rynków zbytu i taniego rosyjskiego zaplecza surowcowego.

Ten stan rzeczy wpływał negatywnie na atrakcyjność Łodzi jako celu zarobkowej migracji. Liczebność mieszkańców rosła wolniej niż w okresie poprzedzającym wybuch pierwszej wojny światowej. Na skutek przyrostu naturalnego, ale przede wszystkim powrotu łodzian, którzy opuścili miasto w latach wojny, i dalszej migracji ludności wiejskiej z prowincji w 1919 roku Łódź zamieszkiwało ponad 430 tysięcy osób, w 1921 roku – ponad 450 tysięcy, w 1931 roku – około 605 tysięcy, wreszcie w 1939 roku, w przededniu drugiej wojny światowej – ponad 670 tysięcy. Migracje (w mniejszym stopniu miejscowy przyrost naturalny) sprawiły zatem, że

w okresie dwudziestolecia dotkliwe straty demograficzne poniesione podczas Wielkiej Wojny zostały stopniowo wyrównane, a w okresie schyłku lat 30. populacja miasta o kilkadziesiąt tysięcy przekroczyła nawet stan sprzed 1914 roku.

Niestety kolejnym ciosem dla demograficznego rozwoju Łodzi okazała się druga wojna światowa. Miasto zostało zajęte przez Niemców 8 września 1939 roku. Początkowo miało stać się stolicą Generalnego Gubernatorstwa, lecz ostatecznie 9 listopada 1939 roku wcielono je bezpośrednio do III Rzeszy, w granicach której od 1940 roku funkcjonowało pod zmienioną nazwą jako Litzmannstadt.

Okupacja i włączenie Łodzi w granice państwa niemieckiego wiązało się z represjami, jakie spadły na miejscową ludność polską i żydowską, co miało bezpośredni związek z nowymi stratami populacyjnymi. Około 30 tysięcy Łoździan (Polaków i Żydów) wymordowali już na początku okupacji Niemcy w lasach pod Lućmierzem. Przez getto utworzone w granicach miasta przeszło około 200 tysięcy Żydów – w tym przede wszystkim łódzcy – którzy w ogromnej większości zostali zamordowani w obozie zagłady w Chełmnie nad Nerem i w Auschwitz-Birkenau lub zmarli na miejscu w wyniku chorób i głodu. Ponadto Polaków zamieszkałych w Łodzi dotknęły liczne deportacje przesiedleńcze oraz masowe wywózki na roboty przymusowe w głąb Niemiec i do obozów koncentracyjnych, w których pobyt dla wielu zakończył się śmiercią. Działaniami deportacyjnymi, które spowodowały tę falę przymusowych migracji z Łodzi, kierowała miejscowa ekspozytura Oddziału Urzędu ds. Wysiedleń Polaków i Żydów, którą przekształcono następnie w Oddział w Litzmannstadt podlegający Centrali Przesiedleńczej w Poznaniu (Posen).

W miejsce wysiedleńców i zamordowanych okupanci prowadzili w mieście zasiedlanie Niemcami przywiezionymi z zajętych terenów Związku Radzieckiego (zwłaszcza z Litwy, Łotwy, Estonii, ale także z Wołynia) i z sojuszniczej Rumunii. Do miasta przybywali też Niemcy z Rzeszy.

Demograficzny boom 1945 roku

W wyniku niemieckich represji wobec ludności polskiej (wspomnianych deportacji, wywozek na roboty i do obozów koncentracyjnych, aresztowań i egzekucji) i realizacji polityki „ostatecznego rozwiązania” w stosunku do społeczności łódzkich Żydów, wreszcie ucieczki z miasta ludności niemieckiej w obawie przed nadciągającą ze wschodu Armią Czerwoną, a także spodziewaną zemstą polskich mieszkańców Łodzi za lata okupacji i popełniane w jej trakcie okrucieństwa, w styczniu 1945 roku liczba Łoździan stopniała do około 300 tysięcy – a zatem o ponad połowę.

Bezpośrednio po wkroczeniu Rosjan w Łodzi pozostało jeszcze około 30 tysięcy Niemców. Większość spośród nich stanowiły kobiety, dzieci i osoby w podeszłym wieku, które ze względu na stan zdrowia lub brak sił nie mogły uciekać, nie odeszły też z wojskiem. Rosjanie szybko przystąpili do wywozu mężczyzn narodowości niemieckiej na roboty przymusowe do Związku Radzieckiego. Jednocześnie do



repatriacji z Polski do Niemiec, trwającej do końca 1950 roku, zmuszono pozostałe osoby pochodzenia niemieckiego, zaliczone do tzw. volksdeutscheów.

W ten sposób Łódź utraciła swój wielonarodowy, wielokulturowy i wieloreligijny charakter. Społeczność miejska z okresu międzywojnia, w której obok siebie funkcjonowali Polacy, Żydzi i Niemcy, stała się niemal jednolita pod względem etnicznym i wyznaniowym, jako miasto Polaków-katolików. W ten sposób druga wojna światowa wraz z jej konsekwencjami ukształtowała strukturę wyznaniową i narodowościową populacji łódzkiej, która w latach powojennych podlegała już tylko niewielkim zmianom.

Dość szybko w lukę po eksterminowanych w latach okupacji Żydach, Niemcach, którzy uszli lub zostali zmuszeni do wyjazdu na zachód (a także zostali wywiezieni w głąb ZSRR), oraz deportowanych w latach wojny i zamordowanych Polakach wypełniły potężne fale migrującej z prowincji ludności wiejskiej. Wrócili też łodzianie z robót przymusowych w III Rzeszy i z deportacji do Generalnego Gubernatorstwa.

Do Łodzi ściągnęły również masy warszawiaków, którzy nie mogli powrócić do całkowicie zniszczonej stolicy, a dla których Łódź była najbliższym wielkim miastem oferującym lokum ze względu na mieszkania opustoszałe po dotychczasowych niemieckich i żydowskich właścicielach i lokatorach. Wśród Polaków przybywających do Łodzi po odejściu Niemców i wkroczeniu do miasta armii sowieckiej była również liczna grupa wysiedleńców (tzw. repatriantów) z Kresów Wschodnich, głównie z Wileńszczyzny i samego Wilna.

W drugiej połowie 1945 roku zaczęła zwiększać się również społeczność żydowska w Łodzi. Repatriowano bowiem polskich Żydów ze Związku Radzieckiego. Równocześnie trzeba nadmienić, że już po 1945 roku do miasta przybyło przede wszystkim z Warszawy i terenów Mazowsza około 20 tysięcy Żydów, którym udało się przeżyć.

W początkach 1946 roku w Łodzi zamieszkiwało już prawie 30 tysięcy Żydów. Część z nich po pewnym czasie powróciła do stolicy. Inni w późniejszych latach w kilku falach – po utworzeniu państwa żydowskiego w 1948 roku, w drugiej połowie lat 50. i po antysemickiej akcji komunistycznych władz w 1968 roku – w ogromnej większości wyemigrowali z Polski, opuszczając ostatecznie miasto swych przodków lub będące dla nich dobrą przystanią po wojennej tragedii. Dodajmy, że dopiero od połowy lat 80. zaczęły rozwijać się w mieście procesy już raczej tylko symbolicznej reasymilacji ludności żydowskiej

Do końca 1945 roku liczba ludności miasta wzrosła o 200 tysięcy osób, rekrutujących się spośród wszystkich wymienionych wyżej migrujących grup. Pierwszy rok wolności Łódź zegnała już jako miasto bardzo ludne – niemal półmilionowe. Potwierdził on także trafność określenia „miasto imigrantów”, którym charakteryzowali ją niektórzy historycy i publicyści, odnosząc jednak tę ocenę przede wszystkim do XIX i początków XX stulecia.

Urok stolicy (tymczasowej)

Nadal zjeżdżający gromadnie do miasta w drugiej połowie lat 40. migranci spowodowali, że już po pięciu latach od zakończenia niemieckiej okupacji i drugiej wojny światowej, w 1950 roku, liczebność miejscowej populacji przekroczyła ponownie 600 tysięcy osób. Wśród łódzian ponad 95 procent określało się mianem etnicznych Polaków, tylko około dwa procent wskazywało na swoje niemieckie korzenie, niewiele zaś ponad jeden procent na pochodzenie żydowskie.

Masowy napływ ludności polskiej do Łodzi po 1945 roku był rezultatem współdziałania kilku czynników. Po pierwsze, podjęciu decyzji o zamieszkaniu w tym mieście sprzyjało jego centralne położenie – wielu spośród migrantów, którzy znaleźli się w Łodzi po 1945 roku, powracając z Niemiec lub przybywając z Kresów Wschodnich, traktowało ją początkowo jako przystanek, swoisty „punkt przesiadkowy” w drodze do miast docelowych, rozsianych po całej Polsce, ale z czasem postanawiało tu pozostać.

Po drugie, migrantów do osiedlenia się w mieście przekonywał fakt, że pomimo znacznych zniszczeń i ubytków w sektorze przemysłowym, obejmujących zarówno same budynki fabryczne, magazyny, jak i park maszynowy, przetrwało ono wojnę z nienaruszoną zasadniczą tkanką miejską, a straty w zabudowaniach miejskich (zarówno mieszkalnych, jak i przemysłowych czy publicznych) były nieznaczne.

Po trzecie, Łódź szybko stała się ponownie stolicą województwa łódzkiego, co podnosiło jej status i pośrednio przyczyniało się do ułatwień w codziennej

egzystencji mieszkańców. I wreszcie miasto pełniło tymczasową funkcję stolicy odbudowującego się państwa polskiego, co było spowodowane całkowitym zniszczeniem Warszawy.

W Łodzi ruszyły zatem uczelnie, redakcje gazet i urzędy państwowe. Na kilka lat dawny „polski Manchester” stał się ponownie – choć w zupełnie innym wymiarze i w innych historycznych okolicznościach – miastem wielkich możliwości, kumulującym niezwykłą energię i ogniskującym nadzieje mieszkańców. Łódź stała się „miastem obiecany”, bo jak z niewątpliwą przesadą i nazbyt krytycznie o przedwojennej Łodzi pisał Adolf Rudnicki: „Miasto, które nigdy nie miało uniwersytetu, otrzymało uniwersytet. Miasto, którego teatry nigdy nie miały się czym pochwalić, otrzymało teatry – pierwsze w kraju. Miasto, które nigdy nie posiadało środowiska artystycznego, otrzymało największe i najruchliwsze środowisko artystyczne w kraju”.

Łódzka eksplozja demograficzna trwała tylko pół dekady. Do końca lat 40. większość centralnych placówek, a także elit intelektualnych i środowisk artystycznych przeniosła się do odbudowywanej właśnie Warszawy. Warto jednak przy tym zauważyć, że choć po tym okresie tyleż dynamicznego, co niespodziewanego rozkwitu Łódź szybko wróciła do roli zwykłego miasta przemysłowego, placówki akademickie oraz instytucje kultury, które powstały tutaj tuż po wojnie, odmieniły na stałe jej oblicze. Sprawily też, że miasto stało się atrakcyjnym miejscem migracji nie tylko ze względu na rozwijający się przemysł, ale także jako prężny ośrodek akademicki i prawdziwe centrum kultury.

Przypomnijmy tu, że dekretemi władz państwowych z 24 maja 1945 roku powołano do życia Uniwersytet Łódzki i Politechnikę Łódzką. W tym samym roku



utworzono również Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych w Łodzi oraz Państwowe Konserwatorium Muzyczne – od 1946 roku działające jako Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna (od 1982 roku – jako Akademia Muzyczna). Z kolei w 1949 roku powstała Akademia Medyczna. Jeszcze w 1945 powstała też Wytwórnia Filmów Fabularnych (WFF), która wkrótce stała się największym ośrodkiem produkcji filmowej w Polsce.

Łódzkie przynęty

Rozwój Łodzi jako miasta „akademickiego” trwał i później. W latach 1958–2002 działała w mieście z powodzeniem Wojskowa Akademia Medyczna (WAM), kształcąca oficerów służby zdrowia (lekarzy, stomatologów, farmaceutów i psychologów) dla potrzeb wojska. Akademia stała się zresztą jedną z największych tego typu placówek na świecie, wyróżniając się spośród innych uczelni medycznych specyficzną atmosferą łączącą ściśle przestrzeganie dyscypliny wojskowej z wysokim poziomem nauczania.

Z kolei w 1958 roku utworzona została Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna i Filmowa im. Leona Schillera. Placówkę uruchomiono w wyniku fuzji dwóch odrębnie działających dotychczas łódzkich uczelni – Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, powstałej w 1948 roku, i Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej, utworzonej w 1949 roku w miejsce Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie z siedzibą w Łodzi, przemianowanej w 1954 roku na Państwową Wyższą Szkołę Teatralną im. Leona Schillera.

Równocześnie przez powojenne dekady przywrócono Łodzi charakter wielkiego ośrodka przemysłu włókienniczego. W latach 1945–1989 zmodernizowano ponad 140 łódzkich zakładów przemysłowych. Oddano do użytku blisko 100 dużych inwestycji. Wśród nich znalazły się m.in.: zakłady tekstylne Vera, produkujący dywany Dywilan, przedsiębiorstwo przemysłu odzieżowego Próchnik, słynna Wólczanka czy zakład włókien sztucznych Anilana. Stopniowo starano się także rozszerzać listę „łódzkich” specjalizacji przemysłowych – utworzono zakłady aparatury radiowej Unitra Fonica, fabrykę zegarków Poltik, fabrykę osprzętu samochodowego Polmo, znane zakłady farmaceutyczne Polfa, zakłady przemysłu gumowego Stomil, wreszcie fabrykę transformatorów i aparatury trakcyjnej Elta. Dbano też o rozwój miasta jako centrum handlowego. W 1967 roku otwarto Powszechny Dom Towarowy Uniwersal, a w 1972 roku – Spółdzielczy Dom Handlowy Central.

Rozszerzone zostały też granice administracyjne miasta i wytyczono nowe tereny, na które systematycznie przenoszono zakłady z zatłoczonego centrum Łodzi. W latach 60. i 70. powstały nowe osiedla, które określano mianem „mieszaniowo-magazynowo-przemysłowych”: Dąbrowa, Nowe Sady, Żabieniec, Teofilów, Złotno. Obok nich wznoszono osiedla typowo mieszkaniowe. Należały do nich: Rokicie, Żubardź, Wielkopolska, Koziny i Doły. Inne, już istniejące, takie jak Julianów, osiedle bloków Stefana Czarnieckiego – Zagajnikowa, a także kompleksy bloków pomiędzy ulicami Pomorską a dzisiejszą Uniwersytecką, podlegały rozbudowie.

Nowe wielkie osiedla – Widzew Wschód, Retkinia, Radogoszcz – założono na obrzeżach Łodzi (rozbudowie podlegały one jeszcze w latach 80. i 90.). Był to wszak okres wielkiej prosperity w dziedzinie budownictwa wielkopłytowego. Warto tu dodać, że najmłodszy łódzkimi osiedlami mieszkaniowymi są jednak te wybudowane już w dwóch ostatnich dekadach XX stulecia: Janów, Olechów, osiedle domków jednorodzinnych na Smulsku oraz Zielony Romanów pomiędzy Teofilowem a Aleksandrowem.

Równocześnie w latach 70. zostały zmodernizowane dwie niezwykle ważne łódzkie arterie komunikacyjne – aleja Włókniarzy (dawniej ulica Towarowa) oraz ulica Promińskiego (obecnie aleja Śmigłego-Rydza) wraz z jej przedłużeniem – ulicą Kopcińskiego.

Wymienione wyżej działania były zarówno odpowiedzią na migracje ludności z prowincji do Łodzi, jak też zachętą dla nowych przybyszów. Z jednej strony, „socjalistycznemu państwu realizującemu interes klasy robotniczej” była potrzebna zarówno z ekonomicznego, jak i ideologicznego punktu widzenia klasa robotnicza, jako że Polska międzywojenna była wciąż państwem rolniczoprzemysłowym z przewagą ludności chłopskiej, z drugiej, „nowa inteligencja” mająca wypełnić lukę po elicie intelektualnej eksterminowanej w latach drugiej wojny światowej miała być indoktrynowana w zupełnie nowym systemie.

Polityka „antymeldunkowa”

Niezależnie jednak od wymienionych „łódzkich przynęt” – powstających stopniowo nowych osiedli z upragnionymi przez łódzian mieszkaniem, fabryk oferujących miejsca pracy dla ludności migrującej do miasta, domów handlowych ułatwiających rodzinne zakupy, kin i teatrów zapewniających rozrywkę – tempo rozwoju demograficznego Łodzi w latach 50. się obniżyło. Jednakże dzięki przyrostowi naturalnemu i nowym falom migracji ludności z prowincji liczebność populacji miasta u progu 1960 roku przekroczyła 700 tysięcy.

Dynamika przyrostu ludności Łodzi była wówczas niższa niż Warszawy, Krakowa czy Poznania, warto jednak pamiętać, że osłabienie rozwoju ludnościowego miasta determinowała przede wszystkim realizowana przez władze w ograniczonym zakresie polityka deglomeracyjna i wprowadzenie ograniczeń meldunkowych. Ich skutek – bardziej odczuwalny w przypadku miasta Łodzi niż innych dużych ośrodków miejskich w Polsce – dowodzi, że ludność miasta rosła po drugiej wojnie światowej przede wszystkim dzięki przyjezdnym szukającym pracy w przemyśle włókienniczym. Stąd bardziej widoczne były rezultaty polityki „antymeldunkowej”.

Na początku lat 60., gdy akcję „antymeldunkową” w praktyce złączono, doszło do przyśpieszenia wzrostu demograficznego miasta. Spowolnienie migracji do Łodzi po następnych kilku latach nastąpiło już w wyniku pogarszającej się sytuacji gospodarczej w całym kraju i narastających napięć społeczno-politycznych, widocznych zwłaszcza w dużych ośrodkach miejskich. Czynniki te doprowadziły wręcz

do niemal całkowitego zahamowania migracji z prowincji. W konsekwencji w 1967 roku nastąpił nawet pewien niewielki spadek liczby ludności Łodzi.

Należy tu podkreślić, że zmiany przyrostu migracyjnego w mieście w latach 1945–1989 zachodziły w sposób wysoce nieregularny. Maksymalną wartość, sięgającą 130 tysięcy, uzyskał on na początku okresu powojennego, jeszcze w 1945 roku, kiedy to do miasta dotarła ogromna fala ludności napływowej. Sprawiała ona, że u progu lat 50. migranci – z całego województwa łódzkiego, kieleckiego i poznańskiego, ze zburzonej Warszawy i zniszczonego Mazowsza, z utraconych Kresów Wschodnich – stanowili niemal 50 procent mieszkańców Łodzi.

Naturalną konsekwencją stopniowego zmniejszania się dynamiki fal migracji zarobkowej w rezultacie stabilizowania i wyrównywania się sytuacji ekonomicznej poszczególnych regionów kraju, a zwłaszcza – jak już wspomniano – wprowadzenia w 1956 roku ograniczeń meldunkowych było osłabienie zjawiska napływu do Łodzi ludności z prowincji.

Następująca po nim ogólna tendencja wzrostowa przyrostu migracyjnego, charakterystyczna generalnie dla lat 60. i pierwszej połowy lat 70. (pomimo wahnięcia na przełomie siódmej i ósmej dekady), przyczyniła się z czasem do zdominowania rdzennych mieszkańców Łodzi przez ludność napływową. W 1970 roku prawie 60 procent łódzian stanowili przybysze spoza miasta.

Migracje zagraniczne

Niewielki natomiast wpływ na demografię Łodzi po drugiej wojnie światowej i definitywnym opuszczeniu miasta przez łódzkich Niemców miały późniejsze migracje zagraniczne. Do lat 80. warto odnotować jedynie wyjazdy łódzian pochodzenia żydowskiego w momencie powstania państwa Izrael i w wyniku kampanii antysemickiej rozpętanej przez komunistów w 1968 roku.

W okresie PRL emigracja polityczna i zarobkowa z Łodzi osiągnęła większe rozmiary dopiero po 1981 roku. Wówczas część łódzian, zaangażowanych wcześniej w działalność opozycyjną, a następnie w ruch pierwszej Solidarności, poddanych represjom po wprowadzeniu stanu wojennego lub niewidzących dla siebie szans pod rządami wojskowo-partyjnej dyktatury, opuściła rodzinne miasto, emigrując do Europy Zachodniej, Stanów Zjednoczonych, a nawet do Australii.

Z kolei w drugiej połowie lat 80. – w związku z katastrofalną sytuacją ekonomiczną, pogarszającymi się perspektywami dotyczącymi codziennej egzystencji, a zarazem pewnym zliberalizowaniem polityki migracyjnej władz PRL – nastąpiła fala wyjazdów zarobkowych mieszkańców miasta głównie do Skandynawii, Niemiec Zachodnich, Wielkiej Brytanii, Francji, USA bądź na antypody.

Na skutek oddziaływania wspomnianych wcześniej czynników, w latach 80. wystąpił po raz kolejny znaczny spadek dynamiki wzrostu demograficznego Łodzi. W drugiej połowie lat 80. doszło do podobnego jak w 1967 roku niewielkiego



spadku liczby mieszkańców. W końcówce lat 80. poszerzenie granic administracyjnych miasta przyczyniło się powtórnie do niewielkiego wzrostu jego zasobów ludnościowych. W 1988 roku przekraczały one 850 tysięcy osób.

Ubytek mężczyzn

W związku z migracjami do i z miasta zmianom podlegała także struktura demograficzno-społeczna Łodzi. Następowiała jej wyraźna feminizacja. Warto jednak odnotować, że już w lipcu 1945 roku na 100 mężczyzn zamieszkujących miasto przypadało 147 kobiet. Ze względu na biologiczne straty wojenne wśród męskiej populacji, zwłaszcza w grupie wiekowej 20–40 lat, liczba kobiet była nienaturalnie większa od liczby mężczyzn.

Podsumowując okres 1945–1989 w historii „łódzkich” migracji, wypada poczynić kilka generalnych spostrzeżeń. Należy zatem podkreślić, że wzrost demograficzny Łodzi w latach PRL odznaczał się generalnie trendem rosnącym, uwarunkowanym przede wszystkim szybką odbudową ze zniszczeń wojennych, dużymi inkorporacjami terenów w 1945 roku i 1988 roku, wreszcie dynamicznym rozwojem sektora przemysłowego i usługowego. Czynniki te sprzyjały przyrostowi naturalnemu, ale także napływowi ludności do dużego miasta, rozwijającego się dynamicznie jako centrum przemysłowe, handlowe i akademickie. W tym czasie ludność miasta wzrosła z około 500 tysięcy do 850 tysięcy, czyli o 350 tysięcy, co można by przyrównać wręcz do powstania nowego ośrodka miejskiego.

Specyficznym przemianom w okresie 1945–1989 podlegały kierunki wewnętrznego ruchu migracyjnego mieszkańców Łodzi w układzie miasto – wieś. Na początku tego okresu dominował napływ ze wsi (60 procent w 1953 roku),

po czym od połowy lat 50. utrzymywała się niewielka nadwyżka napływu z miast. Jednocześnie, aż do lat 70., wzrastała nadwyżka odpływu migracyjnego skierowana do miast (76 procent w 1975 roku) nad odpływem na wieś. W późniejszym czasie ze względu na napięcia społecznoekonomiczne i polityczne zwiększał się odpływ na wieś (z 24 procent w 1970 roku do prawie 40 procent w 1985 roku), przy równoczesnym ograniczeniu odpływu do miast.

Rekordowa liczba ludności

Okres Polski Ludowej cechowały różnokierunkowe zmiany struktury wieku ludności Łodzi. Na przekształcenia te najpierw oddziaływała wojna, a później przebieg ruchu naturalnego oraz wędrownego. Ludność reprezentująca poszczególne grupy wiekowe rozwijała się w różnym tempie, wskutek czego istniejąca początkowo progresywna struktura wieku ludności miasta, znajdująca wyraz w bardzo dużym udziale dzieci i młodzieży w wieku do 17 lat (31 procent w 1960 roku), w miarę starzenia demograficznego społeczeństwa przekształcała się sukcesywnie w strukturę regresywną o coraz większym odsetku osób starszych. Najbardziej spektakularnym zjawiskiem w całym analizowanym okresie był trzyipółkrotny wzrost liczby osób w wieku 60 lat i więcej.

Wyraźny wzrost tempa rozwoju demograficznego Łodzi nastąpił w latach 70., kiedy liczba jej mieszkańców powiększyła się o 70 tysięcy, dochodząc do 830 tysięcy w 1979 roku. Wzrost ten stymulowała w szczególności realizacja wielkich inwestycji przemysłowych, mieszkaniowych i infrastrukturalnych.

Regres i jego przyczyny

Przełom polityczny 1989 roku i odzyskanie przez Polskę suwerenności przyniosło miastu Łodzi nie tylko pozytywne rezultaty. Odrodzeniu autentycznego samorządu i nawiązaniu przezeń nieskrępowanych kontaktów międzynarodowych i współpracy z miastami na całym świecie towarzyszyły poważne problemy gospodarcze i społeczne będące konsekwencją nie tylko sytuacji międzynarodowej, ale także przemian ładu ekonomicznego w Polsce, zmierzających w kierunku wprowadzenia zasad gospodarki rynkowej.

Historycy mieli je w przyszłości kwitować bon motem: „Łódź ma pecha do niepodległości”. Rozpad ZSRR, kryzys ekonomiczny w nowej Rosji i erozja współpracy gospodarczej pomiędzy Moskwą i jej satelitami w ramach Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej spowodowały po raz kolejny w historii utratę przez „włókienniczą Łódź” chłonnych rynków zbytu i taniego zaplecza surowcowego, które zapewniały dawny blok tzw. demokracji ludowej.

Następstwem tych faktów był pogłębiający się kryzys łódzkiego „włókna”, dla którego niełaskawe okazały się również rynkowe reguły reform Leszka Balcerowicza dotyczące kwestii wspierania przemysłu przez państwo. Doktrynalne i na- zbyt optymistyczne podejście do samoregulatora w postaci mitycznej „niewidzialnej ręki rynku” doprowadziło do spektakularnego upadku łódzkiego przemysłu włókienniczego.

Koniec powojennego fenomenu Łodzi, którą określano w prasie okresu PRL z emfazą, ale nie bez racji mianem „stolicy polskiego włókna”, przy równoczesnym braku nowego pomysłu na Łódź – lub przynajmniej recepty ich skutecznego wdrożenia w życie – kolejnych włodarzy miasta, ale także władz centralnych, przyniósł opłakane skutki demograficzne.

Po 13 latach od narodzin III Rzeczypospolitej, w 2002 roku, liczba mieszkańców Łodzi wynosiła już mniej więcej 780 tysięcy. W ciągu następnych lat populacja miasta systematycznie zmniejszała się co roku o kilka tysięcy, aby w 2008 roku osiągnąć poziom nieco tylko przewyższający 750 tysięcy osób. Liczba ta rozkładała się w sposób następujący na poszczególne duże dzielnice Łodzi: Bałuty – około 220 tysięcy, Górna – około 180 tysięcy, Polesie i Widzew – każda poniżej 150 tysięcy, Śródmieście – około 80 tysięcy.

W Łodzi ustaliła się niepokojąca tendencja przewagi zgonów mieszkańców nad urodzinami, która miała wpływ na zjawisko ujemnego przyrostu naturalnego. Jednak w świetle liczb to nie ona, lecz bilans migracyjny – stosunek przyjazdów i osiedleń w mieście do wyjazdów na stałe – miał (i ma nadal) decydujące znaczenie dla wyludniania się Łodzi. Choć w jej granicach administracyjnych więcej ludzi umiera, niż się rodzi, pustoszenia Łodzi dokonuje przede wszystkim zdecydowana przewaga liczby emigrujących z miasta nad liczbą przybywających do niego z myślą o stałym zamieszkanu.

Stąd Łódź spadła w rankingu najbardziej ludnych miast z miejsca drugiego na trzecie, a wyprzedził ją Kraków. Obecnie w Polsce jest tylko pięć miast, które liczą ponad pół miliona mieszkańców. Ich liczebność szacuje się w sposób następujący: Warszawa – powyżej 1 mln 714 tysięcy mieszkańców, Kraków – około 755 tysięcy, Łódź – około 741 tysięcy, Wrocław – powyżej 630 tysięcy oraz Poznań – blisko 560 tysięcy.

Tendencja ta obowiązuje zresztą dla całego regionu łódzkiego. Przykładem mogą posłużyć tu choćby dwa wybrane lata. W 2010 roku z regionu wyprowadziło się blisko 25 tysięcy osób (w tym za granicę – ponad 550), a zamieszkało tu tylko nieco ponad 23 tysiące przybyszów. W 2012 roku z powodu migracji z regionu łódzkiego ubyło blisko dwa tysiące osób. Co prawda 22 tysiące przybyszów z innych części Polski i z zagranicy zdecydowało się tu zamieszkać, ale za to blisko 24 tysiące – wyjechało. Wśród emigrantów z łódzkiego około 650 osób opuściło Polskę.

Kurczą się jednak także i te miasta, w których się dobrze zarabia, jak np. Katowice i Poznań. Podobnie jest w Bydgoszczy, Gdańsku, Kielcach, Opolu, Szczecinie i we Wrocławiu. W ostatnim ćwierćwieczu liczba stałych mieszkańców i tych zameldowanych na pobyt czasowy ponad trzy miesiące spadła w połowie miast wojewódzkich. Gdyby nie ludność napływowa – kurczyłaby się również Warszawa. Stolica kusi jednak wysokimi zarobkami, możliwością robienia kariery i rozbudowaną ofertą edukacyjną.

Jednak zdecydowanie najwięcej demograficznie straciła Łódź – ponad 140 tysięcy mieszkańców. Miasto znalazło się w regresie populacyjnym – w ostatnich 25 latach zmarło w nim 119 tysięcy więcej osób, niż się urodziło. Zdaniem wielu ekspertów Łódź nie potrafiła przyciągnąć ludzi młodych, którzy założyliby rodziny i mieli dzieci. Równocześnie w statystykach miejskich uderzająca jest – o połowę wyższa niż średnia w kraju – nadumieralność osób w wieku 30–50 lat. Wynika ona z trudnych warunków życia, m.in. z powodu wysokiego bezrobocia po upadku przemysłu odzieżowego.

Perspektywy i obawy

Przewidywania dla Łodzi od 2015 roku były pesymistyczne. Za 35 lat Łódź może nie być miastem nawet półmilionowym. Przypomnijmy – w rekordowym roku 1988 Łódź (poszerzając swoje granice administracyjne, ale nadal będąc także punktem docelowym migracji z prowincji) zamieszkiwało ponad 850 tysięcy osób. Natomiast obecnie demografowie i statystycy badający m.in. zjawiska migracyjne alarmują, że w 2020 roku liczebność łódzkiej populacji może spaść do około 650 tysięcy. Prognozują również, że 10 lat później łodzian będzie już tylko niewiele ponad 600 tysięcy. Jeśli taki trend miałyby się utrzymać, to w roku 2040 Łódź będzie miała około 550 tysięcy mieszkańców. Prognoza na rok 2050 wymienia liczbę zaledwie około 480 tysięcy mieszkańców.

Analizy wskazują, że największe znaczenie dla tego procesu ma zahamowanie migracji do miasta, a także zwiększająca się skala „ucieczki” z Łodzi, zwłaszcza młodych, najbardziej mobilnych mieszkańców. Charakterystyczne przy tym, że odpływ ten w ostatnich latach następuje nie tylko do innych największych polskich ośrodków miejskich, ale także do miast o średniej wielkości (w tym również znajdujących się w granicach województwa łódzkiego), które okazują się dla migrantów z Łodzi bardziej atrakcyjnymi miejscami do zamieszkania. Wtórą konsekwencją tego zjawiska jest spadek liczby urodzin w mieście, w którym coraz mniej rodzin określić można – ze względu na średnią wieku – mianem „rozwojowych”.

Pogarsza się jednocześnie wewnętrzna struktura demograficzna miasta. Dziś w wieku poprodukcyjnym jest 170 tysięcy łodzian, czyli 24 procent populacji. W roku 2050 osób w wieku poprodukcyjnym będzie 163 tysiące, czyli nieznacznie tylko mniej niż dziś przy drastycznie mniejszej populacji (stanowiąc będą blisko 34 procent mieszkańców). Obniżenie wieku emerytalnego proces ten jeszcze bardziej przyspieszy. Równocześnie analizy wskazują, że o ile obecnie w Łodzi jest 16 tysięcy dzieci w wieku 0–2 lata, to w 2050 roku będzie ich około 10 tysięcy.

Podobne prognozy są niekorzystne dla całego województwa. W regionie jest tylko jeden powiat, któremu prognozuje się wzrost liczby mieszkańców – powiat łódzki wschodni. Przewidywania te zawdzięcza on przy tym nie nadziejom na wysoką rozrodczość jego mieszkańców, ale właśnie tendencjom migracyjnym – jest to

obecnie jeden z głównych obszarów osiedlania się mieszkańców Łodzi, którzy lokują tam swoje interesy.

Kolejną przyczyną wyludniania się Łodzi to przenoszenie się mieszkańców na podmiejskie osiedla. Większość wyjeżdżających przeprowadza się na tereny wiejskie. Łodzianie zastępują w ten sposób wymierającą równie szybko populację sąsiednich powiatów. Na 60 tysięcy mieszkańców, których ubyło Łodzi w ciągu ostatniej dekady, przypada tylko pięćdziesięciu wzrost liczby ludności powiatów otaczających to miasto. Wszystko przez ujemny przyrost naturalny, który w takim samym stopniu dotyka terenów podmiejskich.

Innym punktem docelowym – obok miast województwa łódzkiego – „wielkiej ucieczki” młodych z Łodzi jest oczywiście Warszawa, kusząca zarobkami i perspektywą rozwoju zawodowego. Ważnym kierunkiem zagranicznych migracji z miasta pozostają natomiast Wielka Brytania, Niemcy i Francja. W 2011 roku wyjechało za granicę na stałe blisko 300 mieszkańców Łodzi. W tym samym czasie do miasta powróciło z zagranicy zaledwie kilkadziesiąt osób.

Zasygnalizowane powyżej zjawiska – w połączeniu z zahamowaniem migracji do Łodzi – stanowią dla władz miasta i województwa prawdziwe wyzwanie. Kluczem do odwrócenia niekorzystnych dla miasta, ale i całego regionu tendencji jest nie tylko znalezienie pomysłu marketingowego na sprzedanie potencjalnym „łodzianom z importu” atrakcyjnej dla nich wizji dawnej „Ziemi Obiecanej”, ale rzeczywiste wdrożenie w życie strategicznych decyzji determinujących rozwój miasta. Rozwój być może wielonurtowy – oparty na wizji „Łodzi akademickiej”, ale także miasta centrum dużego ośrodka handlowego, wreszcie (w świetle nowych priorytetów gospodarczych obecnej ekipy rządowej, stawiającej na odbudowę rodzimej produkcji przemysłowej) miasta nowoczesnego przemysłu.

*Przemysław Waingertner
– historyk, prof. dr hab. UŁ*

Bibliografia:

1. Dzieciuchowicz J., *Z badań nad strukturą geodemograficzną wielkiego miasta*, „Acta Universitatis Lodzianensis”, Folia Geographica, z. 2.
2. Dzieciuchowicz J., *Kształt przestrzennego rozkładu wieku ludności Łodzi*, „Acta Universitatis Lodzianensis”, Folia Geographica, z. 13.
3. Ginsbert A., *Łódź. Studium monograficzne*, Łódź 1962.
4. *Łódź. Rozwój miasta w Polsce Ludowej*, red. H. Mortimer-Szymczak, Warszawa 1970.
5. *Łódź. Monografia miasta*, red. S. Liszewski, Łódź 2009.
6. *Województwo miejskie łódzkie. Monografia*, red. H. Mortimer-Szymczak, Łódź 1981.

Fot. dzięki uprzejmości Archiwum Państwowego w Łodzi

Gorzkie losy

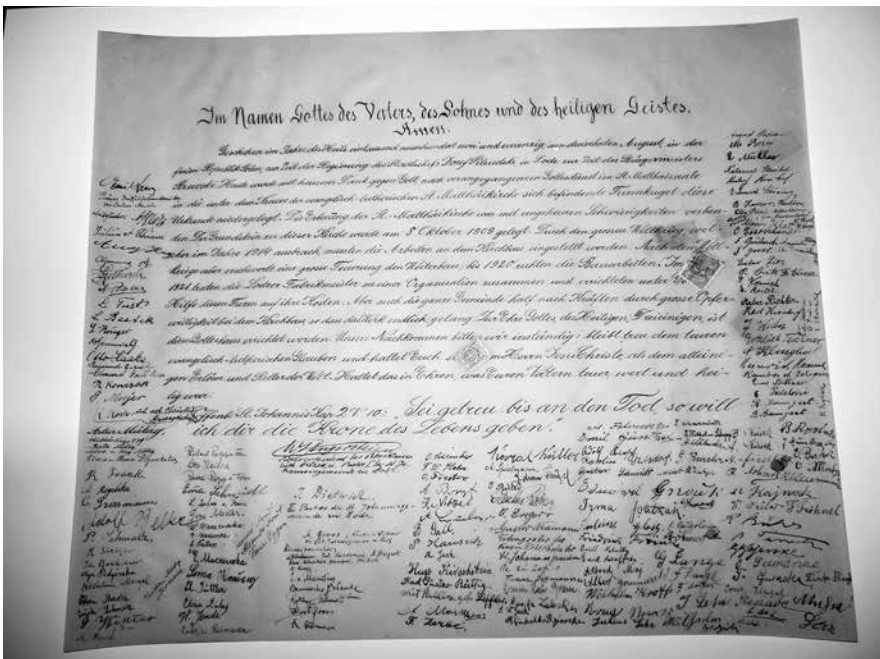
Łódzcy Niemcy, łódzcy Żydzi

„Biednemu zawsze wiatr w oczy” – mówi dawne polskie przysłowie, które ma odpowiedniki niemal we wszystkich językach. Gdy jest to wiatr Wielkiej Historii, jego skutki odczuwają wszyscy, także bogaci. Dzięki posiadanym środkom finansowym, pozycji społecznej, rozległym kontaktom zawodowym i towarzyskim ich pole manewru w obliczu trudności wydaje się szersze, ale i trudniejsze. Jako powszechnie znani skupiają na sobie uwagę otoczenia. Ich zachowanie, ich wybory traktowane są jako ważny kierunkowskaz nadchodzących zmian. Są jednak chwile, gdy na ich wielopokoleniowy dorobek patrzy się jak na przedmiot łupu. Indywidualne losy ludzi są zawsze konsekwencją bardziej lub mniej świadomego wyboru postawy wobec zmieniającej się rzeczywistości.

W środowisku przemysłowców, finansjery bardzo istotnym elementem tej rzeczywistości jest rachunek ekonomiczny. Uwarunkowania te są doskonale widoczne w postawach i zachowaniu licznej grupy łódzkiej burżuazji pochodzenia niemieckiego, doświadczającej w sposób szczególny zmiennych kolei losu. „Oni zmieniali obywatelstwa wraz ze z mianami politycznymi, a zachowywali pewne obyczaje, tradycje, nawet język. I wszyscy mówili zarówno po niemiecku, jak i po polsku” – charakteryzował dobrze mu znane środowisko Jerzy Grohman¹. Z perspektywy dziesiątków lat widać wyraźnie, że Łódź doświadczyła w swojej historii trzech takich wichur, które w zasadniczy sposób zmieniły skład jej mieszkańców i wzajemne relacje między nimi.

Ucieczki i powroty

Rewolucja 1905–1907 roku wyludniła miasto. Wyjechała większość tych, przeciw którym skierowało się ostrze robotniczego buntu. Środowiskiem miejscowej burżuazji wstrząsnęła śmierć zastrzelonego w tramwaju Emila Kunitzera. W 1907 roku jego los podzielił inny przemysłowiec Mieczysław Silberstein. Co najmniej kilkunastu łódzkich przedsiębiorców zdecydowało się przeczekać niespokojny czas w Berlinie, by z bezpiecznej odległości śledzić prasowe relacje z wydarzeń łódzkich, korespondencyjnie wydawać dyspozycje pozostawionym w fabrykach zarządcóm i dyrektoróm. Wtedy także w obawie przed pogromami opuściło miasto wielu Żydów, właścicieli niewielkich sklepików, warsztatów rzemieślniczych, które zamknięte nie prowokowały do ich niszczenia. Po spacyfikowaniu rewolucji ci eksulanci wrócili, a miasto zdołało odzyskać



dawny rytm życia. Korzystając z dozwolonej ukazem carskim swobody zrzeszania się, trzy najliczniejsze łódzkie społeczności – Polacy, Niemcy i Żydzi – zaczęły tworzyć swoje stowarzyszenia, organizacje i związki, nadając im cechy narodowe.

Kolejny wicher lat 1914–1918 wywiąt z Łodzi zasiedziała już od półwiecza społeczność rosyjską. Pozostali nieliczni, niezwiązani z carskim aparatem administracyjnym i wojskowym. Przed swoistym dylematem samookreślenia stanęli wówczas łódzcy Niemcy, w ogromnej przecież większości poddani rosyjscy, objęci okupacyjnymi zarządzeniami swoich pobratymców. Łódzcy fabrykanci niemieckiego pochodzenia szybko rozczarowali się polityką władz okupacyjnych. Rekwizycje maszyn, urządzeń, surowców praktycznie unieruchomiły łódzki przemysł. Tym razem właściciele fabryk szukali spokoju daleko od Łodzi, wywożąc swoje rodziny m.in. do znanych im już z wcześniejszych pobytów kurortów w Szwajcarii, Francji i Włoszech. Nie zawsze chodziło tylko o spokój. Henryka Grohmana, wybitnego łódzkiego przedsiębiorcę, wybuch wojny zastał w Zakopanem, gdzie jako rosyjskiemu poddanemu groziło mu internowanie. Mimo licznych perturbacji przedostał się do Lozanny i włączył w prace organizacyjne Komitetu Narodowego Polskiego tworzonego przez Romana Dmowskiego, Ignacego Paderewskiego i Henryka Sienkiewicza. Okres międzywojnia sprzyjał pogłębianiu procesu polonizacji sporej części łódzkiej burżuazji. Jej zaangażowanie społeczne, wchodzenie w związki z przedstawicielami kręgów politycznych II Rzeczypospolitej świadczyło o czymś więcej niż tylko lojalności wobec państwa.

Rozproszeni po świecie

Zwiastuny trzeciej wichury, a jak się miało okazać – niszczycielskiego huraganu, słyszalne były na długo, zanim ten się rozpętał. „W lipcu [1939 roku] Bernsteinowie pożegnali się ze wszystkimi i wyjechali na urlop – podobno do ulubionego Zakopanego. Gdy nie wrócili po miesiącu, wypytywaliśmy o nich znajomych Żydów. »Oni wyemigrowali« – mówili, ale nikt nie wiedział dokąd. Nie mogliśmy tego zrozumieć. Wyjechali bez słowa? Dlaczego?»². Kilka miesięcy później bałucka Niemka, Aurelia Scheffel, tak wspominająca czas poprzedzający wybuch drugiej wojny światowej, już nie dziwiła się nieobecności swoich żydowskich sąsiadów. „Kryształowa noc” (9–10 listopada 1938 roku) w Niemczech nie pozostawiała wątpliwości co do zamierzeń reżimu hitlerowskiego. Przeczuwając najgorsze, żydowscy przedsiębiorcy opuszczali Łódź. W większości już na zawsze, ale za to ratując życie. Ich fabryki zostały skonfiskowane przez okupantów niemieckich już na początku 1940 roku³. Potomkowie, pokolenie wnuków i prawnuków łódzkiego „króla bawełny”, Izraela Kalmanowicza Poznańskiego, rozproszyli się po świecie. Większość zamieszkała we Francji, ale nikt już później nie kontynuował drogi zapoczątkowanej przez protoplastę rodu. Natomiast później znaleźć można wśród nich artystów pióra i pędzla: Wiktora Poznańskiego, Alfreda Savoira (pseudonim artystyczny Alfreda Poznańskiego), Flavię Nagelschmidt Rodrigues (wnuczkę w piątym pokoleniu I.K. Poznańskiego)⁴.

Łódzcy przemysłowcy niemieckiego pochodzenia pozostali formalnie właścicielami swoich przedsiębiorstw, ale fabryki zostały podporządkowane Urzędowi Powierniczemu Wschód (Treuhandstelle Ost). Pod naciskiem władz niemieckich wiele z nich musiało zmienić profil produkcji. Od kwietnia 1940 roku w budynkach Zjednoczonych Zakładów Włókienniczych K. Scheiblera i L. Grohmana rozpoczęły działalność zakłady Ostdeutsche Bekleidungswerke Günther Schwarz KG, zajmujące się szyciem odzieży wojskowej. Przedsiębiorcy, którzy przyjęli niemiecką listę narodowościową, nie mieli trudności w poruszaniu się po terenie III Rzeszy. Skorzystała z tego m.in. Aleksandra Herbst, wdowa po zmarłym w 1942 roku Leonie, uważanym za „głowę” łódzkiego przemysłu i mającym rozległe kontakty w sferach przemysłowych i arystokratycznych Niemiec. Wyjeżdżając do Wiednia, zabrała ze sobą całe wyposażenie willi przy ul. Przędzalnianej, nie zapominając o 16 tysiącach butelek wina, których koneserem był jej zmarły mąż. Po zakończeniu wojny zostały sprzedane w Paryżu. Ostatnie lata życia Aleksandra spędziła w Berlinie Zachodnim.

Na długo przed wkroczeniem do Łodzi Armii Czerwonej opuścili ją Scheiblerowie. Egon wyjechał do Budapesztu, Jerzy sporo czasu spędzał w majątku rodzinnym Blumerode (Kwietno) na Śląsku. Po zakończeniu wojny część rodziny odnalazła się w Monachium, gdzie dołączyły do nich Ksenia i Wiera Richter, córki Reinholda, którym jesienią 1945 roku Rosjanie nakazali opuścić willę przy ul. Wólczańskiej. „Był 5 marca 1991 roku. Od 17 stycznia 1945 roku aż do tego dnia żaden członek rodziny Scheiblerów i Flackerów nie stąpił po polskiej ziemi. Nie wiedziałem, czy szybciej

bije moje serce, czy szybciej jedzie pociąg” – nieco patetycznie, ale szczerze brzmi to wyznanie Petera Christoph von Scheiblera, który w pełni świadomie postanowił dotknąć łódzkiego dziedzictwa swoich przodków. W łódzkiej prasie dyskutowano wówczas z żywieniem, czy „ten Scheibler” z brazylijskiego São Paulo, jest na pewno „z tych” Scheiblerów?

Trudne przetrwanie

Innym nieco, choć w finale identycznym torem potoczyły się losy rodzin należących do mocno już spolonizowanej burżuazji niemieckiej, często deklarujących i czynem potwierdzających swój polski patriotyzm. Dokonane przez gestapo w listopadzie 1939 roku zabójstwo Roberta Geyera i Guido Johna, uważanych powszechnie za czołowe postacie tego środowiska, było czytelną deklaracją władz okupacyjnych. Alfred i Jerzy Grohmanowie, wnukowie Ludwika Grohmana, natychmiast wtedy zdecydowali się opuścić Łódź i wyjechali do Krosna, leżącego w Generalnym Gubernatorstwie, by zająć się sprawami tamtejszego przedsiębiorstwa Iniarskiego, którego 88 procent akcji było własnością firmy Scheibler i Grohman⁵. W Krośnie nie byli też indagowani o przyjęcie niemieckiej listy narodowościowej. W lipcu 1944 roku z nadania władz polskich w Lublinie Alfred Grohman pozostał wprawdzie na stanowisku dyrektora fabryki, ale już w marcu 1945 roku wraz z całą krośnieńską inteligencją został wywieziony przez NKWD do Donbasu. Trzy lata przepracował w kopalni, wrócił do Polski w 1948 roku, zwolniony dzięki ponawianym interwencjom na różnych szczeblach.

Jesienią 1939 roku gestapo zatrzymało Karola Geyera, syna Emila. Zwolniony, otrzymał nakaz opuszczenia Łodzi i zamieszkał w swoim wzorowo prowa-



dzonym majątku Zielona Dąbrowa pod Częstochową. W 1944 roku doszło do tragedii, gdy uprowadzony przez partyzantów Armii Ludowej syn Mariusz zginął podczas próby odbicia. Wkrótce dzięki łapówkom z żoną i pozostałą dwójką dzieci, Anną i Karolem, przedostał się przez Austrię do Szwajcarii. Zamieszkał w Zurychu, gdzie w 1947 roku zmarł nagle na atak serca. Wdowa z dziećmi wyjechała do Kanady.

W obawie przed niepewną przyszłością, na wyjazd-ucieczkę z Łodzi zdecydowali się też bracia Walter i Edward Kindermannowie. Walter, wybitny prawnik, szef biura prawnego firmy Scheibler i Grohman, żonaty był z Żydówką. Zlikwidował swoje łódzkie lokum, wynajął dla żony i córki mieszkanie w Wiedniu. Ale i tam było niebezpiecznie, więc wkrótce sprowadził je do Łodzi i ukrył w willi Henryka Grohmana, w której sam także zamieszkał. Tam udało się im dotrzeć prawie do końca okupacji. Jednak przed wkroczeniem Armii Czerwonej Kindermannowie zdołali uciec do Wiednia, gdzie znalazł się także brat Waltera, Edward, inżynier chemik, kolorysta, kierujący przed 1939 roku farbiarnią i wykończalnią w kombinacie Scheiblerowskim. „Dom Edwarda to była taka replika Łodzi” – wspominał po latach goszczący w Wiedniu w 1961 roku Jerzy Grohman. Z kolei Walter Kindermann wraz z żoną prowadzili w Wiedniu salon odwiedzany przez austriacką arystokrację i najwybitniejszych przedstawicieli świata muzycznego z Igorem Strawieńskim, Światosławem Richterem, Mścisławem Rostropowiczem i Herbertem von Karajanem na czele.

„Gdy po naszej ucieczce próbowaliśmy odnaleźć swoje miejsce w Niemczech, byliśmy »Polaken«. My, uchodźcy z Polski, zostaliśmy pozbawieni swych korzeni i musieliśmy zaczynać wszystko od nowa” – wspominał pierwsze powojenne lata Karl-Heinz Goepfert, syn spadkobierca znakomitej łódzkiej fabryki kapeluszy „Karol Göppert”. Te gorzkie słowa mogą stanowić motto do nadal nierozpoznanej historii Niemców łódzkich, których huragan dziejów wymiół z ich ojczyzny. Sentymentalne powroty podjęli nieliczni. Nie zawsze zaawansowany wiek pozwalał na podjęcie trudów podróży. Często udaremniała ją bolesność wspomnień o mieście młodości.

Krzysztof Paweł Woźniak

– dr hab. historyk, etnograf, Instytut Historii UŁ

Bibliografia:

1. Bojanowski T., *Łódź pod okupacją niemiecką w latach II wojny światowej 1939–1945*, Łódź 1992.
2. Bojanowski T., *Przemysł włókienniczy w Łodzi w latach okupacji hitlerowskiej (1939–1945)*, „Rocznik Łódzki” 1976, t. 24.
3. Goepfert K H., „*Sic transit gloria mundi*” – *So vergeht der Ruhm der Welt*, [w:] *Gdzie są Niemcy z tamtych lat – wspomnienia łódzkich Niemców / Sag mir, wo die*

- Deutschen sind – Erinnerungen der Lodzer Deutsche*, praca zbiorowa pod red. K. Radziszewskiej, Łódź 1999.
4. *Imperium rodziny Poznańskich. Przywrócone dziedzictwo czasu i miejsca*, pod red. M. Jakóbczyk, K. Kuropatwy-Pik, C. Pawlaka, Łódź 2012.
 5. *Ostatni z rodu. Z prezesem Stowarzyszenia Polskich Przemysłowców Jerzym Grohmanem rozmawia Ludwik Jerzy Kern*, „Przekrój” 1990, nr 2351, s. 10, 11, 16; nr 2352, s. 10, 11, 16.
 6. Scheibler v. P. Ch., *Scheiblerowie w drodze do ziemi obiecanej. Poprzedzone rozważaniami Kazimierza Badziaka*, Łódź 2014.
 7. Scheffel A., *Łódź – historia/e. Wspomnienia – epizody z mojego życia*, Łódź 2008.
 8. Spodenkiewicz P., *Piasek z Atlantydy. Rozmowy z Jerzym Grohmanem*, Łódź 2006.
 9. *Tonąca Łódź (lata 1939–1945) / Das sinkende Boot (der Zeitraum 1939–1945)*, pod red. K. Radziszewskiej, Łódź 2002.

Przypisy:

1. P. Spodenkiewicz, *Piasek z Atlantydy. Rozmowy z Jerzym Grohmanem*, Łódź 2006, s. 76.
2. A. Scheffel, *Łódź – historia/e. Wspomnienia – epizody z mojego życia*, Łódź 2008, s. 43–44.
3. T. Bojanowski, *Przemysł włókienniczy w Łodzi w latach okupacji hitlerowskiej (1939–1945)*, „Rocznik Łódzki”, t. 24, 1976, s. 9.
4. Twórczość wymienionych przypomniano podczas wydarzeń obchodów 35-lecia Muzeum Miasta Łodzi (15–17 października 2010 roku), połączonych ze spotkaniem rodzinnym *Powrót do ziemi obiecanej – sentymentalna podróż rodziny Poznańskich*.
5. *Ostatni z rodu. Z prezesem Stowarzyszenia Polskich Przemysłowców Jerzym Grohmanem rozmawia Ludwik Jerzy Kern*, „Przekrój” 1990, nr 2352, s. 10.
6. A. Scheffel, *Łódź– historia/e. Wspomnienia – epizody z mojego życia*, Łódź 2008, s. 43–44.

Łódzkie drogi Rosjan

Exodusy i powroty

Łódź – niegdyś miasto wielu kultur, które do dziś zadziwia turystów świata. Nic więc dziwnego, że odwiedzają je dawni mieszkańcy: Niemcy, Żydzi i Rosjanie. Wspólnie z Polakami ponad 100 lat temu stanowili wielokulturową społeczność, różną językowo, wyznaniowo i obyczajowo, a mimo to jedną – łódzką. Tę kulturową mozaikę jako pierwsi opuścili Rosjanie, którzy, jak na ironię, w momencie swojego exodusu byli formalnymi gospodarzami miasta.

Nieproszeni przybysze

Mówiąc o Rosjanach przed pierwszą wojną światową, należy mieć na uwadze fakt, że kryteria narodowościowe w wieku XIX nie figurowały jeszcze w spisach ludności. Posługiwano się kategoriami wyznania i języka. Tak więc Rosjanin przed pierwszą wojną światową to z reguły osoba prawosławna i rosyjskojęzyczna.

Obecność Rosjan w Łodzi datować należy na drugą połowę XIX wieku. Ich wzrastający napływ do miasta związany był z klęską powstania styczniowego i wynikającą z niej represyjną polityką caratu. W tym czasie Łódź była miastem powiatowym i wchodziła w skład guberni piotrkowskiej. I tak w 1862 roku, czyli jeszcze przed powstaniem styczniowym, w Łodzi mieszkało zaledwie trzech Rosjan. Po upadku powstania w 1864 roku liczba ta wolno rosła. W 1865 roku było ich ośmiu, a po 20 latach, w 1894 roku, ich liczba wynosiła już 444 osoby wśród ludności stałej i 820 osób wśród ludności niestałej. W 1914 roku w Łodzi na stałe mieszkało 1416 Rosjan, a 2875 przebywających tu przedstawicieli tego narodu miało status ludności niestałej¹. Według innych ustaleń liczba Rosjan w Łodzi wynosiła odpowiednio: 7400 w 1897 roku, 6300 w 1913 roku i 7000 w 1914 roku². Biorąc pod uwagę fakt, że miasto rozwijało się wówczas intensywnie (w latach 1820–1914 liczba mieszkańców Łodzi wzrosła ponad 623 razy – z niespełna 800 osób do niemal pół miliona), liczba Rosjan była wciąż niewielka, a jej odsetek wahał się od jednego do dwóch procent.

Przybywający na ziemię polskie Rosjanie byli najczęściej urzędnikami, którzy mieli realizować założenia polityki caratu. Według spisu powszechnego z 1897 roku aż 16 procent osób zatrudnionych w Łodzi w administracji i sądownictwie było Rosjanami³. Postacią najważniejszą, zarówno dla mieszkańców Łodzi, jak i całej

guberni piotrkowskiej, był gubernator piotrkowski. Funkcję tę pełnili: Iwan Siemionowicz Kachanow (urzędował w latach 1867–1884), Nikołał Aleksiejewicz Zinowjew (1884–1887), Aleksandr Władimirowicz Komarow (1887–1890), Konstantin Konstantinowicz Miller (1890–1904), Michaił Wiktoriwicz Arcimowicz (1904–1906), Antonij Ottonowicz Essen (1906–1910) oraz, jako ostatni, Michaił Eduardowicz Jaczewskij (1910–1917)⁴.

Rosyjską elitę w samej Łodzi stanowili wysocy rangą urzędnicy i oficerowie. Do eksponowanych stanowisk należała funkcja naczelnika powiatu⁵. Jednym z pierwszych był major Nikołał Fiedorowicz von Burmejster (urzędował w latach 1877–1885)⁶. Na stanowisku naczelnika powiatu łódzkiego zastąpił go radca kolegialny Władimir Andriejewicz Kwarnberg (ur. w 1851), który objął tę posadę 9 stycznia 1886 roku i pozostał na niej do 1890⁷. Kolejnym łódzkim naczelnikiem był sekretarz kolegialny Martin Ławrentiejewicz Skomorowskij (ur. w 1859), który do Łodzi przybył 15 lipca 1902 roku⁸. Od 1 lipca 1904 roku do 1910 roku posadę tę piastował radca dworu Władimir Martynowicz Michniewicz⁹. Kolejnymi naczelnikami byli Kisielewicz i Makarow. Ten drugi przybył do Łodzi w czerwcu 1912 roku¹⁰. Był ostatnim naczelnikiem powiatu łódzkiego, a swój urząd pełnił do opuszczenia Łodzi w 1914 roku.

Istotną funkcją w carskich strukturach urzędniczych była posada policmajstra – szefa policji carskiej, odpowiedzialnego za utrzymanie porządku w mieście. Policmajstrom Łodzi był m.in. sztabrotsrotmistrz Ławrientij Pietrowicz Maksimow. Na stanowisku policmajstra Łodzi był od 23 września 1876 roku do 1888 roku¹¹. Jego następcą został kapitan Nikołał Arseniewicz Danilczuk, który służbę w Łodzi rozpoczął 24 stycznia 1889 roku. Był on gorliwym urzędnikiem. Jego służbę docenił sam car, który w 1890 roku ofiarował mu pierścień z brylantem i złoty zegarek z łańcuszkiem¹². Kolejnym szefem łódzkiej policji był radca stanu Iłarion Wieniediktowicz Chrzanowskij (ur. w 1848). Piastował to stanowisko od 1 lipca 1894 roku do 1907 roku¹³. 11 kwietnia 1908 roku posadę tę objął radca dworu Nikołał Kanstantinowicz Riezonow¹⁴. Ostatnim policmajstrom Łodzi był kapitan Konstantin Nikołałjewicz Czesnakow, który wcześniej był policmajstrom Sosnowca. Przybył do Łodzi we wrześniu 1913 roku¹⁵.

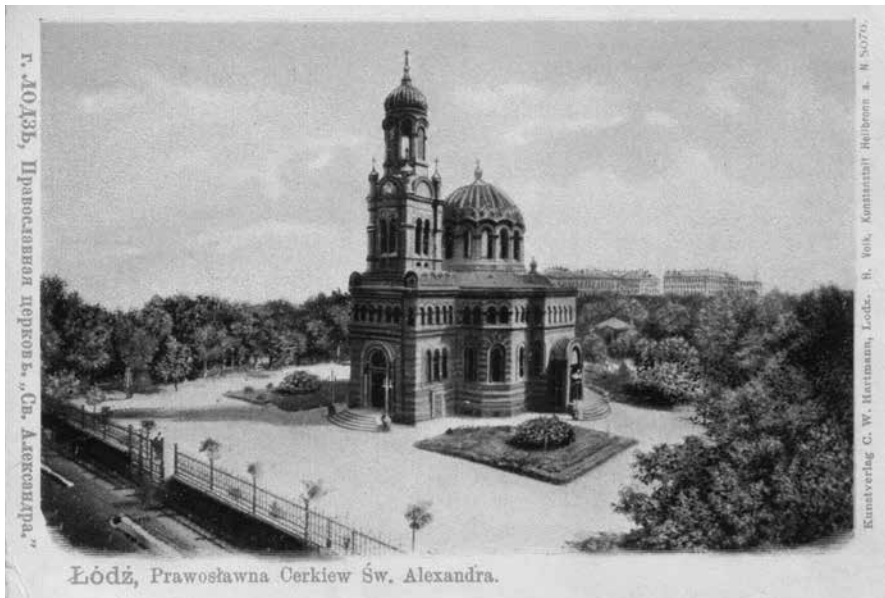
Poza naczelnikiem powiatu i szefem miejskiej policji oraz kilkunastoma wyższymi funkcjonariuszami pozostali urzędnicy najczęściej byli Polakami. W 1888 roku wśród 15 członków łódzkiego magistratu aż 13 było katolikami. W grupie tej znajdował się jeden luteranin – lekarz miejski Juliusz Lorer oraz jeden prawosławny – dziennikarz archiwista Alekszej Jelifierjewicz Własenko¹⁶. Pozostali, z prezydentem Łodzi Władysławem Pieńkowskim na czele, byli katolikami i Polakami realizującymi politykę carskiej Rosji.

Cerkwie – zwykłe świątynie

Rosjanie w Łodzi obejmowali posady nauczycieli w carskich szkołach, byli także duchownymi w powstających cerkwiach oraz żołnierzami. Widocznym znakiem obecności

Rosjan w Łodzi były cerkwie prawosławne. Do wybuchu pierwszej wojny światowej w mieście funkcjonowały cztery takie świątynie. Najstarszą była cerkiew św. Aleksandra Newskiego, którą konsekrowano 29 maja 1884 roku. Budowę świątyni w dużej mierze sfinansowali łódzcy fabrykanci. Kolejną cerkiew zbudowano w Łodzi dla żołnierzy 37 Jekaterynburckiego Pułku Piechoty. Nosiła ona wezwanie św. Aleksego Metropolity Moskiewskiego i była symbolem podziękowania za 100 lat istnienia pułku. Świątynię wyświęcono 28 listopada 1896 roku w przeddzień uroczystości jubileuszowych¹⁷. Dwa lata później, 16 października 1898 roku, wyświęcono kolejną prawosławną świątynię. Powstała ona dla dzieci i pracowników prawosławnego sierocińca. Patronką nowej cerkwi była św. Olga¹⁸. Najmłodszą prawosławną świątynią w Łodzi jest cerkiew cmentarna pod wezwaniem Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny, którą ulokowano na nowym cmentarzu na Dołach. Budowę cerkwi ukończono 4 maja 1914 roku¹⁹ – tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej.

Liczba Rosjan w Łodzi nigdy nie była wysoka. Jednakże do wspomnianych kilku tysięcy mieszkańców dodać należy stacjonujących w mieście żołnierzy. Wojsko nie było bowiem liczone w spisach ludności miast, a władze carskie starały się, aby przebywający w Królestwie Polskim żołnierze nie byli Polakami. Najczęściej kierowano tu Rosjan. Dla przykładu, w 1897 roku stacjonowało w Łodzi 4412 żołnierzy, a z nich Rosjanami było 3548, czyli ponad 80 procent. W historii Łodzi najtrwalej zapisał się 37 Jekaterynburcki Pułk Piechoty, który stacjonował w mieście w latach 1856–1907²⁰. Żołnierze ci byli odbierani przez ówczesnych łódzian pozytywnie. Istotną okazała się tu wojskowa orkiestra, która często w parku w Helenowie umiała wypoczy-



nek łodzianom. Anegdota głosi, że gdy orkiestra wyszła wraz z pułkiem na ćwiczenia, łodzianie z niezadowoleniem pisali prośby do dowódcy, domagając się szybkiego powrotu ulubionych muzyków²¹.

Nie zabrakło też Rosjan wśród łódzkich fabrykantów. Najwybitniejszym na tym polu był Włodzimierz Stolarow. Przybył on do Łodzi z Rosji w 1888 roku i założył na Dąbrowie fabrykę bawełnianą. Jego zakład szybko się rozrastał. Na przełomie 1900 i 1901 roku zatrudniał już 698 robotników²².

Ewakuacja

Nic nie zapowiadało, że Rosjanie będą zmuszeni opuścić Łódź. Zadomowieni w niej od ponad pół wieku przeżyli tu dni szczęścia i trwogi i ani polskie powstania narodowe, ani rewolucja 1905–1907 nie zniechęciły ich do życia w mieście. Wszystko zmieniło się latem 1914 roku. Łowicki kronikarz Władysław Tarczyński w swojej *Kronice z pierwszych dziewięciu miesięcy wielkiej wojny* w oddalonym od Łodzi o około 50 km na północny wschód Łowiczu zapisał pod datą 31 lipca: „Nocny pociąg do Aleksandrowa był przepełniony rosyjskimi rodzinami urzędników komory, kolei i poczt całego pogranicza, aż do Włocławka. Byli to ci, którzy dostali telegraficznie rozkaz natychmiastowego wyjazdu do Rosji, tam gdzie kto skąd pochodzi”²³. Następnego dnia zanotował: „Szosami od Kutna i od Łodzi, z miast nadgranicznych mnóstwo przez Łowicz zaczęło przejeżdżać z uciekającymi wozów, bryk, furgonów, dorożek itp.”²⁴. Rozpoczęła się pierwsza wojna światowa, a wraz z nią ucieczka Rosjan.

Łódź do wojny przystąpiła z końcem lipca 1914 roku. W lokalnym dzienniku „Rozwój” ukazało się ogłoszenie gubernatora piotrkowskiego Jaczewskiego następującej treści: „Gubernia piotrkowska od d. 31 lipca 1914 roku włączona zostaje w krąg terytoriów działań wojennych i od tej daty pozostaje na stopie wojennej”²⁵. W Łodzi zaś naczelnik garnizonu miasta generałmajor Wasiljew z datą 2 sierpnia obwieścił: „Państwo niemieckie wypowiedziało nam wojnę, wobec czego w Łodzi i okolicach ogłoszony został stan wojenny. Wstępując w główny zarząd nad wszystkimi instytucjami, polecam wszystkim mieszkańcom zachować zupełny porządek i podporządkowywać się tak władzom policyjnym, jak i moim rozporządzeniom, za przekroczenie których karać będę z całą surowością praw stanu wojennego”²⁶.

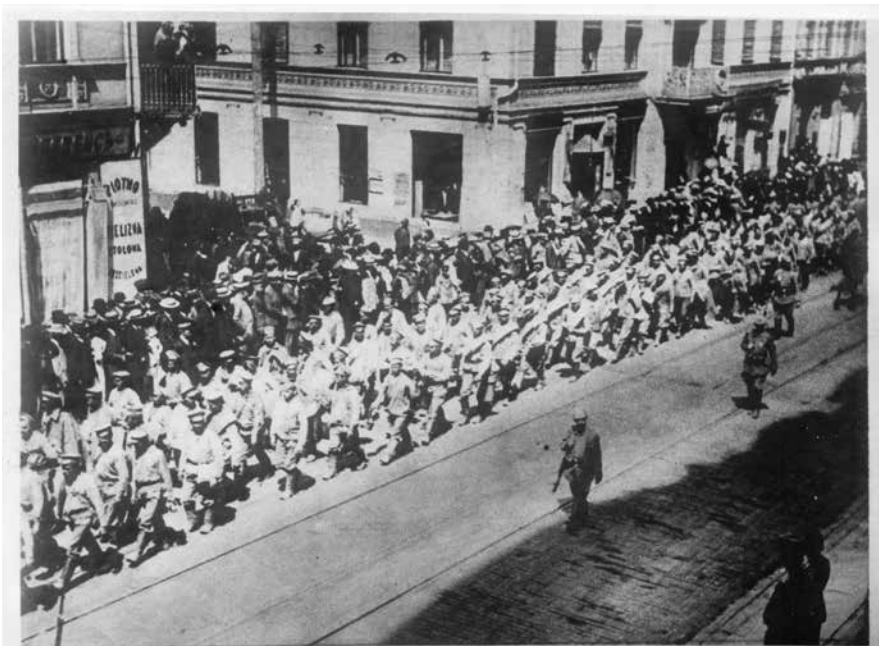
Strach był ogromny. Władze i redaktorzy pism uspakajali opinię publiczną. Nawet po bombardowaniu Kalisza próbowano nie dopuścić do paniki. Stanisław Łąpiński, autor artykułu *Na pograniczu*, pisał 12 sierpnia 1914 roku: „Przed wszystkim zaś wszelkimi siłami starać się o utrzymanie spokoju, zimnej krwi i rozważli, a wszelkie alarmujące wieści przyjmować krytycznie, tj. nie uważać ich za całkowicie pewne, bo nawet naoczni świadkowie nie zawsze zdają sobie dobrze sprawę z tego, na co patrzą. Strach bowiem ma wielkie oczy, a ludzie przerażeni zazwyczaj potęgują grozę wypadków, których byli świadkami”²⁷.

Łodzian uspokajał nawet gubernator piotrkowski Jaczewski, który 12 sierpnia przyjechał do miasta i przemawiał do zebranych na dworcu Kolei Fabryczno-Łódzkiej. Apelował, aby „spokój zachowywać, nie denerwować się, zapewniając, że wkrótce będą nadesłane takie siły wojskowe, które nie pozwolą nieprzyjacielowi zbliżyć się do miasta”²⁸.

Jednakże dzień później rozpoczęła się pierwsza ewakuacja. Objęła ona więźniów łódzkich, których przewieziono w głąb Cesarstwa. Po niej następowały kolejne. Trudno precyzyjnie oszacować liczbę Rosjan, którzy wtedy opuścili Łódź. To ponad półmilionowe wówczas miasto w pierwszych dniach „wielkiej wojny” doświadczyło znaczącego regresu demograficznego. Grupą, która jako pierwsza je opuściła, byli rosyjscy urzędnicy²⁹. Na przełomie września i października 1914 roku miasto opuścili nauczyciele łódzkich szkół, którym zgodnie z decyzją naczelnika łódzkiej dyrekcji naukowej rzeczywistego radcy stanu Nikołaja Iwanowicza Bielajewa³⁰ wydano bezpłatne bilety na wyjazd do Rosji. Zwolnienie z opłat objęło także rodziny nauczycieli³¹. 29 września wieczorem Łódź opuściły władze policyjne i żandarmeria. Tego samego dnia wyjechali pracownicy poczty³². Nazajutrz ewakuowali się urzędnicy magistratu z prezydentem Władysławem Pieńkowskim na czele, którzy odjechali ze stacji Kolei Kaliskiej do Warszawy. Razem z nimi uciekli pracownicy kolejowi z rodzinami³³. 8 października 1914 roku w „Rozwoju” ukazał się artykuł pt. *Obecna fizyognomia Łodzi*. Jego autor pisał: „Ile osób opuściło naszą Łódź w ostatnich kilku tygodniach? Cyfry, nawet przybliżonej, nikt zapewne nie byłby w stanie podać. Ale bez wątpienia składają się na nią dziesiątki tysięcy”³⁴.

Niemcy zajmowali Łódź kilkakrotnie. Za pierwszym razem okupowali ją jeden dzień (17 sierpnia 1914 roku), później – od 8 października – pozostawali w niej przez 20 dni³⁵. Po ich odejściu i unormowaniu się sytuacji na froncie Rosjanie zaczęli do Łodzi wracać. Pierwsi byli w mieście carscy żołnierze, którzy wyparli Niemców. Spotkali się z dużą sympatią Łodzian. „Rozwój” 2 listopada 1914 roku pisał: „Przybyłe do Łodzi wojska rosyjskie zachwycone są przyjęciem, jakie spotkało ich ze strony Łodzian. Żołnierze są po prostu rozchwytywani przez mieszkańców. Każdy chce w jakikolwiek bądź sposób okazać swą sympatię dla dzielnych wojaków. Nawet najbiedniejsi od ust sobie odejmują, aby tylko obdarować żołnierza. Mamy do zanotowania wypadek, gdy jakaś staruszka zdjęła z palca obrączkę srebrną i oddała ją żołnierzowi, przepraszając, że nie ma nic więcej. Syn jej powołany został z innymi na pole walki, lecz nie doczekała się go. Poległ w obronie ojczyzny na polach mazurskich pod Mławą”³⁶.

4 listopada 1914 roku do Łodzi z Warszawy powrócili rosyjscy urzędnicy, którzy wcześniej opuścili miasto. Wśród nich byli naczelnik powiatu łódzkiego Makarow oraz funkcjonariusze łódzkiej policji³⁷. Przybyli na chwilę do Łodzi policjanci z policmajstrem kapitanem Czesnakowem na czele mieli pomagać w działaniach wojennych wojsku. W mieście miało pozostać jedynie 200 funkcjonariuszy pod dowództwem komisarza Dobrotworskiego³⁸. Jednak nie wszyscy urzędnicy chcieli



Eine Abteilung russischer Gefangener wird auf der Defillauer Straße zu Łódź am Grand-Hotel vorbeigeführt (1915).

wracać na swoje miejsca służby, dlatego 7 listopada 1914 roku w prasie ukazała się informacja: „Prezydentom miast, burmistrzom i urzędnikom magistratów z północnych powiatów gub. piotrkowskiej polecono niezwłocznie wyjechać do miejsc swego urzędowania i wznowić czynności magistratów”³⁹. 11 listopada do Łodzi powrócili rosyjscy urzędnicy pocztowi⁴⁰. Radość z odzyskanego miasta trwała jednak krótko. Już 6 grudnia Łódź została zajęta przez Niemców⁴¹. Wówczas zakończyła się trwająca od 11 listopada tzw. operacja łódzka, która zadecydowała o losach Łodzi⁴². Rosjanie opuścili miasto na zawsze. Wzruszający obraz ewakuacji zapisała w swoim pamiętniku Violetta Thurstan – angielska pielęgniarka, która na początku pierwszej wojny światowej pracowała w jednym z łódzkich szpitali. W jej relacji czytamy: „[...] powiedziano nam, że władze wojskowe wydały rozkaz ewakuacji pacjentów i że wozy Czerwonego Krzyża będą całą noc zabierać rannych do pociągów sanitarnych. Pracowaliśmy więc ciężko, by założyć, względnie zmienić opatrunki rannym przed zabraniem. [...] Następnego popołudnia w czasie nieustannego przyjmowania nowych poszkodowanych dostaliśmy rozkaz, by tych również ewakuować, a szpital zamknąć, gdyż Rosjanie zdecydowali się na opuszczenie Łodzi. Ponownie pracowaliśmy całą noc i o godz. 10.00 ostatni pacjent opuścił szpital. [...]. Ewakuowanie ponad 18 000 rannych w ciągu czterech dni było nie lada wyczynem, arcytrudnym zadaniem, które wykonaliśmy bez zarzutu. Ta akcja stała się powodem dumy dla Rosjan⁴³”.

Uciekający z Łodzi Rosjanie pozostawili w niej swoje domy, świątynie, biblioteki i groby bliskich na prawosławnych cmentarzach.

Powroty

Część Rosjan, która podczas pierwszej wojny światowej opuściła Łódź, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości powróciła do swojej „nowej ojczyzny”. Ich życie po 1918 roku odbywało się tu na innych zasadach niż jeszcze cztery lata temu. Przed pierwszą wojną światową Rosjanie byli gospodarzami miasta. W II Rzeczypospolitej stali się już tylko jedną z wielu mniejszości narodowych. Podobnie jak Niemcy czy Żydzi musieli szukać swojej przestrzeni życiowej. Przychodziło im to jednak z dużo większym trudem niż pozostałym mniejszościom.

Widocznym znakiem odebrania prymatu Rosjanom była rozbiórka lub likwidacja [przekazanie Kościołowi katolickiemu – PW] prawosławnych świątyń w II Rzeczypospolitej. Zburzono m.in. sobór Św. Aleksandra Newskiego w Warszawie⁴⁴, cerkwie w Kaliszu, Tomaszowie Mazowieckim czy Łęczycy⁴⁵. Przestały być cerkwiemi m.in. świątynie w Skierniewicach i Łomży⁴⁶. Cerkwie łódzkie uchroniły się przed rozbiórką. Tylko jedna ze świątyń odebrana została prawosławnym i przekazana katolikom. To cerkiew wojskowa św. Aleksego Metropolity, którą w 1919 roku zamieniono na katolicki kościół garnizonowy pod wezwaniem św. Jerzego⁴⁷.

Mimo to Rosjanie do Łodzi wracali. Przykładem może być rodzina Stolarowów. Przed pierwszą wojną światową posiadali oni fabrykę bawełnianą, którą założył Włodzimierz Stolarow – honorowy obywatel Moskwy, kupiec I gildii. W 1914 roku cała rodzina ewakuowała się do Moskwy. Po zakończeniu wojny powrócili do Łodzi i odbudowali swoje przedsiębiorstwo zniszczone przez Niemców. Dokonał tego syn Włodzimierza – Aleksander Stolarow⁴⁸.

Wielu Rosjan wróciło do Łodzi ze względu na swoje, niewygodne w rewolucyjnej Rosji, pochodzenie. Przybyszami takimi byli urzędnicy i żołnierze wiernie służący caratowi, który został przez bolszewików obalony. W taki sposób do Łodzi przybyła rodzina de Lazari. Nikołaj Nikołajewicz de Lazari był generałem carskiej żandarmerii [policji politycznej – PW]. W latach 70. XIX wieku pełnił funkcję naczelnika żandarmerii w powiecie grójeckim w guberni warszawskiej, później przeniesiony został do guberni radomskiej⁴⁹. Zmarł w 1902 roku w Rosji. Miał dwóch synów Aleksandra i Konstantego. Aleksander, który był carskim pułkownikiem, został w bolszewickiej Rosji. W 1941 roku aresztowano go i oskarżono o szpiegostwo na rzecz Polski. Zginął rok później. Natomiast Konstanty de Lazari w 1920 roku uciekł do Polski. Znał język polski, gdyż tu przed pierwszą wojną pracował w carskiej administracji. Osiedlił się w Łodzi i podjął pracę w Izbie Skarbowej. Zmarł w 1930 roku⁵⁰. Podobną drogę pokonały rzesze rosyjskich rodzin uciekających przed prześladowaniami ze strony bolszewików. Wśród nich warto wymienić słynną rzeźbiarkę Katarzynę Kobro, która przyjechała do Łodzi wraz z mężem Władysławem Strzemińskim. Ta wybitna artystka

o rosyjskim pochodzeniu zmarła w 1951 roku i została pochowana na cmentarzu prawosławnym na Dołach⁵¹.

Prześladowania

Nie wszyscy Łódzcy Rosjanie mogli i chcieli wracać do Łodzi. Wielu z nich pozostało na rosyjskiej ziemi, która z czasem stała się dla nich jeszcze bardziej obca niż odrodzona Polska dla tych, którzy do niej powrócili. Dawne zwyczaje, cenione koneksje rodzinne, prestiżowe stanowiska w organach państwa z dnia na dzień stały się powodem do aresztowań, wywózek i śmierci.

Wymownym przykładem takiego Rosjanina był mieszkaniec gubernialnego Piotrkowa – Leonid Iwanowicz Skworcow. Urodził się on w 1907 roku w Piotrkowie⁵². Był synem Iwana Wieniaminowicza Skworcowa – urzędnika piotrkowskiej izby skarbowej i wnukiem Wieniamina Iwanowicza Skworcowa – proboszcza cerkwi parafialnej św. Jana Chrzciciela w Łowiczu⁵³. Jak podano w dokumentach śledztwa prowadzonego przez NKWD, Leonid Skworcow w 1914 roku razem z rodzicami ewakuował się z Polski do guberni tambowskiej. Tam po osiągnięciu pełnoletności wstąpił do Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Jednakże wstępując, ukrył swoje pochodzenie społeczne i zataił fakt, że jego ojciec „pracował w piotrkowskim carskim urzędzie w randze asesora kolegialnego”, za co w 1937 roku został z partii usunięty. Oskarżono go także o antysowiecką agitację wśród współpracowników, za co został aresztowany i osadzony w Butyryńskim więzieniu⁵⁴ – cieszącym się złą sławą,



drugim zaraz po Łubiance, stalinowskim więzieniu w Moskwie. Podczas przesłuchań funkcjonariusze NKWD wysnuli wniosek, że Skworców jest polskim szpiegiem. Oto fragment przesłuchania: „Pytanie: Kogo macie z rodziny i znajomych za granicą? / Odpowiedź: Mam rodzinę w Polsce: babka (matka mojej matki) Maria Ludwikowna Jankowska i ciotka Anna Pietrowna Jankowska, mieszkają one w mieście Bielsku, w guberni grodzieńskiej. / Pytanie: Prowadzicie korespondencję z kimś z zagranicy? / Odpowiedź: Korespondencji z zagranicą nie mam i nie miałem. [...] / Pytanie: Za co zostaliście wykluczeni z WKPB? / Odpowiedź: Z WKPB wykluczony zostałem we wrześniu 1937 roku za ukrywanie pochodzenia społecznego. / Pytanie: I za działalność antysowiecką? / Odpowiedź: Nie, tego mi nie przedstawiono. / Pytanie: Zostaliście aresztowani za działalność szpiegowską na rzecz Polski i za kontrrewolucyjną, oszczerczą agitację. Przyznajecie się do winy? / Odpowiedź: Szpiegowską i kontrrewolucyjną działalnością nie zajmowałem się i do winy się nie przyznaję”⁵⁵.

NKWD nie uwierzyło jednak w zapewnienia Skworcowa. Został skazany na 10 lat łagru w Magadanie w Chabarowskim Kraju. Po pisemnej interwencji matki w maju 1940 roku karę złagodzano do pięciu lat, ale Skworców nie doczekał wolności. Zmarł w 1943 roku, na kilka miesięcy przed uwolnieniem⁵⁶.

Przypadki Aleksandra de Lazari i Leonida Skworcowa nie były odosobnione. Ich los podzieliło wielu Rosjan, którzy na początku pierwszej wojny światowej w obawie przed Niemcami uciekli do Rosji. Tam wpadli w ręce komunistów, którzy wiedząc o ich „carskich” parantelach i rodzinie pozostawionej w Polsce, widzieli w nich klasowych wrogów przeznaczonych do likwidacji.

Epilog

Gdy dziś wjeżdża się do Łodzi, nie od razu wiadomo, że mieszkali w niej kiedyś Rosjanie. Dopiero spacer po łódzkich nekropoliach czy widok cerkwi zwieńczonych kopułami i cebulastymi hełmami przywodzi na myśl dawne czasy. Miejsca te na trwałe wryły się w historyczną panoramę miasta i z pewnością pomagają w podtrzymaniu wielokulturowego obrazu Łodzi⁵⁷.

Piotr Wysocki
– historyk

Bibliografia

Źródła archiwalne:

1. De Lazari N., *Szkice na papierze*, tłum. A. de Lazari, Łódź 2014.
2. Tarczyński W., *Nie wybiła godzina wybawienia z otchłani nieszczęść... Kronika dziejów Łowicza Władysława Tarczyńskiego*, oprac. M. Wojtylak, Warszawa 2015.
3. Государственный Архив Российской Федерации, ф. 10035, оп. 1, д. р–29123.

Prasa:

1. „Bitewnik Łódzki 1914” 2013, nr 6.
2. „Kurjer Warszawski. Dodatek poranny” 1913, nr 265.
3. „Nowa Gazeta Łódzka”, 30 września 1914.
4. „Rozwój” 1912, nr 132; 1914: nr 174, nr 182, nr 183, nr 219, nr 221, nr 228, nr 249, nr 251, nr 252, nr 254.
5. „Rozwój. Wydanie poranne”, 11 listopada 1914.
6. *Памятная книжка Петроковской губернии на... год*, Петроков: 1876, 1879, 1881, 1884, 1885, 1888, 1889, 1890, 1903, 1907, 1910.

Opracowania:

1. Chwalba A., *Polacy w służbie Moskali*, Warszawa 2014.
2. Górak A., Kozłowski J., Latawiec K., *Słownik biograficzny gubernatorów i wicegubernatorów w Królestwie Polskim (1867–1918)*, Lublin 2015.
3. Koter M., Kulesza M., Puś W., Pytlas S., *Wpływ wielonarodowego dziedzictwa kulturowego Łodzi na współczesne oblicze miasta*, Łódź 2005.
4. Kowalczyński K. ROKU, *Łódź 1915–1918. Czas głodu i nadziei*, Łódź 2014.
5. Kowalczyński K. R., *Łódź przełomu wieków XIX/XX*, Łódź 2008.
6. Latawiec K., Górak A., Legieć J., Bogdanov S., *Naczelnicy organów rosyjskiej administracji specjalnej w Królestwie Polskim w latach 1839–1918. Słownik biograficzny. Tom 1. Ministerstwo Oświecenia Publicznego*, Lublin 2015.
7. Podolska J., Jagieło M., *Spacerownik rosyjskimi śladami po województwie łódzkim*, Łódź 2012.
8. Przepiszewski P., *Warszawa. Prawosławie i rosyjskie dziedzictwo*, Warszawa 2011.
9. Rzepkowski A., *Ludność Łodzi w okresie I wojny światowej*, [w:] J. A. Daszyńska (red.), *Łódź w drodze do niepodległości*, Łódź 2013.
10. Sokoł K., Sosna A., *Cerkwie w centralnej Polsce 1815–1915*, Białystok 2011.
11. Wiernicka V., *Prawosławni w Łodzi*, Łódź 2015.
12. Wysocki P., *Cmentarz prawosławny w Łowiczu*, Łowicz – Łódź 2013.
13. Zubowski P., *Cerkwie prawosławne Łodzi i regionu łódzkiego w dwudziestoleciu międzywojennym (1918–1939)*, Białystok 2014.

Przypisy:

1. W. Puś, *Zmiany liczebności i struktury narodowościowej ludności Łodzi do roku 1939*, [w:] M. Koter, M. Kulesza, W. Puś, S. Pytlas, *Wpływ wielonarodowego dziedzictwa kulturowego Łodzi na współczesne oblicze miasta*, Łódź 2005, s. 25.
2. Tamże, s. 28. Najprawdopodobniej uwzględniono tu stacjonujących w Łodzi rosyjskich żołnierzy.

3. Tamże, s. 33, 34.
4. *Памятная книжка Петроковской губернии* (dalej: PKPG) na 1888 год, Петроков 1888, s. 4; PKPG na 1903 год, Петроков 1903, s. 33; PKPG na 1907 год, Петроков 1907, s. 27; PKPG na 1910 год, Петроков 1910, s. 27; A. Górak, J. Kozłowski, K. Latawiec, *Słownik biograficzny gubernatorów i wicegubernatorów w Królestwie Polskim (1867-1918)*, Lublin 2015, s. 45.
5. A. Chwalba, *Polacy w służbie Moskali*, Warszawa 2014, s. 89.
6. PKPG na 1877 год, Петроков 1876, s. 11; PKPG na 1880 год, Петроков 1879, s. 11; PKPG na 1882 год, Петроков 1881, s. 13; PKPG na 1884 год, Петроков 1884, s. 13; PKPG na 1885 год, Петроков 1885, s. 11.
7. PKPG na 1888 год, Петроков 1888, s. 15; PKPG na 1889 год, Петроков 1889, s. 15; PKPG na 1890 год, Петроков 1890, s. 15.
8. PKPG na 1903 год, Петроков 1903, s. 51.
9. PKPG na 1907 год, Петроков 1907, s. 35; PKPG na 1910 год, Петроков 1910, s. 36.
10. „Rozwój” 1912, nr 132, s. 3.
11. PKPG na 1877 год, Петроков 1876, s. 15; PKPG na 1880 год, Петроков 1879, s. 15; PKPG na 1882 год, Петроков 1881, s. 19; PKPG na 1884 год, Петроков 1884, s. 19; PKPG na 1885 год, Петроков 1885, s. 17; PKPG na 1888 год, Петроков 1888, s. 23.
12. PKPG na 1889 год, Петроков 1889, s. 23; PKPG na 1890 год, Петроков 1890, s. 23.
13. PKPG na 1903 год, Петроков 1903, s. 76; PKPG na 1907 год, Петроков 1907, s. 42.
14. PKPG na 1910 год, Петроков 1910, s. 42.
15. „Kurjer Warszawski. Dodatek poranny” 1913, nr 265, s. 3; K. ROKU Kowalczyński, *Łódź przełomu wieków XIX/XX*, Łódź 2008, s. 21.
16. PKPG na 1888 год, Петроков 1888, s. 25–27.
17. K. Sokoł, A. Sosna, *Cerkwie w centralnej Polsce 1815-1915*, Białystok 2011, s. 74–76.
18. J. Podolska, M. Jagiełło, *Spacerownik rosyjskimi śladami po województwie łódzkim*, Łódź 2012, s. 48–51.
19. K. Sokoł, A. Sosna, *Cerkwie...*, s. 78.
20. J. Podolska, M. Jagiełło, *Spacerownik...*, s. 14, 71.
21. V. Wiernicka, *Prawosławni w Łodzi*, Łódź 2015, s. 89.
22. S. Pytlas, *Rola poszczególnych grup narodowościowych w rozwoju gospodarczym miasta*, [w:] M. Koter, M. Kulesza, W. Puś, S. Pytlas, *Wpływ...*, s. 50.
23. W. Tarczyński, *Nie wybiła godzina wybawienia z otchłani nieszczęść... Kronika dziejów Łowicza Władysława Tarczyńskiego*, oprac. M. Wojtylak, Warszawa 2015, s. 47.
24. Tamże, s. 49.
25. „Rozwój” 1914, nr 174, s. 1.
26. Tamże, s. 2.
27. „Rozwój” 1914, nr 182, s. 1.
28. „Rozwój” 1914, nr 183, s. 2.
29. A. Rzepkowski, *Ludność Łodzi w okresie I wojny światowej*, [w:] *Łódź w drodze do niepodległości*, pod red. J. A. Daszyńskiej, Łódź 2013, s. 133.
30. K. Latawiec, A. Górak, J. Legieć, S. Bogdanov, *Naczelnicy organów rosyjskiej administracji specjalnej w Królestwie Polskim w latach 1839-1918. Słownik biograficzny. Tom 1. Ministerstwo Oświecenia Publicznego*, Lublin 2015, s. 127–129.
31. „Rozwój” 1914, nr 219, s. 2.
32. „Nowa Gazeta Łódzka”, 30 września 1914, s. 2.
33. „Rozwój” 1914, nr 221, s. 2.

34. „Rozwój” 1914, nr 228, s. 1.
35. J. Podolska, M. Jagiełło, *Spacerownik...*, s. 189.
36. „Rozwój” 1914, nr 249, s. 2.
37. „Rozwój” 1914, nr 251, s. 2.
38. „Rozwój” 1914, nr 252, s. 2.
39. „Rozwój” 1914, nr 254, s. 3.
40. „Rozwój. Wydanie poranne”, 11 listopada 1914, s. 2.
41. K. ROKU Kowalczyński, *Łódź 1915–1918. Czas głodu i nadziei*, Łódź 2014, s. 9.
42. J. Podolska, M. Jagiełło, *Spacerownik...*, s. 186-191.
43. *Bombardowanie Łodzi*, „Bitewnik Łódzki 1914” 2013, nr 6, s. 3.
44. P. Przeworski, *Warszawa. Prawosławie i rosyjskie dziedzictwo*, Warszawa 2011, s. 139–142.
45. P. Zubowski, *Cerkwie prawosławne Łodzi i regionu łódzkiego w dwudziestoleciu międzywojennym (1918–1939)*, Białystok 2014, s. 49–53.
46. K. Sokoł, A. Sosna, *Cerkwie...*, s. 72, 121
47. J. Podolska, M. Jagiełło, *Spacerownik...*, s. 69.
48. Tamże, s. 96-97.
49. N. de Lazari, *Szkice na papierze*, tłum. A. de Lazari, Łódź 2014.
50. J. Podolska, M. Jagiełło, *Spacerownik...*, s. 100-103.
51. S. Pytłas, *Trwałe ślady w zabudowie miejskiej – inwestycjach dokonanych przez przedstawicieli wielonarodowej ludności Łodzi*, [w:] M. Koter, M. Kulesza, W. Puś, S. Pytłas, *Wpływ...*, s. 111–112.
52. Государственный Архив Российской Федерации (dalej: ГАРФ), f. 10035, op. 1, d. p-29123, k. 1. Dokumenty udostępnił mi pan Walery Leontiev z Kijowa – siostrzeniec Leonida Iwanowicza Skworcowa.
53. P. Wysocki, *Cmentarz prawosławny w Łowiczu*, Łowicz – Łódź 2013, s. 100-102.
54. ГАРФ, f. 10035, op. 1, d. p-29123, k. 1–2.
55. Tamże, k. 12-13v. [tłum. PW].
56. Tamże, k. 62, 88–89.
57. S. Pytłas, *Trwałe...*, s. 130–131.

Fot. dzięki uprzejmości Archiwum Państwowego w Łodzi

Łódź i Warszawa

Historia trudnego siostrzeństwa

Ktoś określił niegdyś Łódź i Warszawę mianem siostrzyc, z których ta młodsza, choć brzydsza, była bardzo zdeterminowana, by dogonić, a nawet prześcignąć starszą. W rzeczywistości, choć oba miasta dzieli w prostej linii ledwie 100 km, ich wzajemne relacje pozostają doświadczeniem skomplikowanym, by nie powiedzieć trudnym. Podobnie jak wzajemne losy mieszkańców stolicy i łodzian, sposoby i chwile, w których się one przecinały, i wzajemne stosunki obu miast z nich wynikające. Dziś, gdy wydaje się, że bilans wyjazdów i powrotów z Łodzi do Warszawy nie wychodzi na zero, a stolica wysysa z miasta nad Łódką niezliczone zastępy osób, trudno dostrzec złożoność relacji między oboma ośrodkami i siłę ich wzajemnego oddziaływania. A szkoda. Tekst ten powstał po to, by choć trochę ów jednostronny obraz odbrzązować.

„Wychowała nas Warszawa”

Tak Helena Karwacka zatytułowała jeden z podrozdziałów swojej książki o Arturze Gliszczyńskim, jednym z pierwszych łódzkich poetów. Nie ulega wątpliwości, że wpływ Warszawy na życie intelektualne Łodzi na przełomie XIX i XX wieku, w okresie kiedy Łódź z typowej osady fabrycznej zaczynała nabierać cech i kolorytu wielkiego miasta, był wielki. Gdyby nie Warszawa z jej instytucjami kulturalnymi czy edukacyjnymi, zaścieranie jakichkolwiek cech wielkomiejskości w Łodzi byłoby po prostu niemożliwe. Sprostujmy – z polskiego punktu widzenia wiadomo przecież, że już od chwili ustanowienia Łodzi osadą fabryczną rozwijała się tu mieszczańska kultura niemiecka, której przedstawiciele częściej utrzymywali kontakty z Niemcami niż ośrodkami polskiego życia kulturalnego. Nie wszyscy oczywiście i nie w jednakowym stopniu, na tyle dużym jednak, że dla rodzimych obserwatorów z drugiej połowy XIX stulecia Łódź jawiła się jako miasto typowo niemieckie. Jednak w latach 80. XIX wieku coś zaczęło się zmieniać. Za sprawą wykształconych właśnie w Warszawie Edwarda Herbsta, zięcia Karola Scheiblera i Stefana Kossutha, dyrektora zakładów Scheiblera, do Łodzi przybył Henryk Elzenberg, były redaktor „Niwy”, jeden z uznanych dziennikarzy warszawskich. Dzieło jego życia, jakim był wydawany od 1884 do 1892 roku „Dziennik Łódzki”, przetarło szlak, którym wkrótce miało podążyć całe pierwsze pokolenie łódzkiej inteligencji. Gdy zatem leczymy się w szpitalu imienia Karola Jonschera, przechadzamy ulicą Seweryna Sterlinga czy czytamy poświęcone miastu utwory literackie pióra Antoniego Mieszkowskiego,



Artura Gliszczyńskiego czy Zygmunta Bartkiewicza, musimy wiedzieć, że wszystkich tych luminary łódzkiego życia społeczno-kulturalnego wychowała właśnie stolica. Również i Władysław Stanisław Reymont przybył do Łodzi właśnie ze stolicy, by na zlecenie jednego z warszawskich dzienników napisać swą legendarną *Ziemię obiecaną*. I choć Warszawa widziała w wielkiej przemysłowej Łodzi miasto „obce” i „złe”, zarazem drapieżne i prowincjonalne, to nie można zanegować faktu, że w specyficzny sposób była nią autentycznie zafascynowana.

„Łódź to tylko etap”

W tym samym czasie, w którym przybywali do Łodzi z Warszawy wymienieni powyżej oraz cały zastęp adwokatów, lekarzy, urzędników przemysłowych czy nauczycielek, pierwsze pokolenie zdolnych łódzian zaczęło wyjeżdżać z miasta, by realizować swe marzenia i plany zawodowe w stolicy. Droga ta prawie zawsze wiodła przez uniwersytet, którego – nie licząc pewnych zamienników w postaci choćby filii Wolnej Wszechnicy Polskiej – Łódź nie posiadała w całym okresie międzywojennym, a który – początkowo jeszcze Cesarski Rosyjski, a w Wolnej Polsce już po prostu Warszawski – dał wykształcenie sporej grupie łódzian w okresie przed 1939 rokiem. Dla części z nich wyjazd do Warszawy oznaczał jedynie zdobycie wykształcenia przydatnego w późniejszej pracy w łódzkim przemyśle. Dla wielu jednak marzenie o stolicy oznaczało zarazem krok do wielkiej kariery. Nazwiska łódzian, którzy przetarli właśnie taki szlak jeszcze przed drugą

wojną światową, imponują. To nie tylko Julian Tuwim, który wyjechał na studia z Łodzi w 1916 roku, ale także Aleksander Mogilnicki, późniejszy profesor prawa i prezes Sądu Najwyższego, wybitna aktorka Jadwiga Andrzejewska, jeden z najbardziej znanych polskich ekonomistów na świecie Michał Kalecki i wielu innych.

Tym, co charakteryzowało pierwsze pokolenia łodzian wyjeżdżających na studia do stolicy i robiących tam kariery, był skomplikowany stosunek do rodzinnego miasta. Gdy myślimy o związkach Tuwima z Łodzią, od razu przychodzi nam na myśl silny związek emocjonalny, jaki poeta zachował w stosunku do miasta swojej młodości. Widoczny jest on między innymi w *Kwiatach Polskich*. Jednak w przypadku wielu łódzkich migrantów do stolicy sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Wspominał Aleksander Mogilnicki: „Moja praktyka adwokacka w Łodzi rozwijała się doskonale, tak że już w roku 1911 zebrałem trochę oszczędności i mogłem opuścić Łódź, którą od początku uważałem za etap, i przenieść się na stałe do Warszawy, gdzie miałem szersze pole działania”. Cytat ten i tak ukazuje zresztą dawną relację między obu miastami w dość neutralnym dla Łodzi tonie. O wiele bardziej krytyczny był księgarz Ludwik Fiszer, który nie miał wątpliwości co do wybitnie prowincjonalnego charakteru miasta. Jak pisał, „atmosfera drobnomieszczańska, panująca w Łodzi” stanowiła główny powód jego przeniesienia się do stolicy. Nie inaczej musiało być pewnie i w przypadku Eugeniusza Bodo, któremu w Warszawie było mimo wszystko o wiele łatwiej zaczynać karierę aktorską niż w Łodzi, nawet jeśli miejscowe teatry przyciągały okresowo tak wybitnych twórców, jak Michał Wołowski, Marian Gawalewicz czy Aleksander Zelwerowicz.

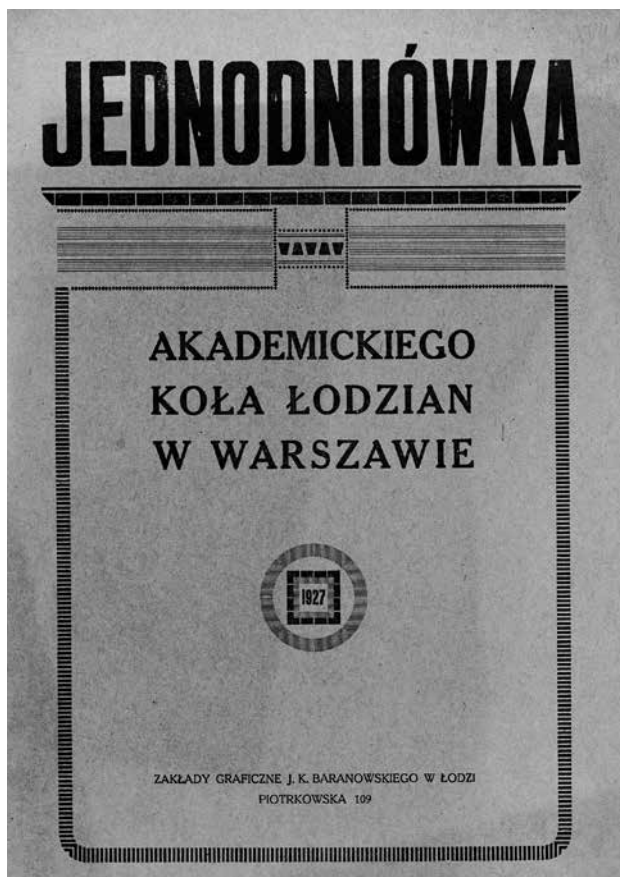
„Sezon w Łodzi nie zaszkodzi”

Nie ulega wątpliwości, że zwrot zarówno w dziejach łódzkiej kultury, jak i w historii relacji łódzko-warszawskich i warszawsko-łódzkich, przyniósł rok 1945. Po wojennej hekatombie i okupacji oraz dosłownym unicestwieniu Warszawy w trakcie i po powstaniu praktycznie niezniszczona Łódź stała się na krótki, acz burzliwy okres nie tylko nieoficjalną tymczasową stolicą państwa, lecz również prawdziwym sercem polskiego życia społeczno-kulturalnego. Dla istotnej części inteligencji, która przybyła tu w 1945 roku, Łódź miała zresztą stać się miejscem pracy, a czasem również i domem, aż do końca ich zawodowych karier. Warto tu wymienić choćby profesorów Jana Szczepańskiego, Aleksandra Kamińskiego, Stefanię Skwarczyńską. W pewnym sensie ich dzieło trwa nadal dzięki uczniom, którzy kontynuowali ich wysiłki. Dla wielu innych, tak jak wcześniej Mogilnickiego, Łódź stanowiła pewien etap, a możliwość powrotu do uznanych ośrodków akademickich, głównie Warszawy – wybawienie.

Choć ów krótki okres miał w życiu miasta charakter niewątpliwie przygodny, piętno, jakie odcisnął na Łodzi, znacznie wykroczyło poza krótkie ramy lat 1945–1948. Oczywiście najważniejszym ze skutków powojennego napływu przedwojennych elit ze stolicy do robotniczej Łodzi było zainstalowanie w mieście całego systemu wyższych uczelni – od uniwersytetu, przez politechnikę, po uczelnie artystyczne. Okres

ten, głównie z uwagi na nieciekawe czasy, w których nastąpił, jest – jak się wydaje – pod wieloma względami niedoceniany, a nawet wyrugowany z pamięci Łodzian. A szkoda, nie tylko z powodu tych wielkich nazwisk, które przez jakiś czas, najczęściej krótki, tu wykładały i studiowały, ale przede wszystkim dlatego, że nadanie Łodzi statusu miasta akademickiego pozwoliło jej wreszcie wyemancypować się spod kurateli stolicy, rozpocząć własne życie bez ciągłego oglądania się na warszawskie opinie.

Odkąd spadło z Łodzi odium prowincjonalnego miasta, z którego trzeba uciec, by zrobić karierę lub zrealizować się zawodowo, zmienił się charakter relacji między oboma ośrodkami, choć oczywiście nie stracił on napięcia, które wytwarza się zawsze na osi centrum – peryferia. Do Warszawy wyjeżdżali odtąd ci, którzy chcieli, a z Warszawy przybywali ci, dla których Łódź stanowiła szansę. Jak dla Krzysztofa Kieślowskiego, który podarował miastu swoją pracę dyplomową, krótki dokument *Z miasta Łodzi*, w rewelacyjny sposób ukazujący znój zwykłych mieszkańców „polskiego Manchesteru” w dobie „małej stabilizacji”.



Wertując wspomnienia osób, których kariery zawodowe wiązały się z Łodzią w okresie PRL, trudno nie ulec wzruszeniu, trudno też jednak nie zauważyć, że choć Łódź bardzo zyskiwała na tej wymianie, to z punktu widzenia niezwykle przecież zmieniającej się stolicy, jej realne życie wciąż pozostawało *terra incognita*. Przekonanie o przede wszystkim przemysłowej funkcji miasta i produkcyjnym charakterze jego aspiracji było bardzo silne, dystans między centrum a peryferium bynajmniej nie ulegał skróceniu. Powiedzenie „sezon w Łodzi nie zaszkodzi”, oznaczające lekko nonszalanckie traktowanie Łodzi i łodzian przez ludzi kultury, znacznie starsze zresztą niż PRL, wciąż pozostawało w mocy. Prawdziwych ambasadorów Łodzi w Warszawie, takich jak Jan Machulski – którego pamiętamy, jak kilka razy w tygodniu oczekuje na pociąg na peronie nieistniejącego już Dworca Fabrycznego – było niestety niewielu.

„Boat-people, czyli wcześniejsza wersja Słoików”

Kiedy to się właściwie zaczęło? Kiedy łodzianie w zauważalnej liczbie wsiedli w pociąg na Dworcu Fabrycznym i ruszyli w półtoragodzinną podróż do stolicy w poszukiwaniu pracy i lepszego życia? Dokładnie ustalić trudno, bo jednostki wiodły tryb życia, który potem prasa prześmiewczo nazwała „boat-people”, co przecież nie jest określeniem niewinnym (a za czym kryje się niemała przecież ilość pogardy), na długo nim temat ten wszedł do publicznej dyskusji. Na początku lat 90. prasa nie odnotowywała jeszcze tego zjawiska. Mało tego, aż do 2001 roku oferta Polskich Kolei Państwowych nie pozwalała raczej na dotarcie do centrum Warszawy przed ósmą rano, co najlepiej świadczy, że nie była ona kierowana dla dojeżdżających do pracy. Bezspornym faktem pozostaje, że upadek łódzkiego przemysłu, który pozbawił zajęcia nie tylko włóknarki, ale także niemałą rzeszę specjalistów, postawił wzajemne relacje obu miast w nowym położeniu. Położenie to określić można mianem zależności: oto Łódź, miasto zawsze dumne i nieogładające się na innych, stanęło przed groźbą stania się satelitą Warszawy, a połączenie kolejowe ze stolicą zaczęło prześmiewczo nazywać najdłuższą linią warszawskiej kolejki dojazdowej.

Z perspektywy lat masowy napływ łodzian do stolicy należy ocenić negatywnie. Nie tylko nie stworzyli oni silnego łódzkiego lobby w Warszawie, lecz jeszcze znacząco przyczynili się do kreowania obrazu upadłego miasta, które nie załapało się na zdobycze transformacji. Być może zresztą nie mogło być inaczej, skoro Warszawa przeżywała dynamiczny rozwój po 1989 roku, a Łódź pogrążona była w głębokiej stagnacji. Z drugiej strony lista łodzian, którzy robią dziś kariery w stolicy jest bardziej spektakularna niż kiedykolwiek wcześniej. Widzimy na niej i polityków międzynarodowego formatu, jak Marek Belka, i wysokich rangą urzędników państwowych – ministrów i wiceministrów, dyrektorów urzędów generalnych, mamy też gwiazdy mediów – Tomasza Zimocho, Anitę Werner, mamy wreszcie i artystów światowej sławy, jak choćby laureata Oskara Zbigniewa Rybczyńskiego. Dla każdej i każdego z nich pociąg relacji



Łódź Fabryczna – Warszawa Wschodnia oznaczał nie tyle pożegnanie z miastem, co początek wielkiej przygody.

Duopolis?

Jednym z najciekawszych, choć nieoczekiwanych skutków łódzkich migracji do Warszawy była koncepcja ścisłej współpracy obu miast. Duopolis, za którym lobbowali uczeni z Uniwersytetu Łódzkiego, stanowić miało polską odpowiedź na nasilające się procesy globalizacji, w wyniku których już nie państwa, lecz metropolie rywalizują ze sobą o inwestycje, kapitał, wiedzę i oczywiście samych mieszkańców.

Na Duopolis miały składać się centralny port lotniczy, szybka kolej i autostrada A2. Tylko ta ostatnia powstała, choć nie bez trudów. Tymczasem modernizacji doczekała się stara linia kolejowa łącząca oba miasta. Podróż nią to interesujące przeżycie dla kogoś obdarzonego zmysłem obserwacji. Z roku na rok Warszawa rozlewa się na coraz dalsze tereny, niebezpiecznie zbliżając się do granicy województwa. Prusków, Milanówek, Grodzisk Mazowiecki, a nawet Żyrardów – wszystkie te miejscowości stały się już tylko i wyłącznie częściami aglomeracji warszawskiej. Czy proces ów sięgnie też Łodzi? Pewnie nie, choć trudno nie dostrzegać dziś, że współpraca obu miast, która przynosiła obopólne korzyści od momentu, gdy pierwsze zastępy stołecznych inteligentów wysiadły z pociągu, by poznać realia tego tajemniczego, nieznanego industrialnego miasta, będzie się z biegiem czasu coraz bardziej zacieśniać. Może czas już

nie zastanawiać się nad każdą osobą, która emigruje z Łodzi do stolicy, lecz upomnieć się także w Warszawie o ulicę Łódzką? Miasto, które dało stolicy tyle talentów i zasiliło ją tyloma nowymi mieszkańcami i tysiącami pracowników, chyba na taką zasługuje.

Kamil Śmiechowski
– dr, historyk, *Interdyscyplinarne Centrum Studiów Miejskich UŁ*

Bibliografia:

1. *Duopolis Warszawa–Łódź: dwa miasta, jeden cel: sukces*, http://wyborcza.pl/1,138327,18133665,Duopolis_Warszawa___Lodz__Dwa_miasta__jeden_cel__sukces.html?disableRedirects=true, data dostępu: 03.07.2016.
2. Fiszer Ludwik, *Wspomnienia starego księgarza*, Warszawa 1959.
3. Karwacka Helena, *Artur Glisczyński. Pieśniarz fabrycznej Łodzi*, Łódź 1975.
4. *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie*, oprac. P. Boczkowski, Łódź 2011.
5. Mogilnicki Aleksander, *Wspomnienia*, Warszawa 2008.
6. Śmiechowski Kamil, *Z perspektywy stolicy. Łódź okiem warszawskich tygodników społeczno-kulturalnych*, Łódź 2012.

Architektoniczne ślady migracji

Szukając autentycznych miejsc

Łódź jest miastem pionierów. To kojarzące się z amerykańską kulturą słowo określa białych osadników, którzy przybywali na ziemię, gdzie „nic nie było” – przy czym to „nic” oznaczało po prostu brak tego, do czego przywykli. Bo na mieszkańców kolonizowanych miejsc patrzono podobnie jak na rzeki, pustynie czy inne przeszkody, które zwyczajnie trzeba było pokonać w nadziei na nagrodę – złoto, ziemię, władzę.

Łódź to najbardziej amerykańskie miasto w Polsce – frazes, do którego już się przyzwyczailiśmy, ilustruje doskonale nie tylko proces jej powstania, będący raczej gwałtowną kolonizacją wioski niż powolnym zjawiskiem miastotwórczym, ale też szorstką tożsamość naszego miasta, w którym status gospodarza bywa bardzo umowny. Śladów tych, którzy przyjeżdżali i wyjeżdżali, możemy szukać także dziś w architekturze i układzie urbanistycznym.

Odkrywając warstwy miasta

W poszukiwaniu architektonicznych śladów pierwszych osadników można udać się do skansenu przy Centralnym Muzeum Włókiennictwa. Zobaczymy tam uliczkę wypełnioną drewnianymi domami pierwszych tkaczy osadników, sprowadzonych dzięki inicjatywie Rajmunda Rembienińskiego. Skansen sprawia wrażenie pewnej homogenicznej całości, unika kontrastów, tworzy pozór ułożonej społeczności, być może nawet wspólnoty. Nie prowokuje do zadania pytania, co czuła maleńka, ledwie 500 osobowa społeczność zamieszkująca 188 drewnianych domów (dane z 1810 roku), gdy do Łodzi masowo zaczęli wprowadzać się emigranci, i to na taką skalę, że szybko (w ciągu 15–20 lat) wcześniejsi mieszkańcy zostali mniejszością we własnym mieście. Stało się to przecież nie z ich własnej inicjatywy, ale według planu kształtowanego w biurze wolnomularza i urzędnika zdeterminowanego, by osiągnąć swój cel – industrializację Królestwa Polskiego. By odczuć tempo tych zmian, wielość wynikających z nich napięć i skalę projektu „Łódź przemysłowa”, należy szukać innych miejsc – pęknięć, szczelin i niekompletności w pełnym jeszcze niezatartych śladów mieście.

Michael De Corteau zauważa, że przestrzeń jest jak słowo. Każde zajęcie miejsca, jego przekształcenie czy ponowne zdefiniowanie stwarza możliwość reinterpretacji. Przestrzeń postrzegać można jako sumę napisów warstwowych – palimpsest, czyli wielokrotnie zapisany materiał, z którego następcy wycierali słowa poprzedników, ale nie na tyle starannie, aby zupełnie zniknęły. Łódź, w której tak wiele architektury przetrwało dwie wielkie wojny i dwa represyjne systemy, pomimo zniszczeń historycznej tkanki wciąż pozostaje miastem, w którym „zapisy z przeszłości” można dostrzec niemal na każdym kroku. „Wszystkie miasta są geologiczne. Nie możesz uczynić trzech kroków, nie natrafiając na duchy dźwigające prestiż swoich legend” – pisał w latach 60. XX wieku artysta, urbanista i sytuacionista Ivan Chtcheglov. Obok porównania miasta do zapisu użycie metafory warstw geologicznych jest równie inspirowane. W wielu miastach „warstwy” układają się w widoczne na mapie strefy. W Krakowie mamy ukształtowany w nowożytnych czasach rynek, a za plantami – wyrosłe głównie w XIX wieku, a przekształcane w wieku XX wielkomiejskie dzielnice. Łódzkie „warstwy geologiczne” narzuciła industrializacja i związane z nią zapotrzebowanie na kapitał, ludzi, ogromne tempo i zaskakującą skalę zmian. To, co było znaczące z architektonicznego (np. budynki) czy urbanistycznego (przestrzenie publiczne) punktu widzenia, po kilku dekadach za sprawą rozrostu miasta i innych przetasowań stawało się już ledwo dostrzegalne. Nowoczesne fabryki kilkadziesiąt lat od chwili powstania wymagały już modernizacji. Nie wszyscy wytrzymywali wyścig, reszta jednak nie czekała na maruderów. Stąd „geologiczne” warstwy Łodzi są specyficznie ułożone i nawet ci, którzy chcieli to zmienić i uporządkować (administracja odrodzonej Rzeczypospolitej, Niemcy okupanci, projektanci socjalizmu i powojenni planiści), dodali jedynie nowe elementy do tej specyficznej układanki, nie zmieniając zasadniczo charakteru Łodzi jako miasta kontrastów, pełnego śladów gwałtownego rozrostu i cieni jego twórców, którzy w historii miasta równie szybko pojawiali się, jak znikali.

Pionierzy kontra tubylcy

„Położenie tego miejsca jest szczególniejsze z wielu względów, znajduje się z całą swoją rozległą okolicą pod rozległym i wzniosłym wzgórzem, z którego niezliczone tryskają źródła. Tych zbieg wód łatwo tak kierowany być może, iż prawie przy każdego fabrykanta mieszkaniu przebiegać mogą dla jego użytku strumienie” – zachwycał się Stanisław Staszic w raporcie z lat 20. XIX wieku. Kilka lat po wizycie Staszica uregulowano plan tzw. ogrodów sukieniczych – nowego miasta, które zaczęło przyciągać niemieckich rzemieślników. Precyzyjnie rozrysowana dzielnica skoncentrowana wokół oryginalnego, rozrysowanego na planie ośmiokąta rynku zaczęła wyrastać obok starej, średniowiecznej struktury, której centrum stanowił plac dziś zwany Starym Rynkiem. Współcześnie miejsce to paradoksalnie nie ma w sobie prawie nic „starego”, średniowiecznego czy przynajmniej XIX-wiecznego, a jest konstruktem planistów i architektów doby socrealizmu, którzy zdecydowali się uporządkować przestrzeń (a tym samym



usunąć ślady) po architekturze wyeksploatowanej w czasie drugiej wojny światowej. Stary Rynek już w połowie lat 20. XIX wieku został wyznaczony jako rewir żydowski przez Namiestnika Królestwa Kongresowego. Rosnąca liczebnie populacja ludności wyznania mojżeszowego skłaniała administrację do poszerzania rewirów coraz bardziej na północ. Bogatsi Żydzi mogli osiedlać się w strefie nowego miasta, spełniając pewne precyzyjnie określone warunki. Dla drobnych rzemieślników, a późniejszego żydowskiego proletariatu nowym miejscem dającym szansę na osiedlenie była kolonizowana równie intensywnie jak Łódź wieś Bałuty. Po kilku dekadach rewiry żydowskie przestały funkcjonować, lecz formalne podziały wróciły w bezwzględnej wersji wraz z niemiecką okupacją w 1939 roku. Stary Rynek stał się wówczas newralgicznym obszarem żydowskiego getta. Najeźdźcy przewidzieli wraz ze swoją władzą nowy plan kolonizacji i radykalnego przekształcenia miasta. Jak zauważa Tomasz Bolanowski w *Architekturze okupowanej Łodzi*, to właśnie obszary, na których żyli Żydzi po eksterminacji ludności i wyburzeniu architektury, miały zostać przekształcone we wzorcową nazistowską dzielnicę. Niemcy planowali szereg działań urbanistycznych w celu przygotowania gruntu pod przyjazd nowych kolonistów niemieckich i stworzenie z wielokulturowego miasta (dawnej Łodzi) wysuniętego na wschód „aryjskiego” przyczółku (Litzmannstadt), w którym sprowadzona do roli przymusowych robotników ludność polska miała zostać zepchnięta do swego rodzaju nowego getta, zlokalizowanego na południu miasta. Naziści planowali również skucie detali architektonicznych na ulicy Piotrkowskiej, co wynikało z ideologicznej niechęci do wszelkich przejawów indywidualizmu oraz

wiary w nadrzędność urbanistyki i projektowania krajobrazu wobec architektury¹. Po wojnie pomysł przekształcania dawnych dzielnic żydowskich był kontynuowany przez planistów socrealistycznych. Dlatego najstarsza przestrzeń miasta paradoksalnie jest jedną z niewielu wyczyszczonych z „geologicznych” warstw. Ulica Wolborska, przy której stała imponująca synagoga, dziś nie daje żadnego wyobrażenia o swojej przeszłości. Śladów należy jednak szukać tam, gdzie pojawiają się kontrasty, pęknięcia, niedopowiedzenia. Pozostałościami dzielnicy żydowskiej są ubogie kamieniczki ułożone zgodnie ze starą siatką urbanistyczną, a więc ustawione nienaturalnie wobec nowo wytyczonych szerokich alei, które miały zatrzeć wspomnienie o „bałuckiej biedzie”. Ulica Organizacji WiN (do dziś nieukończona) nagle rozbija się o samotną kamieniczkę przy ulicy Franciszkańskiej. Takich zwężeń, zaułków, małych domków zlokalizowanych kilka metrów od dumnych arkad wzorowego socrealistycznego osiedla znajdziemy wiele, chodząc po labiryncie niedokończonego planu. Cieniem dawnego żydowskiego życia są też ponure w swojej wymowie gwiazdy Dawida czy antysemityczne napisy tworzone z zamiarem poniżenia kibiców przeciwnego klubu. Socrealistyczne plany – w ostatniej fazie przebudowy – pokrzyżował brak funduszy i głód mieszkań w mieście, które po wojnie przeżyło kolejne fale migracji.

Migranci w bloku i na salonach

Po 1945 roku na skutek tragedii drugiej wojny światowej wielokulturowa Łódź zaczęła przechodzić do historii. Większość żydowskich właścicieli kamienic zginęło. Niemiecka społeczność opuściła Łódź w strachu przed zemstą lokalnej ludności i Armii Czerwonej, reszta trafiła do obozów. Zmiana ustroju spowodowała, że dawni właściciele i administratorzy śródmiejskich kamienic bez względu na pochodzenie stracili kontrolę nad obiektami. Mieszkania w wielkomiejskich kamienicach dzielono na mniejsze i przekazywano nowym lokatorom. Do nieformalnej stolicy kraju, Łodzi, przyjechało wiele osób ze zniszczonej Warszawy – większość tylko na pewien czas. Odtwarzany, upaństwowiony przemysł zaczął potrzebować nowych rąk do pracy. Łódź przyciągała więc kolejnych migrantów z mniejszych miejscowości i wsi. Architektonicznymi pamiętkami tych czasów są tzw. blokowiska od Dąbrowy do Retkini, stanowiące ślady boomu migracyjno-demograficznego, który miał zaowocować milionowym miastem. To wówczas wzrost liczby ludności zmusił planistów do rezygnacji z trudnych interwencji w przestrzeń Śródmieścia czy Bałut na rzecz rozbudowy nowych osiedli wokół historycznej struktury. Centrum Łodzi było jedynie „utrzymywane” i niekiedy modernizowane, np. pod kątem ogrzewania. Środków nie wystarczało na utrzymanie blasku dawnych kamienic. Dziś, kiedy z powrotem doceniamy wartość historycznej zabudowy, ci, którzy skolonizowali ją jako „tę gorszą” od nowoczesnych bloków, stają się – w oczach niektórych osób – jedynie problemem. Gentryfikacja, czyli wymiana ludności w modnych, „odzyskiwanych” miejscach na bardziej zamożną, jest rozwiązaniem kontrowersyjnym, a w wypadku Łodzi być może niemożliwym. Bardziej zrównoważone działanie, jakim są

programy rewitalizacyjne, daje szansę na pozostanie w swoich domach osobom także niezamożnym, ale chcącym współpracować i uczestniczyć w wyprowadzaniu dzielnic z kryzysu. Być może po wielu XX-wiecznych radykalnych i drastycznych pomysłach na społeczną reorganizację powinniśmy zdawać sobie sprawę, że warto szukać innych modeli przekształcania miasta niż „czyszczenie i kolonizowanie”.

Zmysł autentyczności

Jedną z ostatnich takich radykalnych peerelowskich prób przebudowy centrum miasta była budowa trasy WZ i tzw. łódzkiego Manhattanu. Wówczas dynamika procesów



przekształceń Łodzi ujawniła kontrasty, na które zareagowała partyjna struktura. Od strony reprezentacyjnej ulicy miasta, przed supernowoczesnymi „jednostkami mieszkaniowymi” dla nowych kolonistów śródmieścia, stały parterowe, doświadczone przez los domki tkaczy. Partia nie mogła pozwolić sobie na dysonans polegający na koegzystencji małomiasteczkowej architektury i postępowego Manhattanu. Domki zniknęły pomimo protestów konserwatora zabytków Antoniego Szrama.

Każde miasto to żywy organizm i trudno utrzymywać w nim dotychczasowy stan rzeczy. „Tekst” zapisany przez pokolenia ściera się z roku na rok, a kolejne generacje chcą tworzyć swój własny. Nie można ich siłą powstrzymać, ale można wykazać inną wrażliwość. Nie tak dawno internet obiegnęła informacja o ciekawej renowacji kamienicy dokonanej przez dewelopera na ulicy Wilczej 72 w Warszawie, która w czasie Powstania Warszawskiego była w rękach strony polskiej przez 63 dni. Jedna ze ścian została zabezpieczona płytami pleksi – w ten sposób zakonserwowano na nieremontowanym przez lata obiekcie ślady ostrzału i tym samym zachowano materialne świadectwo dramatycznych wydarzeń. Czy warto tak postępować? Wystarczy spojrzeć na popołudniowe życie zaprojektowanego w socjalizmie Starego Rynku – znakomita lokalizacja, duża przestrzeń wyłączona z ruchu kołowego, obok park, kamieniczki ze schowanymi w podcieniach lokalami dobrymi pod usługi i... prawie nie ma na nim ludzi. Tymczasem życie toczy się w dawnych kompleksach pofabrycznych.

Oczywiście nadużyciem byłoby niebranie pod uwagę migracji dużej liczby osób na peryferia, niskiej siły nabywczej okolicznych mieszkańców, przyzwyczajęń konsumenckich, które zmieniły się od czasu powstania projektu rynku. Niemniej tradycyjne ulice kamienic – 6 Sierpnia i Traugutta – niedawno ożyły pomimo braku parkingów i miejsc na sieciowe sklepy. Czyżby dzięki zróżnicowanej, ciekawej architekturze i historii, którą można z niej odczytać? Dzięki budynkom z energią i historią, jak hotele Savoy i Grand, modernistyczne gmachy YMCA i ŁDK, otwierający pierwszy łódzki wównerf elegancki gmach NBP i szereg innych, mniej spektakularnych, ale autentycznych miejsc? To nie jakaś niezrozumiała magia, ale kwestia zróżnicowanego zmysłowego doświadczenia autentycznego miasta – odkrywanego nie zawsze dzięki wiedzy, lecz zawsze dzięki wyobraźni.

Błażej Filanowski

Bibliografia:

1. Bolanowski T., *Architektura okupowanej Łodzi. Niemieckie plany przebudowy miasta*, Łódź 2013.
2. Chtcheglov I., *Sformułowania dla Nowego Urbanizmu* [w:] *Miasto w sztuce – sztuka miasta*, red. Ewa Rewers, Kraków 2010, s. 308.
3. De Certeau M., *Wynaleźć codzienność, sztuki działania*, Kraków 2008.

4. Janik M., Kusiński J., Stępniewski M., Szambelan Z., *Łódź na mapach 1793–1939*, Łódź – Warszawa 2012.
5. Jedlińska E., *Zaulek przy Wolborskiej, czyli ślady kultury żydowskiej w Łodzi* [w:] *Sztuka w Łodzi: złe miasto – dobre miasto*, KHS, Łódź 2010.
6. Nawratek K., *Ideologie w przestrzeni. Próby demistyfikacji*, Kraków 2005.
7. Shusterman R., *Miejska estetyka nieobecności. Berlińskie refleksje pragmatysty* [w:] *O sztuce i życiu. Od poetyki hip-hopu do filozofii somatycznej*, Wrocław 2007.
8. Podolska J., *Spacerownik. Łódź żydowska*, Łódź 2009.

Przypisy:

1. Nawratek K., *Ideologie w przestrzeni. Próby demistyfikacji*, Kraków 2005.

Fot. dzięki uprzejmości Archiwum Państwowego w Łodzi

kultura

22. edycja festiwalu Ewy Piławskiej

Przyjemnie skoro nieprzyjemnie?

Dominika Łarionow

str. 73

Nowa edycja filmowego festiwalu

Transatlantyk przycumował w Łodzi

Olga Łabendowicz

str. 77

Retrospektywa Andrzeja Gieragi

Wizja wokół precyzji

Gustaw Romanowski

str. 85

15. Międzynarodowe Triennale Tkaniny

przywiązanie do przeszłości i nowe wątki

Błażej Filanowski

str. 91

Niezwykła wystawa w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym

Przewrotność różnych rzeczy

Paulina Dzwonkowska

str. 97

Realizacje i projekty Jakuba Wujka

Architekt poszukujący

Błażej Ciarkowski

str. 104

Problematyczna wystawa w Atlasie Sztuki

Andrzej Paruzel wobec awangardy

Karol Józwiak

str. 111

Włodzimierz, Jolanta, Rafał Ciesielscy

Między naturą a eksperymentem

Monika Nowakowska

str. 117

22. edycja festiwalu Ewy Pilawskiej

Przyjemnie skoro nieprzyjemnie?

kultura

Wiek XX był okresem dynamicznego rozwoju sztuk określonych mianem awangard. Artyści przyzwyczaili odbiorców do przekraczania kolejnych granic wytyczonych dla sztuki przez współczesną kulturę. Może się więc wydawać, że już wszystko wolno. W nowym millenium pojawiły się jednak kolejne ograniczenia narzucane twórcom, nie tylko o charakterze społecznym, ale przede wszystkim ekonomicznym. Ewa Pilawska, dyrektor Teatru Powszechnego w Łodzi, organizując 22. edycję Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych (2–24 kwietnia 2016 roku), zapytała więc o kondycję współczesnych artystów i ich sytuację wobec narastających problemów finansowych czy politycznych.

Przez cały kwiecień w ramach festiwalu pokazano siedem wybranych przedstawień teatrów z Warszawy, Legnicy, Krakowa, a nawet z Madrytu oraz dwie premiery (w tym jedną prapremierę) przygotowane specjalnie przez Teatr Powszechny. Odbyły się bardzo ciekawe dyskusje o współczesnym teatrze. Był niezwykle koncert Pawła Mykietyna, przygotowano również towarzyszące wystawy i instalacje artystyczne. Należy przyznać dyrektor Pilawskiej, że umiejętnie buduje już ponad dwie dekady festiwal o wyrazistym, problemowym charakterze. Zawsze stawia tezę, którą prezentuje publiczności z różnych punktów widzenia.

Teatr Warlikowskiego

Głównym bohaterem tegorocznego festiwalu był Krzysztof Warlikowski, charyzmatyczny reżyser, twórca i dyrektor Nowego Teatru w Warszawie, odnoszący sukcesy w Polsce i na świecie. Jemu została poświęcona wystawa: *Warlikowski. Przestrzenie humanizmu*. W kwietniu mogliśmy obejrzeć aż trzy widowiska w jego reżyserii. Najpierw w hali EC-1 *Francuzów* z Teatru Nowego. Scenariusz przedstawienia odwoływał się do słynnej powieści *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta. W Filharmonii Łódzkiej odbyła się projekcja zapisu filmowego opery *Alceste* Christopha W. Glucka, która powstała w Teatro Real w Madrycie. A wreszcie w Teatrze Powszechnym oglądaliśmy zapis filmowy spektaklu *Krum* Hanocha Levina z Teatru Rozmaitości w Warszawie.



Zapraszając na festiwal Krzysztofa Warlikowskiego Ewa Pilawska chciała pokazać łódzkiej publiczności reżysera, który stara się zadawać poprzez sztukę fundamentalne pytania dotyczące jednostki uwikłanej w relacje społeczne. Przy czym dokonuje w swoich pracach analizy kondycji humanistycznej współczesnego świata. Nie boi się poruszać problemów drażliwych, m.in kwestii antysemityzmu czy braku tolerancji dla Obcego, Innego. Jego wizje mają wysublimowany styl, jaki wprowadza do przedstawień także scenografia Małgorzaty Szcześniak. Dekoracja, aranżacja przestrzeni, kostium skupiają uwagę widza, wciągając do wnętrza opowiadanej historii. W spektaklach Warlikowskiego następuje więc niebywałe połączenie wizji plastycznej z inscenizacyjną, która nadaje im rozpoznawalny estetyczny rys. Publiczność łódzka zna reżysera z wcześniejszych edycji zarówno Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych, jak i pierwszych edycji Festiwalu Dialogu Czterech Kultur. Nigdy jednak twórczość Warlikowskiego nie była w Łodzi prezentowana tak obszernie, jak w tym roku. Pozwoliło to widzom dostrzec ogromną, różnorodną pracę artysty, który ma już niepodważalne miejsce w historii kultury europejskiej XXI wieku.

Dwie odmiany romantyzmu

Dyrektor Pilawska postawiła w kwietniu jeszcze jedno trudne pytanie: o klasykę dramaturgii polskiej i jej współczesne odczytania. Zrobiła to w sposób oryginalny i nieco przewrotny, gdyż po pierwsze „porwała” uczestników festiwalu, po drugie zderzyła dwa kontrastowe warszawskie przedstawienia. Jedno z nich publiczność obejrzała w stolicy, a następne już na scenie Teatru Powszechnego w Łodzi. Po raz pierwszy w historii festiwalu widzowie zostali zaproszeni do wynajętych specjalnie w tym celu

wagonów PKP, którymi ruszyli ze stacji Łódź Widzew wprost do Teatru Narodowego w Warszawie. Grupa obejrzała widowisko *Kordiana* Juliusza Słowackiego w reżyserii Jana Englerta. Spektakl ten powstał w ramach obchodów 250-lecia istnienia Teatru Narodowego w Polsce i w założeniu estetycznym miał się odwoływać do wcześniejszych realizacji dramatu na scenie warszawskiej. Zamieszczono w nim szereg cytatów zarówno z układów inscenizacyjnych, jak i scenograficznych do historycznych już dziś przedstawień. Powstało w ten sposób widowisko o nostalgicznym charakterze, gdyż jego estetyka prowadzona była w poprzek do modnych, czasem bluźnierczych interpretacji romantyzmu. Jednak w tym na pozór archaicznym układzie język poety XIX-wiecznego brzmiał czysto i współcześnie, stając się jak gdyby summą wszystkich powstałych wcześniej przedstawień *Kordiana*.

Wyjazdowe przedstawienie zostało skonfrontowane na festiwalu z wizją *Lilii Wenedy* Słowackiego w reżyserii Michała Zadary (Centrala i Teatr Powszechny im. Z. Hubnera w Warszawie). Reżyser młodego pokolenia już po raz kolejny sięgnął po dzieło z okresu romantyzmu. W lutym 2016 roku prezentował cały tekst *Dziadów* Adama Mickiewicza na scenie Teatru Polskiego we Wrocławiu, który dla publiczności był doświadczeniem prawie 14-godzinnej maratony z twórczością romantyka. Odczytania tekstów sprzed dwóch stuleci przez Zadare często zaskakują swą trywialnością. Lecz paradoksalnie nie jest to wadą nowoczesnej wizji inscenizacyjnej, ale staje się jej zaletą. Reżyser współpracuje przy większości realizacji z Robertem Rumasem, scenografem i zarazem artystą multimedialnym, który zresztą jesienią 2015 roku otrzymał w Łodzi nagrodę im. Katarzyny Kobro. Jego scenografie stworzone dla Zadary mają uniwersalistyczny i pozaczasowy charakter, nierzadko posługując się zaskakującymi odniesieniami, np. postaci *Lilii Wenedy* broczą w błocie, w strojach przypominających ubiór wojskowy z lat 40. XX wieku. W omawianym spektaklu walka między rodami Lechitów a Wenedów przypomina tę, jaką toczą między sobą bohaterowie kultowego obecnie serialu *Gry o tron*. Jest równie okrutna i bezkompromisowa.

Porażający kontrast i rozdźwięk między dwiema wizjami romantyzmu, który pokazała Ewa Pilawska, budził szereg pytań, m.in. o reinterpretację niektórych dzieł literatury oraz o dowolność modernizacji jej kontekstów i odniesień. Szczególnie istotny problem dotyczy samej epoki, która w większości dostępnych analiz wywodzących się z ubiegłego stulecia otaczana była kultem. Widowiska Englerta i Zadary pozostawiły widzów festiwalu, a przede wszystkim nas, łodzian, z pytaniami: Czy potrzebujemy dziś bohatera romantycznego? Czy odnajdujemy się w świecie idei Adama Mickiewicza czy Juliusza Słowackiego?

Wizja czy stereotyp?

Od kilkunastu lat można dostrzec, że twórczyni Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych w swych działaniach chce zwrócić Łodzi jej mit – miasta wyjątkowego, ważnego, choć bez spisanych wielowiekowych dziejów. I tak w ramach 21. edycji w 2015 roku odbyła się prapremiera sztuki *Wytwórnia piosenek* Macieja Karpińskiego i Macieja

Wojtyszki w reżyserii Adama i Macieja Wojtyszków, ze scenografią Allana Starskiego, przygotowana przez Teatr Powszechny. Spektakl nostalgicznie wracał do końca lat 40. XX wieku i początków historii miasta jako polskiego centrum filmowego. W 2006 roku wraz z Atlasem Sztuki Pilawska zrealizowała pomysł namalowania dla sceny Teatru Powszechnego kurtyny, która w warstwie ikonograficznej nawiązywała do panoramy miasta. Ta idea jednocześnie nawiązywała do historii teatru polskiego w Łodzi i niezrealizowanej obietnicy malarza Henryka Siemiradzkiego, który w początkach XX wieku miał przygotować kurtynę dla Teatru Wielkiego Fryderyka Sellina. Spalony w 1908 roku budynek tamtego teatru stał prawie naprzeciwko obecnej siedziby Teatru Powszechnego.

W tym roku Ewa Pilawska wystawiła prapremierę *Tango Łódź. Mięso-pust proletariacki o wiecznej walce Kryzysu z Kapitałem*. Sztuka została napisana specjalnie dla Teatru Powszechnego przez Radostawa Paczochę i wyreżyserowana przez Adama Orzechowskiego. Ten duet artystyczny był już wcześniej znany łódzkiej publiczności. W 2015 roku oglądaliśmy doskonałą opowieść o Władysławie Broniewskim stworzoną przez nich dla Teatru Wybrzeże w Gdańsku. W 2016 roku twórcy postanowili opowiedzieć o Łodzi, kreując bohatera zbiorowego, czyli kobiety, włóknarki, proletariuszki, feministki. Na scenie naszkicowano postaci zmagające się z szarą codziennością bez względu na obowiązującą doktrynę polityczną czy ustrój. Była to smutna historia opowiedziana w rytmie fraz wierszowanych oraz piosenek, bez wyrazistego wątku fabularnego. Taka konwencja dramaturgiczna doskonale sprawdziła się w wypadku *Broniewskiego*, gdyż całość osadzono w latach 50. XX wieku, okresie królowania specyficznych widowisk propagandowych, czyli tzw. akademii ku czci. W przypadku opowieści o Łodzi wydaje się ona raczej chybiona. Podobnie jak cała koncepcja.

Sądzę, że nie można mówić ciągle o mieście negatywnie, pokazując tylko biedę czy podłego kapitalistę skontrastowanego z uciemionym robotnikiem. Zgadzam się, że to fakty z historii Łodzi. Jednak nędza i brak praw socjalnych dla robotników są nieodłączną częścią historii innych miast, które dynamicznie rozwijały się w czasach wielkiej rewolucji przemysłowej XIX i w początkach XX wieku (przykładem jest tu choćby Nowy Jork). Łódź wyróżnia przecież szereg ciekawych i nowoczesnych inwestycji dla miasta, jakie wówczas realizowali tu fabrykanci. Warto zacząć mówić o naszej historii przez jej pozytywne aspekty. Nie zamykajmy sami naszego miasta w szufladzie pełnej negatywnych schematów.

Ewa Pilawska ciągle szuka nowych definicji sztuki teatru współczesnego i określenia miejsca, jakie zajmuje artysta w społeczeństwie. Jest dobrym menadżerem kultury, gdyż stawia pytania, zmuszając widzów do myślenia, bo nikt nie wychodzi z tych festiwalowych spektakli obojętny. Wiosenne pobudzenie intelektualne miasta jest jej wielkim sukcesem.

Dominika Łarionow
– dr, wykładowczyni UŁ, krytyczka sztuki

Fot. dzięki uprzejmości organizatorów

Nowa edycja filmowego festiwalu

Transatlantyk przycumował w Łodzi

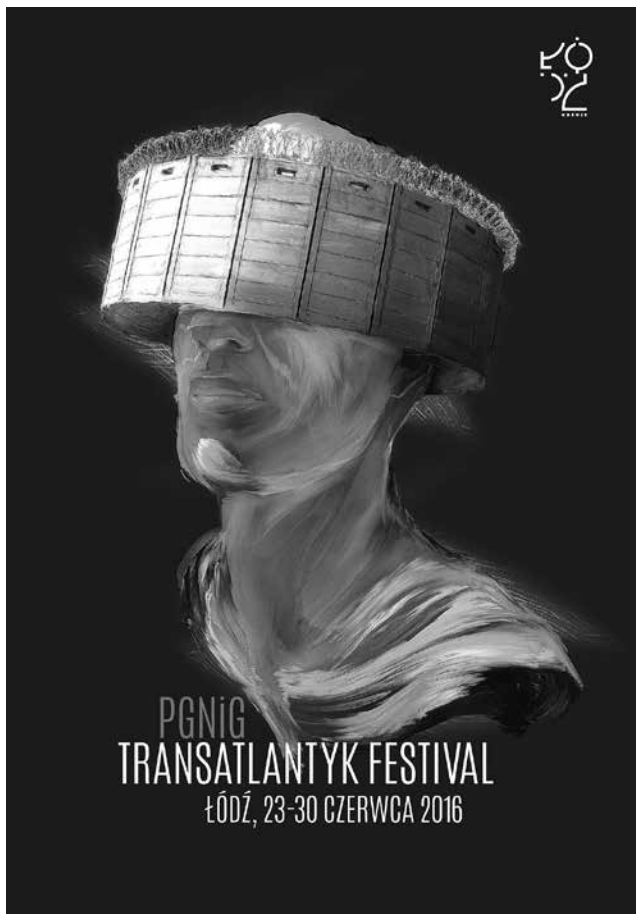
kultura

Do plejady łódzkich festiwali dobił kolejny. Pierwsza łódzka edycja PGNiG Transatlantyk Festival właśnie dobiegła końca, pozostawiając w nas entuzjazm i głód oczekiwania kolejnych wypraw na szerokie wody filmu, muzyki i... idei.

Arka pełna propozycji

Marynistyczne sformułowania towarzyszą Transatlantykowi nie przez przypadek. Sam Jan A.P. Kaczmarek, twórca i dyrektor festiwalu, znany szerszej publiczności jako zdobywca Oscara za muzykę do *Marzyciela* (2004) w reżyserii Marca Forstera, wielokrotnie podkreślał w swoich wypowiedziach, że Transatlantyk jest właśnie arką, która wypływając na szerokie wody, postanowiła zawinąć do łódzkiego portu. W tym roku po raz pierwszy przyznano zresztą także nagrodę dla najlepszego filmu międzynarodowego, która nosi nazwę Złotej Arki – jej laureatem zaś został film *Aquarius* w reżyserii brazylijskiego reżysera Klebera Mendonça Filho.

Transatlantyk to festiwal, który już samą nazwą łączy dwa kontynenty, sugerując tym samym długą podróż. Podróż pełną wysiłku i trudu (po stronie organizatorów), a dającą satysfakcję pasażerom. Z tym wyjątkiem, że za bilet na pokład Transatlantyku pasażer zazwyczaj nie płaci – festiwal jest bowiem z założenia darmowy i otwarty dla wszystkich, ucieleśniając tym samym ideę stojącą za łacińską frazą *transire benefeciendo*, czyli „podróżuj, czyniąc dobro”. Jak przekłada się ta maksyma na praktykę? Bardzo prosto: PGNiG Transatlantyk Festival stawia sobie za cel nie tylko zorganizowanie wydarzenia, które zapadnie w pamięć, ale co nawet bardziej istotne – realizacji, która pozytywnie wpłynie na lokalną i globalną społeczność, choćby poprzez współpracę z siecią Rossmann i organizację dziecięcego klubu filmowego czy pomysłu szczególnego kina, w ramach których świeżo upieczeni rodzice mogą w komfortowych warunkach i bezstresowo wybrać się ze swoimi latoroślami na film, a w efekcie mieć poczucie wspólnoty z współwidzami. Oprócz tego organizatorzy stawiają na aktywizację seniorów (czy to za pośrednictwem unikalnego programu wolontariatu dla seniorów, czy też w postaci kina trzeciego wieku), osób niesłyszących i niedosłyszących (warsztaty



oraz zapewnienie audiodeskrypcji w trakcie wybranych seansów), a także na propagowanie zdrowego odżywiania. Za pośrednictwem wszystkich tych działań Transatlantyk obrał sobie za cel nie tylko edukowanie i ułatwianie dostępności kultury dla wielu grup społecznych często zagrożonych wykluczeniem, ale po prostu poprawianie naszej codzienności. I nie jest to tylko pusty frazes.

Jedność w różnorodności

W trakcie pierwszej łódzkiej edycji mieliśmy okazję obejrzeć ponad 150 filmów z niemalże wszystkich zakątków świata. Jak zaznaczają sami organizatorzy: „Poza hitami przedstawimy szeroką panoramę ambitnego światowego kina oraz filmy często niedostępne w regularnej dystrybucji”¹. I tak było faktycznie – oprócz sztandarowych sekcji festiwalowych, jak Transatlantyk Panorama, Transatlantyk Konfrontacje, Transatlantyk Niezależni, Transatlantyk EKO, Inna Ameryka, Transatlantyk Docs, Transatlantyk ART,

Oscary 2016, znajdziemy tu także sekcje poświęcone kinu klasy B, kinu sportowemu, sacrum, filmom z bieżącego sezonu i wiele innych. Wszystkim projekcjom niezmiennie zaś przyświeca idea *glokalności* – przenikania się wymiaru globalnego i lokalnego – która była również doskonale widoczna przez cały czas trwania festiwalu, co bez wątpienia stało się jednym z największych atutów także pierwszej łódzkiej edycji, która w dużej mierze poświęcona została problematyce migracji.

W sekcji Transatlantyk Panorama, czyli podczas przeglądu najważniejszych premier z międzynarodowych festiwali w sezonie 2015/2016, zaprezentowano m.in. filmy *Being 17* (Francja, 2016, reż. André Téchiné) oraz *Co przynosi przyszłość?* (Francja, 2016, reż. Mia Hansen-Lřve), z rewelacyjną rolą Isabelle Huppert, który został nagrodzony Srebrnym Niedźwiedziem na Berlinale za najlepszą reżyserię. W ramach Transatlantyk Niezależni pojawiły się filmy docenione na największym festiwalu amerykańskiego kina niezależnego – Sundance Film Festival. Jedną z najbardziej godnych uwagi produkcji była bez wątpienia filmowa analiza najważniejszego eksperymentu psychologicznego w historii – *The Stanford Prison Experiment* (USA, 2015, reż. Kyle Patrick Alvarez) oraz film *James White* (USA, 2015, reż. Josh Mond) z zaskakującą rolą Christophera Abbotta.





W ramach sekcji Inna Ameryka, będącej powrotem do filmów, które opisują Amerykę nieznaną i nieodkrytą – za pośrednictwem bezkompromisowych produkcji – pokazany został m.in. niezwykle dokument o amerykańskiej kolorowej scenie społeczności LGBT – *Kiki*, nagrodzony Teddy Award na Berlinale 2016. Szósta edycja była także powrotem do Transatlantyk Art – specyficznej przestrzeni, która traktuje dokument jako środek wyrazu i opisu szeroko rozumianej sztuki – od muzyki poprzez taniec, sztukę plastyczną oraz performatywną. W tej sekcji widzowie mieli okazję zobaczyć nietuzinkową *Frankofonię* w reżyserii Aleksandra Sokurowa, czyli jednego z najwybitniejszych twórców współczesnego kina, który powrócił po czterech latach przerwy z nowatorskim filmem wyróżnionym Nagrodą Specjalną Festiwalu Filmowego w Wenecji.

Jak co roku, Transatlantyk postawił również na najciekawsze dokumenty poruszające aktualne problemy społeczne. Pojawiła się m.in. *Song of Lahore* (Pakistan/USA, 2015, reż. Scharmeen Obaid-Chinoy) – zaskakująca opowieść o tym, jak sztuka i muzyka łączą dwie skrajnie różne cywilizacje. W sekcji Transatlantyk Konfrontacje wyświetlony został zaś *Only the Dead* – jeden z mocniejszych tytułów tegorocznej edycji, pierwszy dokument, który pokazuje, w jaki sposób powstawało Państwo

Islamskie. Z kolei niezwykle, utrzymany w hipnotyzującej konwencji *Behemot* o życiu górników ze środkowej Mongolii został pokazany w ramach sekcji Transatlantyk EKO.

W najnowocześniejszym kinie w Polsce

Oscary 2016 to jedyny w Polsce przegląd produkcji nominowanych do najbardziej pożądanej nagrody świata w kategorii filmów nieanglojęzycznych i pełnometrażowych dokumentów. Uczestnicy festiwalu mieli okazję obejrzeć m.in. *Theeb* – zapierający dech w piersiach film przygodowy, za którego zdjęcia odpowiadał znany z oryginalnych realizacji operator Wolfgang Thaler.

Pokróćce przedstawione tu tytuły to jedynie niewielki wycinek repertuaru, który mieliśmy szansę zobaczyć na dużym ekranie. Nie ulega jednak wątpliwości, że to właśnie tak niezwykle zróżnicowany i złożony program jest jednym z głównych atutów Transatlantyku. I choć niektórzy mogą doświadczać trudności w podjęciu decyzji, na co się wybrać, to parafrazując słowa Jana A.P. Kaczmarka wygłoszone w trakcie Gali Zamknięcia Festiwalu, to właśnie szerokie spektrum możliwości uczy nas dokonywać wyborów, które na koniec dnia będą sprawiać nam radość i dawać satysfakcję.

Oficjalnym kinem festiwalowym został niedawno powstały Helios w Centrum Handlowo-Rozrywkowym Sukcesja przy al. Politechniki 1. Wybór ten, choć na pozór kontrowersyjny dla wielu łodzian, był jednak zdecydowanie świadomą decyzją organizatorów, gdyż kino to jest obecnie najnowocześniejsze w Polsce. Kino Helios – dziewięć sal i blisko 2000 miejsc – bez problemu spełniło wymagania organizatorów. Co więcej, pomimo komercyjnej lokalizacji jest to miejsce oddające sentymentalny hołd kinom, których dziś na łódzkiej mapie już nie ma – każda sala nosi nazwę jednej z tych nieistniejących placówek. Dodatkowo efekt podróży w czasie potęgują fototapety z archiwalnymi zdjęciami. Jak wyjaśnia kierownik organizacyjny festiwalu Martyna Jeziorecka: „Helios jest nierozzerwalnie związany z tradycją kinematografii Łodzi. To pierwszy multiplex w branży w Polsce, który odwołuje się bezpośrednio do lokalnych kinowych korzeni, co nas bardzo ujęło”.

Ciekawe pomysły i zabawne rozwiązania

PGNiG Transatlantyk Festival to nie tylko zamknięte sale kinowe i warsztatowe, ale także otwarte przestrzenie, unikalne rozwiązania oraz współpraca międzyfestiwalowa. I tak, razem ze sponsorem głównym, Škodą, która niemal od samego początku towarzyszy festiwalowi, po raz kolejny w Polskę wyruszyło plenerowe PGNiG Transatlantyk Mobilne Kino Škody, które docelowo odwiedziło 20 miast w województwach łódzkim i mazowieckim (w tym Piotrków Trybunalski, Skierniewice, Tomaszów Mazowiecki, Pabianice i Łódź), wyświetlając łącznie 24 filmy za pośrednictwem projektora umieszczonego na dachu Škody Yeti i ogromnego ekranu. Leżaki, dobre filmy i atmosfera kina pod chmurką po raz kolejny doskonale wpisały się w oczekiwania uczestników poza głównym portem, do którego zawitał Transatlantyk.



Oprócz tego w samym centrum Łodzi stało jedno z najdziwniejszych kin na świecie, zaliczone przez nowojorski serwis BuzzFeed do dwudziestu outdoorowych przybytków X Muzy na świecie. To dość kontrowersyjna Łózkoteka, czyli 50 łózek, z których każde wyposażone zostało w projektor i indywidualny ekran. W ramach Kina Łózkowego odbyło się 35 seansów filmowych oraz liczne wykłady. To bez wątpienia innowacyjny i wyjątkowy pomysł spędzenia wolnego czasu, który powstał we współpracy z Grupą Kapitałową Vox. Po raz pierwszy w Łodzi Łózkoteka bawiła, karmiła, edukowała i integrowała festiwalową publiczność. To bez wątpienia jeden z projektów PGNiG Transatlantyk Festival cieszących się największą popularnością wśród festiwalowej publiczności. Nie obyło się jednak bez problemu – już na początku festiwalu skradziono dwa projektory, które całe szczęście po zakończeniu wydarzenia udało się odzyskać dzięki łódzkiej policji.

Silnych emocji – choć już wyłącznie pozytywnych – dostarczyło uczestnikom bez wątpienia Kino Kulinarne, czyli jedna z najważniejszych sekcji Transatlantyku. Podczas cyklu filmowego pod tym właśnie tytułem widzowie wzięli udział w wyjątkowych, inspirowanych obrazami filmowymi kolacjach. Kluczem do Kina Kulinarnego jest idea zdrowej żywności, wolnej od chemii i genetycznej modyfikacji, wytwarzanej w opozycji do masowej, przemysłowej produkcji, a jednocześnie idea niespiesznego spotkania i rozmowy, czyli popularnego w ostatnim czasie ruchu *slow food*. W tym roku goście Kina Kulinarnego mieli okazję zjeść kolację według menu przygotowanego m.in. przez Wojciecha Modesta Amaro, laureata gwiazdki Michelin i najśłynniejszego ponoć polskiego szefa kuchni oraz jurora popularnych programów telewizyjnych *Top Chef* i *Hell's Kitchen*. To niecodzienne wydarzenie, podobnie jak w latach ubiegłych,

przygotowywane było we współpracy z festiwalem Berlinale. Kurator berlińskiego cyklu Thomas Struck od samego początku czuwał także nad merytoryczną koncepcją Kina Kulinarneho. W tym roku w ramach sekcji widzowie Transatlantyku zobaczyli trzy filmy dokumentalne i dwa fabularne. Wśród dokumentów znalazły się: *Poza utartym szlakiem* (2015) Pepa Gatella – portret Andoniego Luisa Aduriza, nietuzinkowego szefa słynnej baskijskiej restauracji Mugaritz, *Głód mięsa* (2015), holenderski film zadający pytanie o uzależnienie współczesnego konsumenta od mięsa w reżyserii Marijn Frank, oraz *Mrówki w krewetkach* (2015) Maurice'a Dekkersa, czyli opowieść o słynnej kopenhaskiej restauracji Noma i jej szefie, Rene Redzepim. Repertuar uzupełnił dramat obyczajowy *Kwiat wiśni i czerwona fasola* (2015), historia relacji znakomitego, choć samotnego piekarza i jego nowej pracownicy, oraz kultowy *Amarcord* (1973) Federico Felliniego, będący wzruszającym portretem Włoch lat 30. XX wieku.

Konkursy kompozytorskie

Po całodniowych maratonach filmowych, warsztatach i spotkaniach z twórcami widzowie i goście PGNiG Transatlantyk Festival mogli podzielić się wrażeniami w niezobowiązującej atmosferze Klubu Festiwalowego. Każdego wieczora o dobrą zabawę w trakcie *silent disco* dbało aż trzech łódzkich DJ-ów. Do dyspozycji widzów i gości PGNiG Transatlantyk Festival oddano kilkadziesiąt słuchawek z trzema różnymi muzycznymi kanałami, tak aby wszyscy mogli znaleźć coś dla siebie. Świetna, zróżnicowana muzyka, bar, leżaki i towarzystwo filmowców światowego formatu okazały się gwarancją dobrej zabawy.



Powinniśmy również pamiętać, że PGNiG Transatlantyk Festival to nie tylko filmy, warsztaty i kina plenerowe. To także prestiżowe konkursy kompozytorskie w tej części świata, dające młodym kompozytorom możliwość zweryfikowania swoich umiejętności na tle konkurencji oraz okazałe nagrody finansowe sięgające 20 tysięcy zł. W ramach festiwalu po raz kolejny przeprowadzone zostały dwa sztandarowe konkursy kompozytorskie: Film Music Competition, stawiający uczestnikom za zadanie opracowanie w pełni profesjonalnego mock-upu do konkursowego materiału filmowego, oraz Instant Composition Contest, w ramach którego kompozytorzy tworzyli do fragmentów wybranych filmów muzykę – jak sama nazwa sugeruje – na żywo. Na tym przygoda z muzyką w trakcie festiwalu również się nie skończyła; ciekawostką był zorganizowany w trakcie jednego z festiwalowych wieczorów koncert francuskiej aktorki Irene Jacob, znanej ze współpracy z Krzysztofem Kieślowskim i rolę w *Podwójnym życiu Weroniki* (1991) oraz *Trzech kolorach. Czerwonym* (1994).

Nadzieje na przyszłość

Są takie miejsca, są takie chwile, których nie wolno nam przegapić. Są takie wydarzenia, które choć powstają w trudach, zostają w pamięci na dłużej. Jest rok 2016 i jeden z najbardziej prestiżowych festiwali w Polsce właśnie się przeprowadził. Zabrał ze sobą z Poznania, w którym dotychczas stacjonował, pełnych pasji profesjonalistów oraz ich niewyczerpane pokłady entuzjazmu. To daje nadzieję, że każda kolejna edycja będzie lepsza od poprzedniej.

To obecnie jedyne takie wydarzenie w Łodzi, gdzie w niezobowiązującej atmosferze wymiany myśli i wiedzy można porozmawiać w kuluarach z osobowościami formatu Richarda Gladsteina – hollywoodzkiego producenta takich klasyków kina, jak *Pulp Fiction* czy najnowszego filmu Quentina Tarantino *Nienawistna ósemka*; Dana Lebertala – montażysty *Iron Mana* oraz *Ant-Mana* i kompozytorów światowej klasy – jak m.in. Daniel Pemberton czy Roque Banos. To właśnie dlatego PGNiG Transatlantyk Festival jest wydarzeniem ważnym.

Nie bez powodu przychodzi łodzianom na myśl goszczący w naszym mieście Camerimage. Miejmy nadzieję, że jego miejsce na dłużej niż na najbliższe trzy lata zajmie Transatlantyk.

Olga Łabendowicz

– redaktorka „4Liberty.eu”, doktorantka UŁ, wokalistka i skrzypaczka

Przypisy:

1. Materiały festiwalowe.

Fot. dzięki uprzejmości organizatorów

Retrospektywa Andrzeja Gieragi

Wizja wokół precyzji

kultura



Dobrą praktyką Muzeum Miasta Łodzi są retrospektywne wystawy związanych z Łodzią artystów o znaczącym, choć nie zawsze należycie rozpoznawalnym dorobku. Wystawy te – jak można przeczytać na muzealnej stronie internetowej – „wpisują się w cykl ekspozycji czasowych, przypominając tych twórców, którzy odegrali w Łodzi szczególną rolę: jedni jako artyści urodzeni w Łodzi, ale życiem artystycznym związani z innym miastem w Polsce lub za granicą, kolejni jako łodzianie z wyboru, jeszcze inni związani z naszym miastem jedynie czasowo – jako animatorzy życia artystycznego, pedagodzy etc., pozostawiający tu swój znaczący ślad”. Muzeum wypełnia w ten sposób, także z my-

ślą o przyszłych pokoleniach, przestrzeń kulturową miasta, której cennym elementem jest twórczość żyjących i pracujących tu ludzi sztuki.

Zbieranie i porządkowanie śladów twórczości przeważnie rozproszonych przez kilkadziesiąt lat – bo rzecz dotyczy wszakże artystów niemłodych – to niewątpliwie działanie mozolne. Sami artyści na ogół kiepsko dokumentują własną aktywność twórczą. Ich dzieła przez lata trafiają do różnych miejsc, czasem kilkakrotnie zmieniają właścicieli, niejednokrotnie bardzo trudno ustalić, co się z jakąś pracą stało.

Dlatego cierpliwość i determinacja muzealników z Pałacu Poznańskich, przygotowujących przez wiele miesięcy retrospektywy łódzkich twórców, są nie do przecenienia, bo w wyniku ich wysiłku powstają fundamentalne prezentacje dorobku związanych z Łodzią artystów, wzbogacone o solidne wydawnictwa dokumentujące i porządkujące ich twórczość. W ostatnich latach przygotowano prezentacje twórczości Krystyna Zielińskiego, Jadwigi Janus, po części także Lecha Kunki i Kajetana Sosnowskiego. Późną zaś wiosną 2016 roku publiczność otrzymała możliwość ujżenia



rozległej panoramy bardzo bogatej twórczości Andrzeja Gieragi. Wystawa związana z nieformalną 45. rocznicą debiutu artysty w 1970 roku była najszerszym z możliwych przeglądem jego intensywnej drogi twórczej.

Sukces późnego debiutu

Gieraga zadebiutował późno, bo też późno, już po przekroczeniu 30. roku życia, zdecydował się na podjęcie studiów plastycznych. Wcześniej przez 10 lat był nauczycielem w różnych szkołach. Studia w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych (dzisiejszej Akademii Sztuk Pięknych) ukończył w 1971 roku i prawie natychmiast został zauważony jako bardzo oryginalny twórca. Liczne nagrody i wyróżnienia na konkursach i festiwalach artystycznych w wielu miastach Polski otworzyły mu drogę do dalszych sukcesów. W 1972 roku zdobył główną nagrodę na Festiwalu Malarstwa Współczesnego w Szczecinie. W 1973 roku podczas VI edycji „Złotego Grona”, prestiżowej imprezy organizowanej cyklicznie w Zielonej Górze, otrzymał medal i nagrodę krytyków, tam też w latach 1975 i 1976 – pierwsze nagrody, a w 1979 roku został laureatem Grand Prix „Złotego Grona”. Ta seria bardzo wysokich ocen twórczości artysty przełożyła się po kilku latach na decyzję dyrekcji i kuratorów, aby otworzyć w Muzeum Ziemi Lubuskiej autorską ekspozycję – złożoną z powiększającej się z roku na rok w zbiorach tej instytucji – kolekcji obrazów i grafik Andrzeja Gieragi. I choć od 1993 roku muzeum to zmieniło koncepcję prezentacji swoich zbiorów, jest nadal posiadaczem największego zestawu prac łódzkiego artysty, liczącego dziś ponad 100 obrazów, grafik i rysunków.

Tak rewelacyjny odbiór twórczości wchodzącego dopiero do życia artystycznego autora był niewątpliwie wynikiem zetknięcia się krytyków i publiczności z bardzo dojrzałą i oryginalną sztuką. W latach 70., kiedy modny obieg sztuki w Polsce

opanowała tzw. nowa figuracja prezentująca rozedrganą kombinację barwnych obrazów odwołujących się do sztuki przedmiotowej czy pseudorealistycznej, Gieraga pokazał obrazy oparte jedynie na grze czerni i bieli. Dokonał w nich też pewnego majstersztyku formalnego. Potrafił połączyć w jednym obrazie proste formy geometryczne z trudnymi do zdefiniowania formami dynamicznymi i organicznymi. W swoich kompozycjach zastosował też inny rodzaj kontrastu, zestawiając ze sobą półtrzeźbiarskie elementy reliefowe z formami czysto graficznymi, płaskimi. Umiejętnie także włączył do tych obrazów grę światłem; świetlne refleksy na wypukłościach i głęboka czerni w szczelinach reliefów nadały tym obiektom walor prawie estetycznej doskonałości.

Własny głos artysty

Duży zespół wielkoformatowych obrazów artysty powstałych w latach 70. i 80. znalazł się w dużej reprezentacji na wystawie w Muzeum Miasta dzięki temu, że obrazy te udało się wypożyczyć ze zbiorów kilkunastu muzeów w Polsce. Zgromadzone w jednym miejscu robią zaskakujące wrażenie przede wszystkim swoją – warto użyć tego określenia – wyzywającą świeżością. A są to przecież obiekty artystyczne, które powstały 40 albo i więcej lat temu, tyle że duży upływ czasu nie odebrał im niczego z pierwotnej siły wyrazu. To ważne spostrzeżenie, bo często przy okazji wystaw retrospektywnych widać, jak czas bezwzględnie weryfikuje prace sprzed kilkadziesiąt lat, obnaża ich chwilowość, ujawnia, jak dawne pomysły i stylistyki się zestarzały, jak utraciły walor dzieła sztuki i pierwotny sens. A w przypadku Andrzeja Gieragi jest chyba odwrotnie. Jego obrazy sprzed kilku dekad się nie zestarzały, ponieważ powstawały jakby obok ówczesnych trendów oddziaływających na kształt sztuki w latach 70. Można przypuszczać dziś, że Gieraga – wówczas trzydziestokilkuletni – wkraczając na mocno konkurencyjny





publiczny teren sztuki, od początku nie miał problemów ze stworzeniem własnego wyrazistego stylu, bo niezależnie od niewątpliwego talentu był człowiekiem dojrzałym i w pełni ukształtowanym. Warto może dodać, że ówczesni krytycy i publicyści piszący o plastyce, na ten aspekt nie zwracali uwagi, nie dostrzegając, że Gieraga, kończąc uczelnię artystyczną na początku lat 70., był o dobrą dekadę starszy od rozpoczynających w tym samym czasie karierę artystyczną innych absolwentów. Górował nad nimi doświadczeniem życiowym, a pewnie także wiedzą.

W 1990 roku krytyczka sztuki Bożena Kowalska, która od kilkunastu lat śledzi bardzo dokładnie twórczość tego artysty, pisała: „W rozwoju koncepcji własnej artystycznej aktywności nie miał Gieraga okresu wahań – jak to się najczęściej zdarza – poszukiwań na drogach wybranych twórców czy modnych aktualnie kierunków. Nie było mu to potrzebne. Ojców duchowych miał niedaleko, studiując w Łodzi. Coś wszak z myślenia Strzemińskiego i grona jego przyjaciół i uczniów znalazło odbicie w jego sztuce, zwłaszcza zaś podstawowe postulaty odrzucenia subiektywności wypowiedzi na rzecz jej uniwersalizmu, wyzbycia się treści literackich na rzecz oddziaływania samych form plastycznych, a także dezyderat ekonomii środków (...) W tych granicach z niezwykłą subtelnością i wirtuozerią buduje artysta swoją oryginalną wizję zjawisk i doznań postrzeganego czy raczej pomyślanego świata. Wszystko, co przyjął twórca od swoich poprzedników jako wskazówkę czy lekcję, przetwarzał całkowicie, dostosowując do potrzeb swej własnej idei. Jeśli więc wolno szukać źródeł proveniencji reliefu Gieragi u Krygiera czy Kunki, którzy całą niemal twórczość poświęcili poszukiwaniom w obszarze struktur płaskorzeźbowych, to przecież w jego pracach nic się nie ostało z doświadczeń tych jego starszych kolegów. I to ani w myśleniu, ani w efektach formal-

nych”. Krytyczka miała oczywiście rację, że Gieraga nie oglądał się na aktualne mody w sztuce. Trudno się jednak dopatrywać w jego twórczości jakichkolwiek pokrewieństw z doświadczeniami Stefana Krygiera czy Lecha Kunki, którzy wprawdzie wykładali w uczelni, gdzie Gieraga studiował, a potem pracował, ale nie wywarli na koncepcję sztuki „młodszego kolegi” żadnego wpływu. I jeśli w tamtym okresie mogły pojawić się jakieś zapożyczenia czy tylko chwilowe podobieństwa, to raczej z Jerzym Kudukisem, wykładowcą z tej samej uczelni i malarzem, który po raz pierwszy w swoich zbudowanych z modułów obrazach zestawiał reliefowe formy obłe i amorficzne z płaskimi układami geometrycznymi. Kudukis, dziś już prawie zapomniany, tworzył niewiele, a wystawiał jeszcze rzadziej, ale jego doświadczenia formalne zaskakiwały oryginalnymi pomysłami. Gieraga zapewne znał obrazy Kudukisa. Ale w żadnym wypadku nie można się zgodzić, że w owym czasie odrzucił „subiektywizm wypowiedzi” na rzecz jakiegoś „uniwersalizmu”, jak chciałaby krytyczka. A na pewno nie w tamtych latach, kiedy sztuka Gieragi – jednoznacznie i mocno zmysłowa – odwoływała się wyraźnie do form barokowych, które tylko czasem artysta zderzał z prostotą układów geometrycznych.

Obrazy z tamtego wczesnego etapu twórczości organizatorzy wystawy umieścili na piętrze Galerii Wystaw Czasowych, świadomie odsuwając na dalszy plan kontakt widza z tą częścią ważnego dorobku artysty, który on sam traktuje jako historyczny i definitywnie zakończony. Dobrze więc, że z myślą o młodych widzach w holu muzealnym zdecydowali się pokazać kolekcję mistrzowskich litografii Gieragi z lat 70. I choć młoda publiczność odwiedzająca tłumnie retrospektywną wystawę znanego twórcy była wyraźnie poruszona i zafascynowana tym fragmentem jego twórczości, to musiała pogodzić się z faktem, że jest to etap już dawno zamknięty i nie ma raczej żadnych odniesień do sztuki tworzonej przez artystę obecnie.

Harmonia i czystość

Od połowy lat 80. sztuka Andrzeja Gieragi przeszła gruntowną metamorfozę. Artysta stopniowo odchodził od eksperymentów z ekspresyjnymi formami, które choć programowo nieprzedstawiające, niejednokrotnie mogły wywoływać skojarzenia z realnymi tworam, np. językami płomieni, kipiącą plazmą, a nawet skrzydłem z antycznego posągu. Późniejsze kompozycje stawały się spokojniejsze, bardziej zharmonizowane z fizycznością płaszczyzny obrazu ograniczonej jego wymiernymi krawędziami. Uwidoczniło się także upodobanie artysty do symetrii, wprowadzającej ład i niemal sterylną czystość formy.

W miejsce poprzednich purystycznych realizacji czarno-białych lub grafitowych Gieraga zaczął także dyskretnie wprowadzać kolor. Robił to w różny sposób. Są więc obrazy, w których szarą płaszczyznę wzbogacał delikatną tonacją innej barwy – zieleni, błękitu, różu czy żółcieni. Tak uczynił w serii *Nokturnów*, wielkoformatowych obrazach w kształcie koła, których szorstkie płaszczyzny pocięte zostały wgłębnymi wąziutkimi „ścieżkami” wypełnionymi czystymi kolorami. Na każdym z tych obrazów

odmienna rysunkowa mapa tych rowków jest – niczym układ zmarszczek na otwartej dłoni – jakby tajemnym kodem znanym tylko autorowi. Inaczej potraktowany został kolor tam, gdzie artysta zastosował symetryczne i pozornie tylko ujednoczone pionowe rytmy organizujące ideę kompozycji. Są to nachodzące kaskadowo na obraz z jego lewej i prawej strony elementy widma świetlnego, tak jakby zostało rozszczerzone przez pryzmat.

Gieraga stosuje kolor oszczędnie. Uważa, żeby w jednym obrazie był użyty najlepiej tylko jeden kolor, podzielony precyzyjnie na tonacje. Przeważnie to błękit, fiolet, oranż, żółcień. I to są chyba najpiękniejsze pod względem estetycznej harmonii obrazy. Tam natomiast, jak w serii *Solaris*, gdzie kolorów jest więcej – i pojawiają się obok siebie pasemka zieleni, czerwieni i żółcień – efekt nie jest udany. Nadmiar szkodzi w tej sztuce i niezamierzenie chyba obrazy te mogą sprawiać wrażenie jedynie eleganckiego *decorum*.

Wielką osobliwością sztuki Andrzeja Gieragi, na którą często zwracali uwagę oglądający jego wystawę goście Muzeum Miasta Łodzi, jest wyjątkowa perfekcja i technologiczna czystość wykonania tych artystycznych obiektów. Ten wątek może się wprawdzie wydać dla wielu mało istotny, ale tak chyba nie jest. Współczesna sztuka znalazła się na wyraźnym rozdrożu, bo artyści zwracają coraz mniejszą uwagę na trwałość jej nośników. Akty sztuki stają się często efemerydami, dobrze jeśli udokumentowanymi fotografią lub nagraniem wideo. Ale i z jakością dokumentacji bywa różnie. Twórcy sami zresztą wydają się wątpić w trwałość sztuki, przywykli już działać coraz pośpieszniej, realizują swoje plany artystyczne jakby szkicowo. Praca Gieragi jest zaprzeczeniem takiej postawy. Jego obrazy, obok samej idei artystycznej, wykonane są niezwykle precyzyjnie i posiadają również niewątpliwy walor materialnej trwałości, tak dzisiaj deprecjonowanej.

Uwagę tę można odnieść zarówno do materiałowego podłoża obrazu – skonstruowanego i wykonanego zawsze z taką dokładnością, jakby to był piękny mebel – jak i do miniatur graficznych wykonanych z perfekcyjną maestrią. W maleńkich grafikach (15 x 12), misternie tłoczonych i będących często miniaturowymi projekcjami wielkoformatowych obrazów, widać najlepiej klarowność i czystość artystycznego posłannictwa Andrzeja Gieragi.

Gustaw Romanowski

Andrzej Gieraga, *Progresje. Obrazy i grafiki z lat 1972–2016*, Muzeum Miasta Łodzi, 2 kwietnia–12 czerwca 2016, komisarz wystawy i opracowanie katalogu Krystyna Knapik.

Cytaty w tekście pochodzą ze strony internetowej MMŁ oraz z katalogu wystawy: *Andrzej Gieraga – Malarstwo, grafika*, Biura Wystaw Artystycznych w Łodzi, Krakowie, Radomiu, Szczecinie, Wałbrzychu i Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, październik 1990–wrzesień 1991.

Fot. dzięki uprzejmości Muzeum Miasta Łodzi

15. Międzynarodowe Triennale Tkaniny

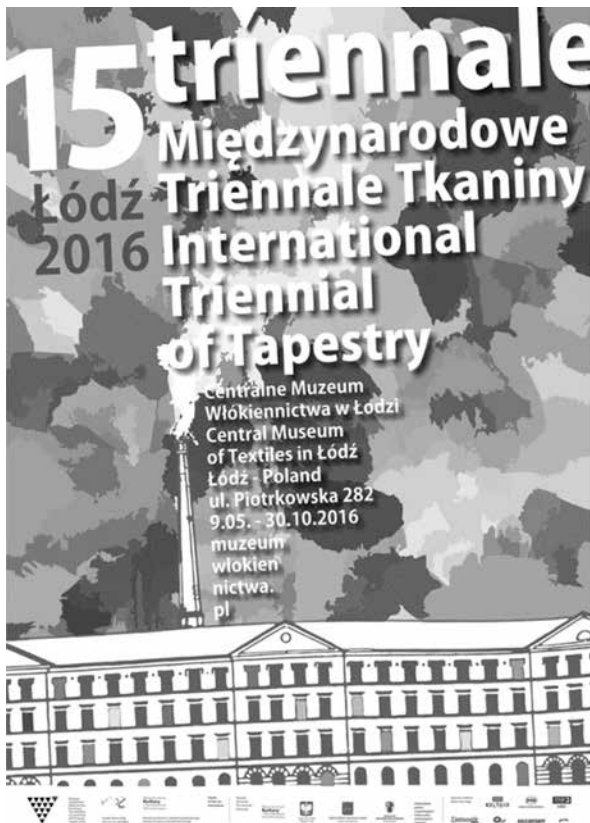
*Przywiązanie do przeszłości
i nowe wątki*

kultura

W maju Łódź ponownie stała się światowym centrum tkaniny artystycznej za sprawą 15. edycji Międzynarodowego Triennale Tkaniny. Otwarcie ekspozycji konkursowej w Centralnym Muzeum Włókiennictwa i wręczenie nagród zgromadziło jak zwykle liczną publiczność, także z zagranicy. Łódzkie triennale wciąż zachowuje swój utrwalony tradycją sięgającą 1972 roku dość zachowawczy charakter, choć wybory jury i druga edycja Triennale Młodych wskazują, że mniej ortodoksyjne spojrzenie na „miękkie medium” jest coraz milej widziane.

Tkanina artystyczna w powojennej sztuce europejskiej zaczęła być postrzegana jako równorzędna wobec malarstwa czy rzeźby. Jej promocji i wspieraniu miały służyć takie imprezy, jak Biennale Tkaniny w Lozannie organizowane przez Pierre’a Pauliego, dyrektora tamtejszego Muzeum Sztuk Dekoracyjnych, i artystę Jeana Lurçata. Polacy odnosili na organizowanych w Lozannie wystawach w 1962 i 1965 roku ogromne sukcesy. „Myśmy nie robili tego, co Francuzi. Oni byli zajęci imitacją malarstwa na krośnie. Poza tym myśmy na ogół sami wykonywali swoje prace, albo były one wykonywane pod naszym bardzo ścisłym nadzorem. W naszym wypadku proces twórczy był od początku w ręku artysty, a materiał podpowiadał sposób wykonania” – wspomina artystka i uczestniczka biennale Jolanta Owidzka¹.

Światowe zainteresowanie polską szkołą stało się pretekstem do zorganizowania w kraju kolejnej międzynarodowej imprezy. Szczęśliwie udało się sprawić, aby jej organizatorem było miasto o największych włókienniczych tradycjach – Łódź. Inicjatorką triennale w Łodzi była Krystyna Kondratiukowa, założycielka Działu, a następnie Oddziału Tkactwa w Muzeum Sztuki w Łodzi, z którego narodziła się autonomiczna instytucja: Muzeum Historii Włókiennictwa (od 1960 roku), dziś funkcjonujące pod nazwą Centralne Muzeum Włókiennictwa (od 1975 roku). Tworząc krok po kroku nowe muzeum, Kondratiukowa wprowadziła wielu polskich tkaczy-artystów na salony sztuki międzynarodowej i zdobyła szereg cennych kontaktów umożliwiających późniejsze zorganizowanie w Łodzi imprezy rangi międzynarodowej. Na początku na



triennale prezentowano zarówno wzory przemysłowe, jak i tkaninę unikatową, z czasem muzeum udało się skoncentrować wyłącznie na sztuce.

Jedyny w świecie

Organizatorzy 15. triennale kontynuują i rozwijają pomysł z lat 70. XX wieku, korzystając z wypracowanej przez wiele lat renomy w Polsce i za granicą, ale także z potencjału liczego i aktywnego środowiska tkackiego w Łodzi, wsparcia Akademii Sztuk Pięknych oraz mecenatu władz miasta. Dziś jest to jedyny w świecie takiej rangi międzynarodowy przegląd twórczości tej dyscypliny artystycznej. Od kilkunastu lat nie ma biennale w Lozannie ani słynnych niegdyś pokazów tkaniny w Kioto. Nie świadczy to o kryzysie tkaniny jako tworzywa w sztuce współczesnej, a raczej innym sposobie sformatowania artystycznych pokazów. W latach 70. XX wieku dyskusja o właściwościach medium była intensywna, już dekadę później pojawiały się wątpliwości, czy prezentacje, do których kluczem ma być konkretne medium, rzeczywiście odzwierciedlają to, co się dzieje w sztuce współczesnej, i uwzględniają coraz bardziej upowszechniającą się interme-

dialną praktykę. W tekście skierowanym do „miłośników tkaniny” ustępujący dyrektor CMW Marcin Oko komentuje tę zmianę jako formę wykluczenia tkaniny z głównego nurtu sztuki: „Staliśmy się jedną wielką rodziną, której wsparcie jest tym cenniejsze, im bardziej nowe mody w sztuce usiłują tradycyjne techniki zepchnąć na margines”. Michał Jachuła, kurator wystawy *Splendor tkaniny*, prezentowanej w 2013 roku w warszawskiej Zachęcie, także motywował organizację ekspozycji chęcią zmiany sytuacji, w której tkanina pozostaje w ostatnich latach poza obszarem głównego zainteresowania czołowych instytucji wystawienniczych i krytyków. Jednak retoryka dyrektora tworzy niepotrzebną chyba linię podziału na tych stojących w obronie tradycji i tych hołdującym „nowym modom”, zamykając dyskusję o niektórych anachronicznych już cechach triennale, które przecież mogą być zarówno wartością, jak i niefunkcjonującym już reliktem.

Nasuwa się pytanie: czy rzeczywiście przekaz sugerujący obronę tradycji dobrze opisuje prezentowaną na wystawach sztukę? Odpowiedź brzmi: i tak, i nie, ponieważ wystawę konkursową w ramach 15. triennale cechuje wysoce zróżnicowany poziom i charakter 130 prac. Od zabawnych instalacji z „życia oceanu” czy czarnych płuc uwikłanych w resztki papierosów, poprzez prace dość powierzchownie kontynuujące pomysły neoawangardy sprzed 40 lat, aż do dzieł współczesnych i silnych w swoim wyrazie – triennale prezentuje różny poziom prezentowanych artystyczny koncepcji. Wśród płaskich prac liczne są tkane obrazy, są też realizacje w technice gobelinu czy stworzone przy wykorzystaniu maszyny żakardowej. Około jedną trzecią prac stanowią instalacje trójwymiarowe, z użyciem różnych łączonych w jednej pracy materiałów. Od haftu po druk cyfrowy – pokaz triennale, choć preferuje nieco tradycyjne spojrzenie na tkaninę, w gruncie rzeczy pokazuje różnorodność artystycznych praktyk, szkół i wrażliwości. Ta różnorodność i nierówność wynika być może ze sposobu selekcji, który oparty jest na wyborach tzw. konsultantów narodowych (uznanych w danym kraju artystów, wykładowców uczelni artystycznych, krytyków sztuki lub pracowników instytucji zajmujących się sztuką). Ten sposób selekcji budzi wiele kontrowersji, gdyż nie zakłada międzynarodowej dyskusji o przyjęciu prac na imprezę, pozostawiając wybór w gestii wciąż tych samych osób, które przecież mogą mniej lub bardziej przenikliwie obserwować lokalną scenę artystyczną.

Deszcz na Ukrainie obietnicą na przyszłość?

Triumfatorką tegorocznej edycji jest urodzona w 1984 roku we Lwowie Tereza Barabash i jej praca *Deszcz na Ukrainie*. Barabash otrzymała Złoty Medal 15. MTT oraz nagrodę Fundacji AKAPI. Osiągnęła to – co należy szczególnie podkreślić – debiutując na triennale. Artystka znana jest łódzkiej publiczności. W 2010 roku, przebywając w Polsce na stypendium, prezentowała swoje prace w Łodzi w galerii ASP Biała Ściana, na 9. Festiwalu OtwARTa Wystawa i na indywidualnej wystawie w Galerii 87, w 2011 roku natomiast wystawiała na Łódź Design Festival. Jej pracę doceniło międzynarodowe jury w składzie: Thomas Cronenberg (Niemcy), Yuko Ikeda (Japonia), Bruce W.

Pepich (USA), Renata Rozsivalova (Czechy), Magdalena Soboń (Polska) i Małgorzata Wróblewska-Markiewicz (Polska, CMW). Jak twierdzą organizatorzy, jury oglądało prace, nie znając autorów i tytułów, dlatego przemówić miało do nich samo dzieło bez kontekstu – w wypadku złotej medalistki dotyczącego wojny na wschodniej Ukrainie.

Praca Barabash jest zarazem elegancka i poruszająca. Tytułowy deszcz tworzą zrobione ze srebrnego metalu żyłki zaczeplone o dwie platformy (górną i dolną). Do żyłek za pomocą krwistoczerwonych nitok przymocowane są gwoździe. Deszcz i burza to w sztuce wielokrotnie używana metafora klęsk i wojen – jak choćby w klasycznym już obrazie *Europa po deszczu* surrealisty Maxa Ernsta, komentującym tragedię pierwszej wojny światowej. W pracy Barabash deszcz wciąż pada, ale zamiast kropel są gwoździe spadające z nieba. To metafora zagrożenia, śmierci, bólu, cierpienia, a nawet eschatologicznej ofiary. Meteorologiczne skojarzenia mogą mieć też bardziej bezpośrednie rozwinięcie – używany na ukraińskim froncie rosyjski raketowy system artyleryjski BM-21 (następca Katiuszy) ma kryptonim Grad. Czerwone strzępki tkaniny owinięte wokół gwoździ to miękkie, organiczny, „ludzki” element skonfrontowany z twardymi, „zimnymi”, przemysłowymi elementami artystycznej instalacji.

Dzieło ukraińskiej artystki to subtelne i umiejętne wykorzystanie tworzywa będącego w centrum zainteresowania triennale, dlatego uhonorowanie jej jest być może sygnałem co do przyszłości imprezy – mile widziane są prace, które w sposób nieortodoksyjny traktują wyzwanie, jakim jest „miękkie medium”. Potwierdzają to kolejne nagrody, między innymi srebrne medale dla Annie Bjørn (Dania) za pracę *Przeźroczysty krajobraz*, będącą obiektem-obrazem, który tworzy delikatną i wyrafinowaną kolorystycznie strukturę podobną do siatki, oraz dla Laimie Ore-Oržekauskienė (Litwa) za pracę *Dedykowane Ojcu. Miejski Szpital w Wilnie, Poślizg (Potknięcie, błąd) Nr 1*. Laureatka z Litwy swoją pracą nawiązuje do osobistych przeżyć. Kluczem do opowiedzenia historii są szpitalne prześcieradła. Praca ta doskonale uświadamia, że tkanina jest medium bardzo egalitarnym, otwartym na interakcję i szczególnie osobistym.

Wybór jury świadczy o mniejszym znaczeniu prac, w których tradycja nie zostaje przetransformowana na współczesny język wizualny; jest to zachęta do eksperymentowania i śmiałego traktowania medium. Kontrast między pracami na wysokim poziomie a sztuką dość przeciętną niweluje dobrze zaprojektowana przez Janusza Kucharskiego ekspozycja mieszcząca się w nowoczesnych przestrzeniach wystawienniczych muzeum. Wystawa konkursowa jest atrakcyjna dla odbiorcy zarówno zaznajomionego ze sztuką, jak i uczestniczącego w życiu kulturalnym sporadycznie, co stanowi wielki potencjał artystycznej tkaniny, a tym samym triennale.

Zastrzyk młodej energii

Tegoroczna zwyciężczyni ma 32 lata i należy do grona najmłodszych uczestników głównego przeglądu, choć przecież jest to wiek, w którym zdolni artyści prezentują już zarówno świeżość spojrzenia na sztukę, jak i dojrzałość. Tym bardziej – jako drugie

z rekordowych 96 wydarzeń w ramach triennale – należy wyróżnić 2. Międzynarodowe Triennale Tkaniny Młodych (YTAT), organizowane we współpracy z Akademią Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi. Prezentuje ono równie różnorodny poziom prac, ale też dużą swobodę w podejściu do medium. Na wystawie przekonujemy się o interaktywnym potencjale tkaniny (tak, tkaninę można łączyć z nowymi mediami, a odbiorcy mogą jej niekiedy dotykać!), oglądamy też prace z designerskim pomysłem. Ta niewyrachowana swoboda w operowaniu tkaniną (co krytycy mogą nazwać brakiem dyscypliny lub jasnych kryteriów przeglądu) to kolejny zastrzyk energii, której bardzo potrzebuje odbywająca się po raz 15. impreza.

Nie sposób prześledzić wszystkich rozsianych w partnerskich instytucjach w całej Polsce wystaw towarzyszących triennale. W Łodzi zwracała uwagę wystawa tkanin unikatowych Włodzimierza Cygana *IN* w galerii Off Piotrkowska oraz *Modny drobiazg* jednej z najoryginalniejszych artystek operujących „miękkim tworzywem” – Moniki Drożyńskiej – w znanej z poszukującego i progresywnego programu Galerii Manhattan.

Nowe wyzwania

Na promującym triennale plakacie autorstwa Mirosława Owczarka widać siedzibę Muzeum Włókiennictwa przechyloną lekko, jakby chwiejącą się w posadach, na tle kolorowego nieba. Z pewnością nie był to intencjonalny komentarz autora do sytuacji muzeum, lecz pomysł formalny – ale pewien brak stabilności tej instytucji niepokoi od kilku lat. Wieloletni dyrektor muzeum Norbert Zawisza zrezygnował w 2013 roku, jako powód podając brak wystarczających funduszy na organizację triennale. Jego zastępca i następca na stanowisku Marcin Oko zrezygnował także tuż przed tegorocznym triennale. Konkurs na to stanowisko wygrała teraz Aneta Dalbiak.

Przed następczynią dyrektora Oko szereg wyzwań. Z pewnością kluczowym jest poprawa kondycji finansowej muzeum i ułożenie relacji z władzami miasta. Równie istotne będzie przemyślenie na nowo potencjału instytucji, która poza zainteresowaniem włóknem organizuje szereg wydarzeń interdyscyplinarnych (np. cieszące się uznaniem łodzian koncerty z cyklu Gayer Music Factory), a także sprawuje opiekę nad znakomitymi zabytkami architektury. Ciekawym pomysłem może być odważniejsze wejście w łączącą te wszystkie zagadnienia tematykę społeczną i podjęcie takich tematów, jak rola tkanin w globalnym handlu na przestrzeni dziejów, rewolucja przemysłowa czy strój jako komunikat.

Kolejnym istotnym zadaniem stojącym przed tą ważną kulturotwórczą placówką jest praca nad kwestiami wizerunkowymi. Na stronie muzeum możemy przeczytać między innymi, że triennale i jego światowa renoma „przewyższa krakowskie biennale grafiki czy warszawskie biennale plakatu”. Należy mocno podkreślać rangę imprezy, ale po co używać tak autorytatywnych stwierdzeń, które w dodatku trudno w sensowny sposób uzasadnić?

A co z samym triennale? Jest to z pewnością ogromna wartość, którą należy zachować. 15. edycja MTT pokazuje, że potrzebne zmiany zachodzą i zdaje się, że wystarczy poprawić kilka drobnych elementów, aby impreza zaczęła się intensywniej rozwijać. Przekształceń warto dokonywać rozważnie. Impreza ta jest bezsprzecznie niezwykle ważnym elementem tożsamości Łodzi, służy jako poligon wymiany doświadczeń artystycznych (nie tylko łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych), wreszcie ma utrwalony międzynarodowy charakter – a przecież tak bardzo chcemy, aby Łódź poznawali ludzie z całego świata. Poznawali od dobrej strony.

Błażej Filanowski

15. Międzynarodowe Triennale Tkaniny w Łodzi. Wystawa główna 15 MTT otwarta od 9 maja 2016 do 30 października 2016 w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi.

Jury 15 MTT przyznało:

Złoty Medal: Pani Terezie Barabash (Ukraina) za pracę *Deszcz na Ukrainie*

Srebrne Medale: Pani Annie Bjørn (Dania) za pracę *Przezroczysty krajobraz* Pani Laimie Ore–Oržekauskienė (Litwa) za pracę *Dedykowane Ojcu. Miejski Szpital w Wilnie, Poślizg (Potknięcie, błąd) Nr 1*

Brązowe Medale: Panu Peterowi Hornowi (Niemcy) za pracę *Kto to zrobił?* Pani Joannie Rusin (Polska) za pracę *Kompozycja na kanwie* Pani Annie J. van Stuijvenberg (Holandia) za pracę *Zobacz to, czego nie możesz dostrzec*

Jury podkreśliło wysoką wartość artystyczną następujących prac, udzielając im wyróżnień honorowych: *Uciszona pamięć* Pani Katalin Fóris (Węgry), *Zwielokrotnij* Pani Toko Hayashi (Japonia), *Ach, jak przyjemnie* Pana Iana Nigela Hurlstone’a (Wielka Brytania), *Wizja ciemności. Naturalna szarość* Pani Jeannie de Raeymaecker (Belgia), *Siódme niebo* Pani Anny Więckowskiej-Kowalskiej (Polska)

Przypisy:

1. Wypowiedź Joanny Owidzkiej pochodzi z: Czerniewska K., *Nie szydełkuję w długie zimowe wieczory. Rozmowa z Jolantą Owidzką*, dwutygodnik.com (dostęp: 4–6.07.2016).

Fot. dzięki uprzejmości Centralnego Muzeum Włókiennictwa

Niezwykła wystawa w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym

Przewrotność różnych rzeczy

kultura

Rzeczy są w zasadzie tym, co konstruuje nasz świat – podkreślał filozof Ludwig Wittgenstein, pisząc w swym *Traktacie logiczno-filozoficznym*, że słowa oznaczające rzeczy to substancja języka, którego granice utożsamiał on właśnie z granicami świata. Czym zatem dla współczesnego człowieka są otaczające go przedmioty, jakie mają dla niego znaczenie i w jakiej rzeczywistości go zanurzają – to pytania i refleksje, które stały się punktem wyjścia dla niezwykłej wystawy zorganizowanej w ramach Festiwalu Nauki, Techniki i Sztuki w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi.





Wystawa *Rzeczy* to estetyczny i treściowy *bricolage* przygotowany przez Agnieszkę Chojnacką (asystentkę na Wydziale Sztuk Wizualnych Łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych), która do udziału w prezentacji zaprosiła studentów i absolwentów swojej macierzystej uczelni, a także uznanych już polskich artystów młodego pokolenia. Należy w tym miejscu jednak podkreślić fakt, że specjalnie zaprojektowane lub wybrane na wystawę prace nie zostały jej bohaterami pierwszoplanowymi, bowiem – zgodnie z kuratorskim założeniem – miały być one artystyczną modyfikacją, przewrotnym wtrętem lub artystyczną interwencją wobec zastanego otoczenia. Prymat otrzymała tu zatem przestrzeń jednego z najstarszych łódzkich muzeów. „Już od paru dobrych lat chciałam zorganizować coś w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym – wspominała kuratorka. – Kiedy (...) się tam pojawiłam, po kilkunastu latach od okresu dzieciństwa, to miejsce znów kompletnie mnie zachwytiło: imponujące kolekcje, unikatowe eksponaty oraz cała jego atmosfera. Pomysł wykorzystania tej przestrzeni

powoli dojrzewał, a kiedy dzięki przychylności Wydziału Sztuk Wizualnych pojawiła się możliwość przygotowania wystawy prac studentów, od razu postanowiłam połączyć te dwie koncepcje”. Na wystawie pojawiły się zatem, na zasadzie równorzędnego sąsiedztwa z autentycznymi eksponatami, współczesne realizacje w postaci obiektów, fotografii, nagrań wideo czy instalacji multimedialnych, które stały się osobliwą wariacją na temat motywu przewodniego – rzeczy.

Imitacje – prowokacje

Charakter dzieł już na etapie opracowania koncepcyjnego podporządkowany był miejscu, w którym zostaną one zaprezentowane, zarówno pod względem formalnym, jak i niesionych przez nie treści. Niektóre z nich osiągały tak wysoki stopień upodobnienia, że gdyby nie podpowiedź w postaci mapy (druku towarzyszącego wystawie) wskazującej lokalizację współczesnych przedmiotów, mogłyby zostać uznane po prostu za historyczne osobliwości. Tak było m.in. w przypadku „historycznej” monety Karoliny Borowskiej zatytułowanej *Wartość*, na której awersie artystka umieściła swoją własną podobiznę. Moneta została umieszczona w jednej z gablot działu numizmatycznego i jedynie spostrzegawczy obserwator mógł ją wyłowić spojrzeniem spośród dziesiątek innych, autentycznych numizmatów. Podobną trudność sprawiało odnalezienie pracy *Erscheinung* Izy Robakowskiej, która zaproponowała obiekt będący w ciągłym procesie powstawania „w wyniku intencjonalnego zaniechania i braku działania przy jednoczesnej wielomiesięcznej ekspozycji na promieniowanie kosmiczne, wyładowania atmosferyczne, wiatr, spaliny i kurz”¹. Tytułowe zjawisko to filiżanka umieszczona w muzealnej scenografii przedstawiającej fragment XIX-wiecznego gabinetu, która mogłaby uchodzić za jeden z jego stałych elementów (gdyby nie zalegający w niej sztuczny osad oraz – zgodnie z artystycznym zamierzeniem – nieprzerwanie gromadzący się kurz).

Formę drobnych zakłóceń lub delikatnych zafałszowań przyjmowały również obiekty zaprezentowane na wystawie archeologicznej. Pośród skarbów z wykopalisk z epoki brązu, kamienia czy żelaza współczesne przedmioty opowiadały o fikcyjnej przeszłości (*Skamieliny omfaliczne* Roberta Mainka) lub kreowały alternatywną opowieść o historii ludzkości (*AgCI* Anny Orlikowskiej, czyli chlorek srebra – jedna z pierwszych materii fotografii zaprezentowana jako wynalazek równorzędny z neolitycznymi odkryciami). Przybranie przez te obiekty statusu muzealnego eksponatu poprzez umieszczenie ich w gablotach obok „prawdziwych” artefaktów – wszystko to sprawiało, że w nieuchwytny sposób zacierała się granica między historią a współczesnością, prawdą i fałszem. W tym kontekście ciekawym przykładem może być praca *Obiekt* Iwony Harabin, która za pomocą zdjęć naśladujących fotografie wykopalisk archeologicznych opowiada o powrocie do miejsca, gdzie spędziła dzieciństwo. Celem tej podróży było odnalezienie dziecięcych „skarbów” zakopanych w miejscu, które dziś już trudno jednoznacznie wskazać. Podejmując poszukiwania, artystka pokazała niejako, że sama wierzy w ich autentyczność i realność.



Ironia, żart, refleksja

Spośród różnorodnych interpretacji idei rzeczy i roli przedmiotów w historii ludzkości wyróżniała się również praca Ady Bireckiej, która w bardziej bezpośredni sposób odnosiła się do przestrzeni muzeum. Przygotowana przez nią instalacja przewrotnie dopowiadała wystrój jednej z sal wystawy archeologicznej, której ściany pokryte są fototapetą z motywem lasu. W jednym z jej rogów umieszczone są drzwiczki prowadzące do zwykle ukrytego niewielkiego korytarza technicznego, na co dzień niedostępnego dla zwiedzających. W jego przestrzeni artystka zaaranżowała rodzaj dyżurki czy też pomieszczenia dla ochroniarza, którym miał być tytułowy Leszy, pojawiający się w wierzeniach słowiańskich strażników lasu. Ironiczna dbałość o zachowanie szczegółów konwencji „służbowego” pomieszczenia (telewizor z monitoringiem leśnych polan, resztki jedzenia pozostawione na talerzu, zdjęcia zwierząt, czasopisma przyrodnicze czy też rozsypane na parapecie i podłodzie igliwie) dodawała dowcipu przedstawieniu uwspółcześnionej wersji leśnego obrońcy.

Warto zaznaczyć, że idea prac „wsiąkających” w pierwotną przestrzeń muzeum nie dotyczyła tylko twórczości powstałej konkretnie na tę wystawę. Swoista diafoniczność względem aranżacji ekspozycji pojawiała się również w przypadku wykorzystania dzieł starszych o kilka, a nawet kilkanaście lat. W ramach prezentacji można było bowiem odnaleźć dawne realizacje uznanych już artystów, które w subtelny sposób pojawiały się przede wszystkim w obszarze wystawy etnograficznej. Spozręgawczy widz mógł zatem odnaleźć obok monideł i archiwalnych zdjęć formalnie im pokrewną fotografię autorstwa Konrada Kuzyszyna (*Humanizowanie Kena*, 2004),

w przestrzeni wiejskiej zagrody niedbale zarzuconą na otwarte drzwi stodoły haftowaną sukienkę Magdaleny Moskwy (*Ubranie*, 1995) czy usłyszeć niepokojące odgłosy *Amerykańskiego wiatru w polskim polu* w scenie sianokosów (nagranie z płyty Łukasza Jastrubczaka pt. *Spacer po Spiralnej Grobli*, 2014). Ukryte, odgrywające drugo-, a nawet trzecioplanową rolę w pieczołowicie zaaranżowanych scenografiach wystawy etnograficznej prace znanych artystów były również pięknym i skromnym gestem twórców sztuki współczesnej, którzy zgodzili się na nienachalną, wręcz wycofaną prezentację swoich prac. Należy podkreślić jeszcze jeden walor tak przygotowanej wystawy, który podnosił jej wartość dydaktyczną poprzez umożliwienie udziału w wystawie studentom i świeżym absolwentom ASP na równych zasadach z twórcami o zdobytej już renomie i doświadczeniu.

Dokonany przez kuratorkę dobór dzieł oraz przeznaczonego dla nich miejsca prezentował nie tylko szerokie spektrum artystycznych wariacji na temat tytułowego hasła wystawy, ale wskazywał również na kluczowy w sztuce współczesnej czynnik intelektualny, który w zasadzie stawał się determinantem jakości danej pracy. Stąd w ramach ekspozycji zostały przedstawione również prace o charakterze czysto konceptualnym, jak np. rozmowa Tomasza Lecha przeprowadzona w sali archeologicznej z księdzem sąsiadującego z muzeum kościoła pw. Zesłania Ducha Świętego na temat muzealnych pochówków (której odbycie zostało na wystawie zaznaczone jedynie podpisem w miejscu dysputy, a dokumentacja fotograficzna wydarzenia została dołączona do katalogu wystawy). Podobnie efemeryczny charakter miał *performance* przygotowany przez Olę Kozioł i Suavasa Levego oraz Chór ASP. *Rzeczniepospolita* –



kompozycja na 10 głosów, 10 obiektów i przestrzeń okazała się utrzymanym w duchu dadaistycznego teatru mikrospektaklem, w którym ubrani w geometryzujące stroje aktorzy, melorecytując i wydobywając proste dźwięki z różnych przedmiotów, sami powoli stawali się nieożywionymi rzeczami. To subtelne i oszczędne w formie, bardzo dobrze przygotowane muzycznie i wizualnie wystąpienie uświetniło wernisaż wystawy.

Sztuka śledzenia sensów

Inną nietypową interwencją była praca Łukasza Ogórka (*Stan Rzeczy II*), w ramach której twórca zachęcał widzów do odwiedzenia posesji przy ul. Piotrkowskiej 91 – pierwotnej siedziby muzeum – gdzie dziś mogłaby istnieć „potencjalna przestrzeń aktualnych badań terenowych”. Artystyczna propozycja pojawiła się na wystawie wyłącznie jako kolejny punkt ekspozycji zaznaczony na towarzyszącej jej mapie. Wspomniany druk oprócz naprowadzania na ukryte pośród zabytków współczesne dzieła miał również jeszcze jedno zadanie – nadać procesowi poznawania ekspozycji charakteru aktywnego śledztwa. Koncepcję tę dobrze artykułują słowa kuratorki: „Dzięki temu, że widz przyjmuje rolę poszukiwacza współczesnych dzieł, zaczyna też podejrzewać autentyczne eksponaty o to, że są rzeczami aktualnymi. Ów proces wydaje się wyjątkowy zwłaszcza w kontekście muzealnej przestrzeni, która nacechowana jest mnogością rzeczy i bogatą stroną formalną ekspozycji (fototapety, podświetlona gabloty czy tablice informacyjne o różnorodnych kształtach). W muzeum jest tak dużo bodźców wizualnych, że szukanie w ich gąszczu prac artystów wydawało się wartością dodaną projektowanej wystawy”.

Tym samym wystawa *Rzeczy* okazała się wielopoziomowym przedsięwzięciem; przede wszystkim interesującą prezentacją twórczości młodych artystów, którzy na różne sposoby interpretowali tytułowe zagadnienie, ale również doskonałą okazją do ponownej lub pierwszej wizyty w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym (które przy okazji dało się poznać jako instytucja otwarta na niekonwencjonalne działania). Jej sposób aranżacji stał się również sposobnością do naprawdę dobrej zabawy w poszukiwanie i odgadywanie znaczeń ukrytych prac, przy jednoczesnej refleksji nad zdumiewającą bliskością sztuki współczesnej z jej historycznymi (a wręcz prehistorycznymi) antenatami. Całość zaś okazała się bardzo realnym przyczynkiem do rozważań nad tym, jakie rzeczy pozostaną po nas i jak będą mogły wyglądać muzealne gabloty prezentujące odległe (dla przyszłych zwiedzających) realia XXI wieku.

Paulina Dzwonkowska
– historyczna i krytyczka sztuki

Rzeczy, Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi, 21 kwietnia–16 maja 2016.
Organizatorzy: Akademia Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego w Łodzi

i Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi. Wystawa w ramach Festiwalu Nauki, Techniki i Sztuki w Łodzi. Partnerzy: Sensor Sztuki.

Artyści: Anna Bąk, Ada Birecka, Karolina Borowska, Artur Chrzanowski, Monika Drożyńska, Łukasz Filak, Monika Gałaj, Małgorzata Górską, Justyna Gorzałdek, Magdalena Gwiazdowicz, Karolina Hałatek, Iwona Harabin, Łukasz Jastrubczak, Martyna Kacprzak, Piotr Kotlicki, Damian Kosowski, Ola Kozioł i Suavas Lewy + Chór ASP, Konrad Kuzyszyn, Tomasz Lech, Anna Maria Łuczak, Anna Madeńska, Robert Mainka, Magda Moskwa, Łukasz Ogórek, Anna Orlikowska, Marcin Polak, Wiktor Polak, Marta Pszonak, Iza Robakowska, Daniel Rumiancew, Dominika Sadowska, Tomasz Sikorski, Joanna Szumacher, Kama Sokolnicka, Kinga Szczepaniak, Kacper Zaorski-Sikora.

Kuratorka Agnieszka Chojnacka.

Przypisy:

1. Opis pracy z druku towarzyszącego wystawie, s. 1, nd.

Cytaty z rozmowy z Agnieszką Chojnacką przeprowadzonej w 13.06.2016 przez autorkę.

Fot. dzięki uprzejmości organizatorów

Realizacje i projekty Jakuba Wujka

Architekt poszukujący

Nie sposób mówić o postmodernizmie w architekturze polskiej i nie wspomnieć jednocześnie o działalności łódzkich „Wujków”. „Wujków”, czyli Jakuba Wujka, Zdzisława Lipskiego i Andrzeja Owczarka. To trzej architekci, którzy, jak wspomina Marek Budzyński¹, już w latach 70. dążyli do zdefiniowania swej działalności jako postmodernizmu w specyficznej polskiej odmianie². Sam Jakub Wujek (zmarły niespodziewanie 9 lutego 2014 roku), którego można uznać za intelektualnego lidera grupy, starał się jednak unikać kategoryzacji oraz jednoznacznych deklaracji przypisujących go do konkretnego nurtu czy stylu.

15 kwietnia 2016 roku, ponad dwa lata po śmierci profesora Jakuba Wujka, Miejska Galeria Sztuki przygotowała wystawę poświęconą temu twórcy. Już sama specyfika dorobku o niezwykle zróżnicowanym charakterze stanowiła wyzwanie dla organizatorów. Ponadto architektura jest tą dziedziną ludzkiej aktywności, którą można w pełni „poczuć”, obcując z realizacjami. Fotografie, rysunki, szkice stanowią jedynie ich dokumentalną namiastkę. Doceniając jednak sam fakt podjęcia próby zmierzenia się z niełatwą materią we wnętrzach galerii, warto przyjrzeć się dokładniej ostatecznym efektom.

Dobrze, że wystawę zatytułowano po prostu *Architekt Jakub Wujek*. Jednakże ekspozycja, która prezentowała w przekrojowej formie wszystkie najważniejsze projekty, realizacje oraz publikacje Wujka, wywołała we mnie uczucia o sprzecznej naturze. Wzbudziła radość, że sylwetka tego ambitnego architekta została przypomniana tym, którzy nie mieli okazji zetknąć się z nim samym bądź jego twórczością. Nakreślony obraz przedstawił niewątpliwie projektanta o szerokich horyzontach, wykraczających poza jeden obszar działań. Pokazał urbanistę, teoretyka, twórcę architektury mieszkaniowej, użyteczności publicznej, obiektów przemysłowych i sakralnych. Jednocześnie w samej wystawie brakowało tego, co stanowiło o wyjątkowości jego postaci – elementu intelektualnego wyzwania, które wszak leżało u podstaw wielu jego projektów i rozważań teoretycznych. Przechadzając się wśród rozwieszonych plansz w sali wystawowej, wspominając wykłady w Instytucie Architektury PŁ i kilka

prywatnych rozmów, które dane nam było odbyć, nie potrafiłem pozbyć się uczucia, że Jakub Wujek „zasługiwał na więcej”.

Dobry staż w Helsinkach

Jakub Wujek urodził się 15 marca 1937 roku w Łodzi, ale pierwsze kroki na niwie architektury poczynił w Gdańsku, rozpoczynając w 1954 roku studia na tamtejszej politechnice. Był to okres wyjątkowy. W życiu politycznym i społecznym rozpoczynała się postalinowska „odwilż”, która nie ominęła także budownictwa. Wprawdzie rodzimi projektanci oficjalnie odrzucili realizm socjalistyczny dopiero dwa lata później, ale atmosfera pewnego rozprężenia była już wyraźnie odczuwalna. Musiała ona wywrzeć silne piętno na osobowości twórczej młodego studenta, który jeszcze niemal pół wieku później opowiadał, jak polscy architekci „otrzepywali się z błota socrealizmu”.

Tuż po obronie dyplomu w 1961 roku świeżo upieczony architekt rozpoczął pracę w Biurze Projektów Architektonicznych i Budowlanych, gdzie dołączył





do pracowni Daniela Olędzkiego. Wraz z nim oraz Lechem Kadłubowskim współtworzył gmach Teatru Kameralnego. Efektowny modernistyczny budynek przy gdańskim Targu Węglowym został ukończony w 1965 roku. Obiekt jeszcze w tym samym roku został wyróżniony nagrodą II stopnia Ministra Kultury i Sztuki.

Zanim jednak na deskach sceny Teatru Kameralnego mogła się odbyć pierwsza premiera, Wujek rozstał się z gdańską pracownią. Udało mu się wyjechać do Helsinek, gdzie zatrudnił się w pracowni Osmo Lappo³. Praca za granicą stanowiła dla polskich architektów szansę nie tylko zarobienia godziwych pieniędzy, ale i zetknięcia się z nieznanymi w PRL technologiami i nowymi ideami. Dla Wujka, jak sam przyznawał, pobyt w chlubiącej się przebojową architekturą Finlandii był niezwykle cenną lekcją zawodową. Dał mu „szeroką perspektywę widzenia procesów zachodzących w architekturze europejskiej i światowej”⁴. Poznał także zasady organizacji pracowni, diametralnie odmienne od tych obowiązujących w peerelowskich państwowych biurach projektów. Odtąd kierowane przez niego jednostki będą wzorem organizacji – zarówno personalnej, jak i przestrzennej.

Helsiński epizod można uznać za jeden z fundamentów kształtujących osobowość tego architekta. Odtąd starał się utrzymywać stałe kontakty z Zachodem, zarówno poprzez lekturę obcojęzycznej prasy fachowej, w czym mógł liczyć na pomoc paryskiej pracowni brata Andrzeja, jak i osobiste relacje z zagranicznymi projektantami. Niewielu rodzimych twórców mogło otwarcie przyznać, że przyjaźniło się z postaciami formatu Petera Cooka i było gośćmi Oskara Niemeyera. Wujek z łatwością nawiązywał kontakty i znał wiele osób kształtujących obraz architektury XX wieku.

Jednocześnie sam nigdy nie starał się budować w ten sposób własnego prestiżu. Był człowiekiem skromnym, lubiącym prostotę w codziennym życiu. „Domator – powiedział o nim po latach Sławomir Arabski – nad elegancją przekładał wygodę”⁵.

Walka z ograniczeniami

W 1964 roku Wujek wrócił do rodzinnej Łodzi i rozpoczął pracę w Miejskim Biurze Projektowym⁶. Wspólnie ze Zdzisławem Lipskim, którego poznał jeszcze podczas studiów w Gdańsku, stworzył pracownię autorską działającą nieprzerwanie aż do śmierci obu partnerów. Wraz z upływem czasu skład zespołu ulegał zmianom. Kolejne nazwiska dołączały i odchodziły – niezmiennie natomiast pozostawały dwa filary pracowni. Lipskiego i Wujka łączyła przyjaźń oraz głęboka więź na płaszczyźnie zawodowej. „Dzielili się tematami, nie wchodząc sobie zbyt w paradę” – wspomina Przemysław Szustkiewicz⁷. Nad dużymi zleceniami pracowali jednak wspólnie.

W 1966 roku, pracując w Miejskim Biurze Projektów, Lipski i Wujek (wspólnie z Jerzym Sadowskim) zdobyli I nagrodę w ogólnopolskim konkursie SARP na koncepcję architektoniczno-urbanistyczną centrum Bydgoszczy. Było to jedno z wielu wyróżnień w zawodowym dorobku architektów, o tyle ważne, że skutkujące wskazaniem projektu do realizacji. Niestety, problemy ekonomiczne sprawiły, że powstał jedynie niewielki fragment tego założenia.

Więcej szczęścia miały łódzkie projekty Wujka – osiedle Teofilów „C” (projektowane wspólnie z Lipskim i Sadowskim) czy osiedle Dworzec Chojny (z Lipskim, Owczarkiem i Krystyną Greger). Architekci dążyli do kształtowania zespołów mieszkalnych i usługowych, których elastyczna struktura umożliwiałaby dostosowywanie się do zmiennych potrzeb i uwarunkowań. Jednocześnie, wykorzystując tak niewdzięczne tworzywo, jak „wielka płyta”, starali się stworzyć środowisko przyjazne użytkownikom. Modularne elementy były łączone ze sobą, tworząc formę otwartą. To były rozwiązanie, do którego dążyli wówczas projektanci przeświadczeni o konieczności wyjścia poza ramy modernistycznych doktryn.

Wujek nie krył swego sceptycyzmu wobec architektury i urbanistyki modernistycznej. Uważał, że ruch nowoczesny zabrnął w ślepią uliczkę w swym bezprzykładnym negowaniu osiągnięć epok minionych. Architektura była dla niego jednoczesnym poszukiwaniem kryteriów i odrzucaniem sztucznych barier. „Najtrudniej jest walczyć z własnymi wyobrażeniami – pisał w książce *Mity i utopie architektury XX wieku*. – Większość ograniczeń, które sobie nakładamy, ma początek w mitach i utopiach; realizujemy je często bezwiednie, przekonani, iż tak być musi...”⁸.

Radogoszcz Wschód

Gdy w końcu lat 70. Wujek i Lipski wraz z Andrzejem Owczarkiem przystępowali do prac nad projektem osiedla na łódzkim Radogoszczu, postanowili walczyć z ograniczeniami – zarówno własnych przyzwyczajzeń, jak i narzuconymi przez system. „To

była walka” – podsumował po latach⁹. Opowiadał, że postmodernistyczne koncepcje powrotu do tradycyjnego kształtu tkanki miejskiej były nie tylko wyrazem jego przekonań, ale i jedyną możliwością oderwania się od projektowania monottonnych, powtarzalnych blokowisk.

Na Radogoszczu Wschodzie wszystko miało być inne. Zamiast jednolitego osiedla Lipski, Wujek i Owczarek stworzyli kolonie. Ich projektowanie rozpoczęli od nakreślenia siatki nowych ulic, co spotkało się ze zdziwieniem i oporem Zarządu Dróg i Transportu, przyjętą praktyką bowiem było, iż na nowych osiedlach wyznaczano drogi wzdłuż już istniejących bloków. Łódzcy projektanci nie chcieli jednak kolejnego osiedla. Pragnęli zaprojektować fragment miasta.

„Siatka ulic dawała porządek nadrzędny”¹⁰. Następnie wypełniana była treścią: placami, skwerami, uliczkami i budynkami. Równoległe z mieszkaniówką Wujek projektował usługi i handel, które chętnie wprowadzał w przyziemia bloków. Było to pewnym *novum*, wielu projektantów w Polsce było bowiem wciąż przeciwnych łączeniu funkcji. Pawilony handlowo-usługowe przeważnie realizowano na samym końcu, co skutkowało utrwalaniem rozwiązań prowizorycznych. Na Radogoszczu funkcja handlowo-usługowa stała się integralną częścią całego zespołu.

W ramach systemu wielokątownego architekci dążyli do możliwie dużego zróżnicowania form poszczególnych obiektów. Wprowadzono zgeometryzowane detale i spadziste daszki. Bloki otrzymały różną wysokości, przy czym zadbano, aby dominanty wysokościowe znalazły się w miejscach ważnych dla kompozycji urbanistycznej całości. Wokół placu Słonecznego pojawiło się więc nie tylko największe zagęszczenie usług, ale i budynki o szczególnie interesującej formie.



Zwolennik śmiałych rozwiązań

Okres transformacji ustrojowej był szczególnym momentem w historii rodzimej architektury. Projektanci, dotąd stłamszeni dyktatem państwowych przedsiębiorstw wykonawczych oraz odgórnymi normatywami, byli „wygłodniali czegoś nowego”¹¹. W 1992 roku Wujek z Lipskim zrealizowali siedzibę banku przy ul. Aleksandrowskiej w Łodzi, której forma stanowi niemalże kwintesencję polskiego postmodernizmu. Intensywna kolorystyka, dach nad wejściem na pokaznym wsporniku – to wszystko stało się nagle technicznie możliwe.

Kolejne łódzkie projekty i realizacje potwierdziły jedynie to, że Wujek był niezwykle wyczulony na zmiany stylistyczne zachodzące w architekturze. Budynek przy Piotrkowskiej 166/169 jest znacznie „spokojniejszy” od wspomnianego banku. Umiejętnie wkomponowany w kontekst wielkomiejskiej zabudowy Śródmieścia, nawiązuje do XIX-wiecznych kamienic czynszowych. Wujek był już wtedy przekonany o konieczności przekształcania Łodzi poprzez odpowiednie działania architektoniczne. Gdy w 2005 roku projektował nową elewację Teatru im. S. Jaracza, postanowił wprowadzić nową jakość do zaniedbanego wówczas obszaru miasta. Zamiast fasady o tradycyjnej tektonice pojawiło się... ogromne lustro. Szklana tafla ściany kurtynowej odbija obraz sąsiednich budynków, wprowadza dodatkowy wymiar oraz element zaskoczenia. Podobne rozwiązania zaproponował w stworzonym w 2010 roku projekcie konkursowym zabudowy Pasażu Schillera, gdzie ogromna stalowo-szklana brama miała prowadzić z ulicy Piotrkowskiej do tętniącego życiem wnętrza pasażu. Do tego projektu warto może byłoby kiedyś wrócić.

Wujek uważał, że Łodzi potrzebna jest zdecydowana postawa architektoniczna projektantów. Popierał odważne wizje. Gdy w ramach programu „Piotrkowska Plus” zaprezentowano transparentny dach nad głównym deptakiem miasta, entuzjastycznie zawołał: „Zróbcie to!”. Sam zaproponował, by zrewitalizowaną elektrociepłownię EC-1 obudować całkowicie szklanym prostopadłościanem i stworzyć Energopolis – swoiste muzeum poświęcone produkcji energii i symbolicznie dające dobrą energię miastu. Był przekonany, że zmiana oblicza i charakteru Łodzi „to nie malowanie kawałka ścian (...), malutki trawniczek. Potrzebna jest duża rzecz. Ta, która buduje miasto”.

Błażej Ciarkowski
– dr, historyk sztuki, architekt, Katedra Historii Sztuki UŁ

Wystawa *Architekt Jakub Wujek*, Miejska Galeria sztuki w Łodzi – Ośrodek Propagandy Sztuki, Park im. H. Sienkiewicza, 15 kwietnia – 14 maja 2016.

Przypisy:

1. Marek Budzyński, architekt, czołowy przedstawiciel postmodernizmu w polskiej architekturze. Autor m.in. Ursynowa Północnego, Kościoła pw. Wniebowstąpienia Pańskiego w Warszawie, gmachu Sądu Najwyższego w Warszawie, Biblioteki UW czy Opery Podlaskiej w Białymstoku.
2. *Postmodernizm polski. Architektura i urbanistyka. Z architektami rozmawiają Alicja Gzowska i Lidia Klein*, Warszawa 2013, s. 26.
3. *Jakub Wujek. Architekt*, red. E. Fuchs, Łódź 2016, s. 8.
4. *Ibidem*, s. 9.
5. *Ibidem*, s. 103.
6. Pracował tam do roku 1966, a następnie w Biurze Projektów Miastoprojekt Łódź – Miasto (1966–1979) i Inwestprojekcie Łódź – Miasto (1919–1988).
7. *Jakub Wujek. Architekt...*, *op. cit.*, s. 97.
8. J. Wujek, *Miły i utopie architektury XX wieku*, Warszawa 1986.
9. *Postmodernizm polski...*, *op. cit.*, s. 136.
10. *Ibidem*, s. 138.
11. *Ibidem*, s. 128.

Fot. dzięki uprzejmości Miejskiej Galerii Sztuki

Problematiczna wystawa w Atlasie Sztuki

Andrzej Paruzel wobec awangardy

kultura

Wystawa *Wobec awangardy XX wieku* w wyborze Andrzeja Paruzela prezentowana w Atlasie Sztuki wiosną 2016 roku jest intrygującą konfrontacją z tematem kanonu historii sztuki awangardowej, przenikających się funkcji artysty, teoretyka i kuratora, efemerycznego charakteru sztuki nowoczesnej. Problematyka ta zaczyna się już na poziomie samego pomysłodawcy i niejako autora wystawy. Andrzej Paruzel występuje bowiem zarówno jako kurator, uczestnik i animator prezentowanych akcji artystycznych, mecenas sztuki (założyciel Fundacji Profile), ale również jako artysta. Tytuł wystawy podkreśla subiektywność ujęcia tematu „awangardy XX wieku”, nie jest to perspektywa historii sztuki, akademickiego (obiektywnego) ujęcia fenomenu sztuki najnowszej, ale fragmentaryczny wybór, który wydobywa jednostkowy i indywidualny punkt widzenia, perspektywa jednocześnie obserwatora i uczestnika.





Sztuka jako dialog

Paruzel ukazuje wybrane fenomeny sztuki awangardowej jako uwikłanej we wzajemne oddziaływania, wydobywa tym samym dynamikę procesów twórczych i relacji w środowisku artystycznym. Ta perspektywa rzuca ciekawe światło na twórczość, która jawi się jako efekt dialogu między artystami, wzajemnych oddziaływań, nawiązań, dyskusji. Paruzel, przedstawiając w ramach wystawy „swój wybór” sztuki awangardowej, jednocześnie opisał własną historię uczestnictwa w świecie sztuki. Sam zwraca uwagę na ten subiektywny czy wręcz egoistyczny charakter ekspozycji w wywiadzie z Tomaszem Załuskim: „Zaproszeni artyści są tymi, z którymi się sam po prostu dobrze czuję”¹. Ten aspekt, który zajmuje wyjątkowo istotną rolę w wystawie, nasuwa skojarzenie z estetyką relacyjną. Jak wspomina teoretyk tego zjawiska, Nicolas Bourriaud, wspólnym rysem prac artystów z domeny estetyki relacyjnej „było wchodzenie w sferę relacji międzyludzkich na wszelkich poziomach” i „choć nie definiowali się jako grupa, regularnie pracowali razem, dyskutowali i nawiązywali przyjaźnie”². Wydaje się, że właśnie o oddanie fenomenu chodziło autorowi wystawy: „Dla sztuki niezwykle istotne są dialogi między artystami. Chcę pokazać takie dialogi, wywiązujące się między pracami zaproszonych twórców” – stwierdził podczas pracy nad tą wystawą³. Co ciekawe, takie relacyjne podejście do sztuki cechuje działania Paruzela już od początku lat 80., kiedy podejmował działania związane z akcją Kuluszki, a następnie wokół Biura Przewodników po/Sztuce i Kulturze i Hotelu Sztuki, skończywszy na ostatniej aktywności związanej z działaniami Fundacji Profile. Na marginesie warto wspomnieć, że wiele z tych działań związanych było z Łodzią i jej problematyką społeczno-historyczno-kulturową.

W ramach pierwszej wspomnianej akcji, artysta nawiązał kontakt z uczennicami Szkoły Przemysłowo-Handlowej w Kuluszkach, w której uczył niegdyś Władysław Strzeмиński. Za pośrednictwem świadków próbowano dotrzeć do efemerycznych wspomnień o artyście, dostrzec relacje między Strzeмиńskim a Katarzyną Kobro tuż przed rozpadem ich związku, ale także dotrzeć do śladów nieistniejącego już przedwojennego pomnika zaprojektowanego przez niego. Projekt Paruzela był zatem poszukiwaniem efemerycznych śladów przeszłości zawartych we wspomnieniach ludzi. Kontynuacją tych doświadczeń była kolejna inicjatywa Paruzela Biuro Przewodników po/Sztuce i Kulturze, w ramach której artysta badał przestrzeń miejską, oznaczał ją i definiował w odniesieniu do kultury i stanu kresu sztuki. Tym samym przeniósł on akcent z dzieła sztuki na proces i efemeryczny charakter fenomenu sztuki, który manifestował się w relacji między instytucją, artystą a odbiorcą. Co ciekawe, działania Biura jednocześnie znosiły opozycję między nimi: pojęcia artysty, instytucji, odbiorcy zbiegały się w działaniu Przewodnika po/Sztuce i Kulturze. „Obiektami sztuki Biura były efemeryczne, absurdalne wizualne obiekty lub zjawiska. Takie naznaczenie lub oznaczenie, podniesienie do rangi obiektu sztuki, było często spotykane we wcześniejszych praktykach konceptualnych. Nową, dodaną przeze mnie wartością było skodyfikowanie tego typu działań przez instytucję, czyli Biuro Przewodników po/Sztuce i Kulturze” – mówił Paruzel⁴. Podobnie sytuacyjnistyczno-relacyjny rys noszą kolejne działania artysty związane z Hotelem Sztuki, Biurem Podróży Soczewka, skończywszy na powołaniu do życia Fundacji Profile.

Wystawa jako eksperyment

W tym kontekście ekspozycja w Atlasie Sztuki cechuje się wyjątkowym i eksperymentalnym podejściem do samego zagadnienia wystawy sztuki i stała się jednocześnie konsekwentnym rozwinięciem doświadczeń artystycznych jej twórcy. Paruzel w swojej działalności artystycznej grał z konwencją artysty i instytucji sztuki, wcielając się w biografę, biurokratę, geografę, przewodnika, hotelarza. Zamiast autorskiej galerii założył Hotel Sztuki, zamiast happeningu organizował fikcyjne wycieczki, zamiast wystawy organizował „biuro”.

W Atlasie Sztuki zamiast pokazać swój dorobek artystyczny, pokazał sieć zależności i oddziaływań, w którą wkiła się jego koncepcja sztuki i obraz pewnego etapu neoawangardy, w którym brał udział. W tym sensie, mimo że była to wystawa zbiorowa, jej głównym bohaterem był sam Andrzej Paruzel. Subtelnie poprowadzona narracja wystawy zręcznie ukrywała pod wielością i różnorodnością prac fakt, że wystawa *Wobec awangardy XX wieku w wyborze Andrzeja Paruzela* nie opowiada o niczym innym, jak tylko o nim samym i o jego obecności w przestrzeni sztuki. Nie sposób jednak zarzucić tej wizji aroganckiego egocentryzmu, ponieważ autor wystawy poza przedstawieniem własnej subiektywnej historii przeprowadza szerszą „krytykę instytucjonalną”⁵, na co w tekście towarzyszącym wystawie zwraca

uwagę Daniel Muzyczuk. „Instytucja powołana jako dzieło sztuki staje się narzędziem w kształtowaniu środowiska artystycznego” – pisze przy okazji omawiania Biura Przewodników po/Sztuce i Kulturze. Ekspozycja w Atlasie Sztuki była pójściem tym tropem, jest ona bowiem wspomnieniem pewnego „środowiska artystycznego”, przeniesionym z poziomu działań artystycznych na poziom konkretnej wystawy. Paruzel sięgnął do idei postaw artystycznych lat 80., reprezentowanych przez wybranych artystów, i odtworzył te postawy w geście kuratorskim. Tym samym ten „jego wybór” artystów jest jednocześnie jego własną legitymizacją jako kuratora.

Pozostaje pytanie, czy poza tym ideowym bądź konceptualnym kontekstem wystawy można dopatrzyć się w niej jakiegóż oryginalnej linii narracyjnej czy problemowej? Tu niestety mam wątpliwości. Paruzel sięga po ikoniczne prace, które w różnych konfiguracjach nieustannie funkcjonują w obiegu muzealno-galeryjnym, powielając pewien schemat pokazywania sztuki ostatnich dziesięcioleci. Pomiędzy tymi ikonicznymi pracami można oczywiście natrafić na pewne niespodzianki – dla mnie stanowiła ją część poświęcona twórczości Jerzego Trelińskiego, Andrzeja Partuma czy choćby samego Paruzela. Ten pierwszy wydaje się wyznaczać ważny moment tej wystawy, choć umiejscowiony został w miejscu ekspozycyjnym łatwym do przeoczenia. Jednocześnie prace Trelińskiego opowiadają właśnie o wyznaczaniu granic sztuki, o przenikaniu się sfery codzienności i sztuki czy o wtargnięciu sztuki w codzienność. Andrzej Partum jest mityczną już postacią epoki sztuki, o której opowiada wystawa, niemniej pozostaje on nazbyt często przeoczany. Jego trzy manifesty umieszczone w przeciwległym rogu galerii były łatwe do pominięcia. Jeden z nich,





Manifest pozytywnego nihilizmu, dotyka podobnego problemu dematerializowania się sztuki i przeniesienia akcentu z obiektu sztuki na działania i postawę.

Sztuka z walorem sprzeczności

Te dwa przeciwległe narożniki wystawy wyznaczają ciekawą ramę ekspozycji problemu wystawy mówiącej o postawach i gestach raczej niż o obiektach sztuki. Pomędzy nimi autor wystawy umieścił kilka swoich prac. W jednej z nich, *6 sekund*, Paruzel dokonuje analizy medium fotografii, operując dwoma podstawowymi parametrami fotografii – czasem i dystansem. Ta zimna i konceptualna analiza medium uzyskała ciekawą poetykę, stając się centralnym momentem ekspozycji. W serii zdjęć ustawionych naprzeciw siebie aparatów fotograficznych pojawia się nagle człowiek, który uruchamia te aparaty. Pojawia się on, gdy zwiększa się dystans między aparatami i czas sześciu sekund samowyzwalacza nie wystarcza na przebiegnięcie z za jednego aparatu do drugiego i schowanie się. Podobnie jak w pracy *6 sekund*, na wystawie *Wobec awangardy XX wieku* Andrzej Paruzel ambitnie dąży do chłodnej analizy pewnego fenomenu sztuki. Ta analiza jednak „potyka się” o czynnik ludzki, o czynnik dystansu i czasu, o bezpośrednie doświadczenie tego fenomenu. Na pewnym etapie nieuchronnie dostrzegamy biegającego człowieka, w miejscu gdzie przedstawiony winien być sam fenomen sztuki. To może nieco irytować.

Paruzel postawił sobie ambitny problem, którego chyba nie był w stanie udźwignąć. Z drugiej strony ten problem być może wkalkulowany został w samą wystawę. Być może słabość tej wystawy jest jednocześnie jej ukrytym atutem. W końcu

chyba w tej kuratorskiej ofercie mniej chodzi o „awangardę XX wieku”, a bardziej o „wobec” i „w wyborze”. Tematem wystawy jest raczej relacja do pewnego fenomenu, a nie sam ten fenomen. To drobne przesunięcie akcentu, jak mi się wydaje, odwraca sens wystawy. Tak postawiona kwestia kieruje uwagę na analityczny problem pokazywania sztuki, na wystawę jako określone medium, a nie na samą sztukę. Podobnie jak praca *6 sekund* przesuwa akcent z samego obrazu fotograficznego na proces wytwarzania tego obrazu, tak wystawa *Wobec awangardy* przesuwa akcent z prezentowania sztuki na proces wytwarzania „nowych warunków produkcji i dystrybucji sztuki”⁶.

Karol Józwiak
– historyk sztuki, doktorant Instytutu Kultury Współczesnej UŁ

Wobec awangardy XX wieku w wyborze Andrzeja Paruzela, Galeria Atlas Sztuki w Łodzi, 4 marca–8 kwietnia 2016.

Przypisy:

1. *Przewodnik po/sztuce i kulturze* – rozmowa Tomasza Załuskiego z Andrzejem Paruzelem [w:] *Wobec Awangardy XX wieku w wyborze Andrzeja Paruzela*, red. A. Mendrykowska, kat.wyst. Atlas Sztuki, Łódź 2016, s. 12.
2. Nicolas Bourriaud, *Estetyka relacyjna*, przeł. Ł. Białkowski, MOCAK, Kraków 2012, s. 13.
3. *Przewodnik po/sztuce i kulturze*, *op.cit.*, s. 12.
4. *Ibidem*.
5. Daniel Muzyczuk, *Wobec „postaw”* [w:] *Wobec Awangardy XX wieku w wyborze Andrzeja Paruzela*, *op.cit.*, s. 3.
6. *Ibidem*.

Fot. dzięki uprzejmości galerii Atlas Sztuki w Łodzi

Włodzimierz, Jolanta, Rafał Ciesielscy

Między naturą a eksperymentem

kultura

Wnętrze secesyjnej Galerii Willa, jednej z czterech przestrzeni wystawienniczych Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi, to miejsce wyjątkowe, urzekające pięknem zabytkowych dekoracji wpisanych w kameralne pomieszczenia. Pierwotnie był to dom rodzinny niemieckiego przemysłowca i miłośnika sztuki Leopolda Rudolfa Kindermanna. Od 1975 roku ta secesyjna willa pełni funkcję galerii sztuki współczesnej.

Ciekawym pomysłem zainicjowanym w 2007 roku przez dyrektor Elżbietę Fuchs jest organizowanie w tym pomieszczeniu projektów dedykowanych artystycznym rodzinom, w których talent i pasję do sztuki dziedziczą kolejne pokolenia. W ramach tego cyklu swoje prace z ostatnich trzech lat pokazali Włodzimierz, Jolanta i Rafał Ciesielscy – absolwenci łódzkiej PWSSP, od lat związani z Rudą Pabianicką. Tam mieszkają i tworzą w otoczeniu przyrody, która jest dla nich nieustającym źródłem inspiracji i poszukiwań, przekładających się na najnowsze rzeźby, grafiki komputerowe i fotografie.

Blżej natury

Otoczenie, jakie oferuje położony na południu Łodzi rudzki park z malowniczymi stawami Stefańskiego i rzekami Ner, Jasień, Gadka, Olechówka, ma dla artystów znaczenie inspirujące. Dobrze wie o tym Włodzimierz Ciesielski, jeden z najaktywniejszych łódzkich rzeźbiarzy, od ponad pół wieku doskonalący swój warsztat w kamieniu i drewnie. Materiał rzeźbiarski artysta znajduje zazwyczaj wokół swego domu. To pnie drzew. Powstają z nich różne formy realizowane zawsze z wielkim szacunkiem dla materiału. Naturalne tworzywo to wstęp do symbolicznych i egzystencjalnych odniesień, dla których wskazówką są tytuły prac: *Przenikania*, *Upływ Czasu*, *Przyptywy*, *Wżery*. Włodzimierz Ciesielski komentuje w ten sposób zachodzące w otaczającym go świecie procesy i zjawiska, na których piętno odciska czas. Wymownym tego przykładem są płaskorzeźbione *Rzeki*, wyraz nostalgii autora za płynącymi na utraconych Kresach dawnej Rzeczypospolitej Niemnem i Dniestrem. W kameralną przestrzeń parteru willi Kindermanna pięknie wpisały się też rzeźbione w drewnie lipowym *Krzywulce*. Dzieła



to bardzo wyraziste. Zarówno te starsze, z 2006 roku, jak i najnowsze, silniej zgeometryzowane, poza ekspresyjną płynną formą nawiązującą do giętkości traw oddziałują także wyrazistą wielokrotnością.

Przykładem łączenia drewna ze szkłem i z kamieniem są wertykalne prace z cyklu *Szczeliny*. W wydrążonych wąskich otworach artysta umieścił formowane, klejone szkło nadające kompozycjom „punkt ciężkości”. Oryginalnym zabiegiem okazało się tu połączenie grubej, spękanej szklanej płyty z pofalowanym drewnem w kompozycjach *Fala* i *Plaża*, co miało odniesienie do żywiołów wody i ziemi. Wiele trudności, ale i pewnie satysfakcji, dały artyście kuliste obiekty z cyklu *Przenikania*, formowane w drewnie topoli. Oddają one ekspresyjnie ideę zapętlenia czasu i ludzkiego życia, w którym bezustannie coś się dzieje, zmienia, powtarza, płynie... To nieskończony cykl, a rzeźbiarz planuje jego kontynuację.

Podobne odniesienia ideowe odnaleźć można było również w płaskorzeźbach zatytułowanych *Falowanie*. Artysta operuje tu kontrastem pomiędzy naturalnie jasnym drewnem jednej płaskorzeźby z przyciemnioną formą drugiej. Podobny zabieg zastosował w rzeźbach z cyklu *Rozkwitanie* – wykorzystując tym razem naturalne uformowanie pnia wydrążonej lipy – oraz w najnowszych kompozycjach zatytułowanych *Pióro*. Rzeźby odnoszące się graficznie do struktury ptasiego pióra pięknie oddają załamania i lśnienia płaszczyzny drewna potraktowanego z wielką warsztatową maestrią. Prowadząc bardzo osobisty, podbudowany głębszą filozoficzną refleksją dialog ze światem przyrody, artysta nawiązał tu do najlepszych tradycji minimal artu, nowoczesnie zinterpretowanego przez pryzmat osobistych emocji.

Dodatkową wartością kolejnej prezentacji rzeźb artysty w tym miejscu (poprzednia wystawa, z 2006 roku, nosiła tytuł *Czas przemiany*) była aranżacja prac według ściśle określonego porządku. Obiekty rzeźbiarskie stały się jakby jedną całością z architekturą wnętrz, dobrze korespondując z zabytkową przestrzenią, współgrając z nią naturalną kolorystyką i organicznością form. Kontekstem zbliżenia estetycznego okazała się tu secesyjna sztukateria sufitów i stylizowane żyrandole.

Malowanie bez farb

W podziemiach willi znajduje się kameralna Galeria Chimera, w której 30 fotografii i grafik komputerowych zaprezentowała Jolanta Ciesielska, żona Włodzimierza. Artystka zajmowała się dotychczas malarstwem i grafiką warsztatową, których pokłosiem stały się w pewnym sensie jej najnowsze prace – impresyjne pejzaże Rudy Pabianickiej uwieczniane aparatem, a następnie obrabiane komputerowo, niekiedy też zostawiane w stanie czystym. Uwieczniła na nich odbite w lustrze wody pejzaże – szukając w takim zabiegu motywów przyrodniczych wartych zanotowania. Wodą odbijającą obraz była powierzchnia stawu, strumienia, a nawet ulicznej kałuży.

Takie oglądanie świata przyniosło zaskakujące efekty formalne, często na pograniczu op-artu i abstrakcji. Zdjęcia realizowane głównie wiosną i latem, w słoneczną pogodę, o poetyckich tytułach, np. *Liryka przed zaśnięciem*, *Wyprawa po Złote Runo*, *Panta rhei*, *Carpe diem*, ukazują emocjonalny stosunek autorki do świata przyrody. Stąd zapewne silne kontrasty bazujące na efektach nagłego przeblýsku słońca ślizgającego się po wodzie, rytmicznej falistości bezustannego trwania czy niezwykłych





efektów, jak uwiecznienie pęcherzy powietrza gromadzących się pod powierzchnią wody. Szczególnym podsumowaniem tych wodno-barwnych eksperymentów były dwie *Groteski* z 2016 roku – abstrakcyjne kompozycje ukazujące to samo miejsce sfotografowane o różnych porach dnia. Jolanta Ciesielska pokazała tu, jak „malownicze” może być zwykłe błoto, może nieco „podrasowane” komputerowo. Zdjęcia ukazujące piękno zimy i jesieni w Rudzie Pabianickiej to w zasadzie realistyczne pejzaże, w których uchwycone zostały wyjątkowe momenty pór dnia, oddające klimat miejsca i nastroj chwili. Ale znalazły się tu dalsze eksperymenty, czego przykładem może być surrealistyczna w klimacie kompozycja *Epoka lodowcowa*. To obraz fotograficzny konstruowany za pomocą nałożonych na siebie kilku kadrów tego samego motywu, w tym przypadku skutych lodem igieł sosnowych. Praca oddziałuje czystą, acz wyrafinowaną formą oraz wielością kontekstów pozwalających na różnorodne interpretacje. Dotyczy to zresztą wielu zgromadzonych na wystawie prac artystki, prowokujących skojarzenia np. z koronką na śniegu, rozciągniętą skórą zębry, plasterami miodu – gdy tymczasem wszystkie te efekty wynikają z innego spojrzenia na wodne odbicie, nieoczekiwanie deformujące i przetwarzające banalny często motyw w nową estetyczną jakość.

Jeszcze inny kontekst zawiera *Tajemnica* – fotografia wykorzystująca jako tło grafikę warsztatową Jolanty Ciesielskiej. Artystka z powodzeniem uprawiała wcześniej grafikę w technice suchej igły i akwaforty. Jej nowa fotograficzna praca niesie wrażenie gęstej od nawarstwień struktury, którą autorka wzbogaciła o dodatkowe efekty graficzne i efektowne przejścia walorowe w obrębie wąskiej, nieco zabrudzonej gamy barw. Zarysowany został bardzo ciekawy kierunek dla dalszego eksperymentowania

z formą i materia, ujawniający zupełnie inną od dotychczasowej twórczości wrażliwość artystki.

Kamienne dusze

Na piętrze Willi, w dwóch salach ekspozycyjnych, zaaranżowane zostały prace Rafała Ciesielskiego. Syn Włodzimierza i Marii Zielińskiej, łódzkiej artystki i projektantki tkanin, po początkowych doświadczeniach z grafiką warsztatową ostatecznie wybrał rzeźbę. Zaczął od drewnianych rzeźb sakralnych, które wykonywał już w latach 80. wspólnie z ojcem dla wnętrz kościołów w Łodzi, Kutnie, Płocku, Zduńskiej Woli.

Od kilku lat Rafał Ciesielski tworzy odlewy z opiłek brązu i żywicy epoksydowej. W tej technice zwanej epidianem zaczął wykonywać również rzeźby niekomercyjne. Proces rzeźbiarskiego dojrzewania artysty, tak warsztatowego, jak i ideowego, podsumowany najnowszym cyklem *Kamienne dusze*, ilustrowała ekspozycja w Willi. Oprócz prac wcześniejszych, z drewna, czyli inspirowanych wyraźnie rzeźbami Włodzimierza, jak *Krzesa* i *Symfonie*, znalazły się na niej obiekty z epidianu (cykle *Z głowy*, *Rękodzieła* i *Relacje*), w których artysta odszedł od abstrakcyjnej formy na rzecz modelowania fragmentów ludzkiego ciała. To torsy, dłonie, głowy, którym nadał wyraźne znaczenie symboliczne. Pojawiła się w tym kontekście chęć sportretowania ludzkich uczuć i emocji, czyli stanów duszy. Kluczowy dla takich poszukiwań okazał się dla artysty rok 2015 i ówczesny pobyt nad morzem. Powstały ciekawe obiekty. To naturalnych rozmiarów odlewy dłoni, które podtrzymują – często na jednym palcu, w najbardziej karkołomnych układach – naturalne kamienie. Kompozycje te przeczą prawom grawitacji, zwłaszcza zaś ciężkości kamieni, które symbolizują tutaj to, co niematerialne: życie wewnętrzne człowieka, jego uczucia, emocje, myśli, tę szlachetniejszą, lepszą stronę ludzkiej natury.

To interesujące eksperymenty warsztatowe poparte wartościową autorefleksją artysty

Monika Nowakowska
– historyk i krytyk sztuki

Włodzimierz i Jolanta Ciesielscy, *Blżej natury*; Rafał Ciesielski, *Kamienne dusze*, Miejska Galeria Sztuki w Łodzi: Galeria Willa / Galeria Chimera, 18 marca – 22 maja 2016 roku.

Fot. dzięki uprzejmości Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

historia

Nowe fakty o Aleksym Rzewskim

Bohater i celebryta

Wojciech Źródłak

str. 125

Nieudany werbunek

Matka studenta kontra SB

Bartosz Bijak

str. 133

Nowe fakty o Aleksym Rzewskim

Bohater i celebryta

historia



W dniu 17 marca 2016 roku w dodatku „Co tydzień historia” do dziennika „Polska. Dziennik Łódzki” ukazała się rozmowa Anny Gronczewskiej ze mną, będąca komentarzem i uzupełnieniem do obszernego artykułu dziennikarki pt. *Przebój*, będącego próbą popularnej biografii prezydenta Aleksiego Rzewskiego, który ukazał się w tym samym dodatku tydzień wcześniej (10.03.2016). Ponieważ prasa codzienna ma swoje wymogi i naturalne ograniczenia, postanowiłem jeszcze raz zaprezentować ustalone przeze mnie fakty i oceny w rozszerzonym zakresie.

W przywoływanym artykule A. Gronczewskiej zostało powtórzonych kilka mitów zaczerpniętych z osobistych wspomnień Rzewskiego i skwapliwie powtarzanych przez jego hagiografów już przed drugą wojną światową – przede wszystkim biogram Ludwika Stolarzewicza

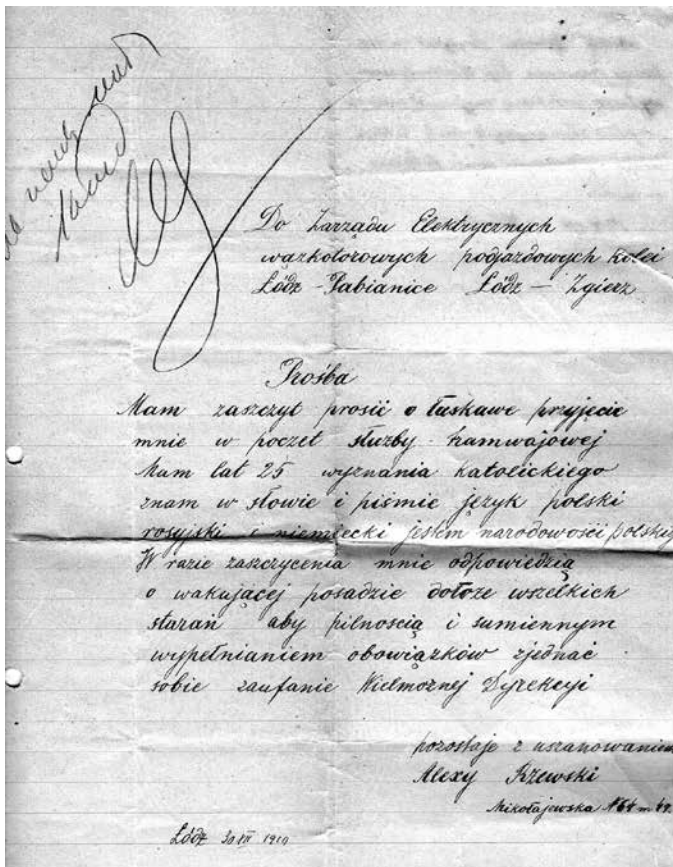
w wydawnictwie *W służbie idei. Księga zbiorowa ku uczczeniu 35-lecia pracy Aleksiego Rzewskiego, 1902–1937* (Łódź 1938, nakładem Komitetu Uczczenia Pracy Aleksiego Rzewskiego), a ostatnio w kilku publikacjach mających na celu szersze przywrócenie pamięci łodzian tej niewątpliwie nietuzinkowej postaci¹.

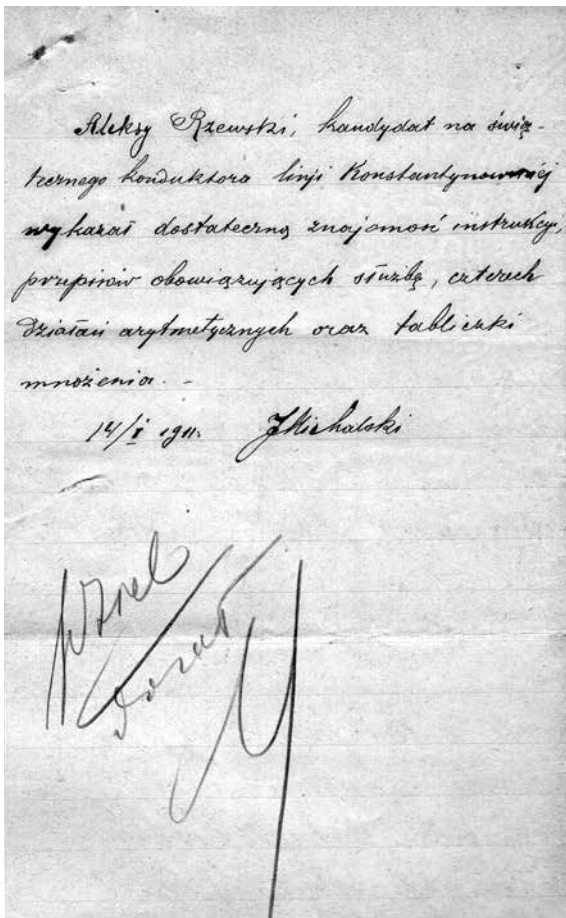
Nie są to mity tej wagi, że należałoby się zastanowić nad zasadnością ufundowania pomnika dla niego, ale na pewno nowe oczywiste fakty sprowadzają Rzewskiego nieco bliżej ziemi.

Prostowanie mitów

Tak się złożyło, że niedawno odnalazłem kopertę akt osobowych Rzewskiego jako konduktora z uprawnieniami motorniczego tramwajów podmiejskich, czyli Łódzkich Wąskotorowych Elektrycznych Kolei Dojazdowych (ŁWEKD). Zmieniają one zasadniczo chronologię wydarzeń z jego życiorysu z okresu sprzed pierwszej wojny światowej, czyli z czasów, na których później budował – co robili także jego hagiografowie – swój wizerunek. Zamierzam przekazać te materiały do zbiorów Muzeum Tradycji Niepodległościowych, gdzie będą stosunkowo łatwo i szybko dostępne dla przyszłych nowych biografów Rzewskiego. Część z nich ilustruje ten materiał.

O ile mi wiadomo jeden z łódzkich historyków – dr Julian Kuciński – wziął „na swój warsztat” gruntowne wskazanie i wyjaśnienie tych rozbieżności. To śledzenie powstawania mitu jest tyleż zabawnym, co fascynującym doświadczeniem. Należy tu wspomnieć, że już od dawna historycy badający dzieje ruchu robotniczego, a szczególnie działalności Polskiej Partii Socjalistycznej w Łodzi zwracali uwagę, że





do autobiografii Rzewskiego należy podchodzić z dystansem. Jednoznacznie zaznaczyła ten fakt Alicja Pacholczykowa, autorka najlepszego według mnie biogramu Rzewskiego, zamieszczonego w „Polskim Słowniku Biograficznym” w 1992 roku². W kontekście problemu powrotu Rzewskiego do Łodzi zauważa tam, że on sam, a za nim jego hagiografowie, podaje rok 1913 roku, tymczasem w Archiwum Państwowym w Łodzi, w aktach Gubernatora Piotrkowskiego (np. sygn. 1821, k. 104), znajdują się dokumenty wskazujące na co najmniej rok 1911. Pacholczykowa zwróciła uwagę na tę rozbieżność, ale nie wyjaśniła jej jednoznacznie. Prawdopodobnie z jednej strony z powodu wymogów konstrukcji hasła encyklopedycznego, w którym nie praktykuje się rozbudowanych dywagacji. A była „na wyciągnięcie ręki” od wyjaśnienia tej sprawy, gdyby dotarła do umów pracowniczych ŁWEKD, gdzie zachował się jego angaż stałej pracy z dnia 1/14 lutego 1911 roku. Ciekawe, że został on pokazany w miarę dokładnie w 14 minucie i 38 sekundzie filmu dokumentalnego Jacka Grudnia pt. *Przebój – Aleksy*

Rzewski z 2011 roku, gdzie dobrze widoczna jest wspomniana data i podpis Rzewskiego po akceptacją warunków pracy i płacy.

W ramach przyjęcia do pracy Rzewski musiał się poddać badaniu lekarskiemu. W jego tezcze osobowej znajduje się skierowanie do dr J. Grabowskiego przyjmującego przy ul. Piotrkowskiej 145. Tenże na odwrocie zapisał: „Zbadałem 14 stycznia 1911 roku: Blizna na tylnej powierzchni prawego stawu ramieniowego wielkości dłoni. Zdrow – pracować może”. Ta blizna to zapewne ślad po napadzie na niego u zbiegu ulic Zarzewskiej i Kruczej 7 stycznia 1907 roku, kiedy wracał do domu po krwawej strzelaninie pod kościołem św. Anny. Wspomina ten moment: „Zastąpiło mi drogę czterech uzbrojonych ludzi, którzy z okrzykiem »Ręce do góry« oddali do mnie kilka strzałów. Pociemniało mi w oczach. W nogach, w boku i ręce szarpnęło mnie coś raptownie i runąłem na ziemię. Uczułem, że kilku ludzi mnie rewiduje, szukając broni.

200

Imię, imię ojca i nazwisko *Rzewski*
Aleksy syn Władysława

Wiek *25 lat*

Miejsce zamieszkania *Łódź, ul. Miłkołajewska Nr 64*

Wyznanie *wyrmuko-katolickie*

Rodzaj ostatniego zajęcia *dispedient fabryczny obecnie bez zajęcia*

Przyjęty na *konduktora święteckiego dep. Konstantynów*

Na warunkach płacy *3 ruble za jazdy w dzień i w nocy i 2 ruble za jazdy w dzień przewoźnicę*

Zapisany do książki paszportowej pod Nr *40/492*

Żył dowody *przedstawił świadectwo o prawie zamieszkania, wydane przez pułkownika ułana Łodzi, dnia 30-go kwietnia 1910-go roku z kolumnem na 2 tygodnie i świadectwo o Grabowskiego z dn. 1/14-go I-go 1911 Nr: 598*

Obowiązki względem wojskowości *zajmował kierownika II-go wydziału prawodawstwa 1906-go roku*

Powyższe warunki przeczytał i podpisem zaakceptował *Aleksy Rzewski*

Przyjęty dn. *10/23-go stycznia* 1911 roku.

Dyrektor drogi *[Podpis]*

Jeden z nich krzyknął: „Żyje jeszcze!”, po czym rozległo się kilka strzałów i wpakowano mi na pożegnanie pod lewą pachę trzy kule”. Było to trzecie obrażenie, bo pierwszego doznał podczas walk ulicznych w 1905 roku na barykadzie na ulicy Nawrot. Tu podczas odwrotu został ranny w nogę tak, że kula przeszła na wylot. Drugiego doznał podczas akcji agitacyjnej wśród mieszkańców wsi w powiecie łęczyckim w 1906 roku. Został wtedy zraniony szablą w głowę i odstawiony do więzienia w Łęczycy. Widać badanie dr Grabowskiego było nieco pobieżne.

Jeszcze raz z całym naciskiem jednak stwierdzam, że na pewno nie mamy tu do czynienia z casusem z dramatu Jerzego Szaniawskiego z 1925 roku pt. *Żeglarz*, niegdyś będącego obowiązkową lekturą szkolną na poziomie średnim. Generalnie Rzewski jest w dziejach Łodzi niezwykle pozytywną postacią, chociaż, jak zauważali jemu współcześni, nieco trudną we współdziałaniu. To on przecież zapoczątkował powszechne nauczanie na poziomie podstawowym w Łodzi, jako pierwszym mieście w Polsce po okresie zaborów.

Nie ukrywał się

Ale przejdźmy do podstawowej kwestii. Według aktualnie obowiązującej wersji Aleksy Rzewski pojawił się w Łodzi w 1913 roku w wyniku amnestii carskiej po wydarzeniach okresu rewolucji w latach 1905–1907. I to jest już oczywistą nieprawdą w świetle ujawnionej teczek akt osobowych z pracy w ŁWEKD. Musiał pojawić się w Łodzi pod koniec 1910 roku, ponieważ 30 grudnia napisał podanie o przyjęcie go do pracy w tym przedsiębiorstwie. Został przyjęty z dniem 23 stycznia 1911 roku po zdaniu wewnętrznych egzaminów, najpierw jako tzw. „konduktor świąteczny” na nowo otwieranej linii konstantynowskiej, z uprawnieniami do prowadzenia wagonów tramwajowych. Nie były one specjalnie trudne dla człowieka niewątpliwie inteligentnego. A 1/14 lutego na etat stały, z pensją „rubli 40, 00 kop i rubli 5, 42 kopiejek mieszkaniowego miesięcznie”.

Należy tu podkreślić, że pojawił się w Łodzi bynajmniej nie potajemnie, o czym świadczy chociażby umieszczenie na wspomnianym podaniu swego ówczesnego adresu zamieszkania w nieistniejącej już dziś kamienicy przy ulicy H. Sienkiewicza 64 m. 49 (w pobliżu obecnego skrzyżowania z aleją J. Piłsudskiego). Było to mieszkanie jego matki.

Na pewno jego przyjazd przygotował znany adwokat Piotr Kon, związany ze środowiskiem łódzkich socjalistów. Na pewno warunkiem powrotu było poddanie się nadzorowi policyjnemu, co nie było trudne do spełnienia, bo Rzewski nie został wcale zesłany karnie na Syberię z polecenia Kaznakowa (proszę szanownych hagiografów!), ale profilaktycznie, decyzją administracyjną, na postawie wniosku szefa łódzkiej żandarmerii, do „najdalszej europejskiej guberni Rosji”. Podkreślam specjalnie słowo „europejskiej”, bo jakoś umyka ono wszystkim dotychczasowym biografom Rzewskiego. Wcale się zresztą nie dziwię – lepiej w życiorysie wygląda epizod syberyjski niż europejski...

Przemilczane małżeństwo

I oto ważny dowód dla przypieczętowania tej kwestii: 15 listopada 1911 roku Rzewski zawarł dziwny związek małżeński we wsi Nowe pod Krośniewicami z Heleną Ryżlak (lat wówczas 17, sam miał 26), w nieco przygnębiających okolicznościach towarzyszących tej ceremonii, co opisał w eseju pt. *Zgrzyty* (tuż po ceremonii ślubnej do kościoła została wprowadzona trumna ze zwłokami artysty malarza Wojciecha Piechowskiego³, który kilka dni wcześniej zginął w pobliżu w wypadku i miał być pochowany na miejscowym cmentarzu). Akt ślubu jest bez kłopotu dostępny na portalu www.genealodzy.pl. To małżeństwo trwało bodajże tylko rok. Według mnie o przyczynach jego rozpadu napisał w kryptospomnieniu z więzienia pt. *O zmroku*, ukrywając się pod nazwiskiem Kord. Jest tam też zawarta informacja o mniej lub bardziej prawdopodobnych okolicznościach poznania owej młodziutkiej Heleny. Ale tu znowu korekta – Rzewski nie siedział w więzieniu przy ul. Gdańskiej (dziś Muzeum Tradycji Niepodległościowych), a w jego doraźnej filii w latach 1905–1907, przy ówczesnej Nowo-Cegielnianej (obecnie S. Więckiego) 55; budynek do dziś zachował się jako kamienica mieszkalna.

Z drugą żoną wziął ślub dopiero w lutym 1923 roku, do tego czasu żyjąc z nią i dochowując się trzech synów na „kocią łapę”, co akurat według obecnych standardów, przynajmniej w kręgu środowisk liberalnych, nie jest naganne. Akt małżeństwa bez trudu można uzyskać w łódzkim USC wraz z informacją, że otrzymał uprzednio kościelne unieważnienie poprzedniego małżeństwa. Gwoli ścisłości – córka Mirosława urodziła się w rok po tym wydarzeniu.

Ustalony rok 1910 pojawienia się Rzewskiego w Łodzi poważnie skraca okres jego działalności we Francji i Niemczech po ucieczce z zesłania do około półtora roku, z czego bodajże trzy miesiące kurował się po poparzeniach chemikaliami podczas pracy w fabryce w Ludwigshafen.

Prawie „samobójstwo”

Rzewski został zwolniony z ŁWEKD 20 marca 1916 roku za „niespokojne usposobienie”. Brzmi niezłe, bo sugeruje, w kontekście jego dotychczasowej i późniejszej działalności domniemanie o przyczynę polityczną. Rzeczywista przyczyna była według mnie tragicznie prozaiczna. Chodzi o „operetkową” próbę samobójstwa w biurze dykcji ŁWEKD – która w tym czasie mieściła się w budynku na rogu ulic Moniuszki i Sienkiewicza, znanym dziś jako niegdysiejsza siedziba germanistyki UŁ – tydzień wcześniej poprzez napicie się tzw. „lizolu”, czyli żrącego środka dezynfekcyjnego. „Nowy Kurier Łódzki” z 14 marca w standardowej, niewielkiej notatce prasowej pt. *Próba samobójcza* prognozował mu niedługi żywot, tymczasem już w miesiąc później Rzewski przyjął funkcję sekretarza w robotniczej Kooperatywie Spożywczej „Ogniwo”. Na początku czerwca zaś w robotniczej Kooperatywie „Wyzwolenie” wszedł do komisji organizacyjnej założenia centralnej hurtowni artykułów pierwszej potrzeby, czyli spółdzielni samozaopatrzenia

w ciężkich wojennych czasach. W następnych latach niejednokrotnie potwierdzał swobodne posługiwanie się gardłem, które powinno być po tej próbie samobójczej co najmniej znacznie uszkodzone.

Zdzisław Szczepaniak w jego biografii *Człowiek z epoki więzień* zastanawia się, co mogło popchnąć tak silnego i przebojowego człowieka do tego czynu. Według mnie przyczyną był według dzisiejszego określenia *mobbing* zastosowany wobec niego przez dyrekcję ŁWEKD. Zresztą nie tylko wobec niego. Kwestia odnoszenia się kadry kierowniczej ŁWEKD, w tym ówczesnego dyrektora Wiesława Gerlicza, do szeregowych pracowników czeka na gruntowne wyjaśnienie, ale z pojedynczych notatek prasowych i dokumentów wynika, że był on niejednokrotnie bardzo brutalny. Za najmniejsze przewinienie m.in. konduktorzy i motorniczowie byli karani, co spotkało niewątpliwie Rzewskiego; w tym przypadku karą było czasowe odsunięcie od pracy i pozbawienie zarobku za ten okres. Ukarany musiał się codziennie meldować w dyrekcji, gdzie dowiadywał się, że i w tym dniu nie jest potrzebny. Nie dziwi więc ten akt w sytuacji, bo w warunkach trwającej wojny Rzewski miał w tym czasie na utrzymaniu niepracującą partnerkę w ciąży i półrocznego syna. Nie mogąc nic na to poradzić, przy swojej „przebojowości” zdecydował się na taką demonstrację. Sposób zmanifestowania swojego udręczenia wynika chyba w prostej linii z jego gwałtownego charakteru.

Między popularnością a prawdomównością

Czy pamięć o Rzewskim utracili tylko komuniści, jak uważają jego biografowie? Mam co do tego pewne wątpliwości. Może miałyby szansę przynajmniej na jakąś ulicę po odwilży w 1956 roku, gdyby nie to, że również „darł koty” ze współtowarzyszami partyjnymi z Polskiej Partii Socjalistycznej, co między innymi wynikało ze wzajemnie odmiennych koncepcji politycznych. W efekcie zakończyło się to zawieszeniem go już w 1924 roku na rok w prawach członka PPS, w wyniku czego z kolei on sam demonstracyjnie wystąpił z partii.

Dla mnie, z ogólnego oglądu, Rzewski to także taki ówczesny... Wałęsa. Robotnik, samouk, człowiek niewątpliwie inteligentny i mający wizję nowoczesnej Łodzi w nowej Polsce, którą skutecznie w kilku punktach zapoczątkował, wyculony na krzywdy robotników, ale niestety zbyt żywiołowy w działaniu, mało przy tym „polityczny”, co dostrzegali jemu współcześni. W wielu swoich działaniach na pewno przysłowiowy „kozak”, ale w równym stopniu mający niesamowite wycucie autoprezentacji z wykorzystaniem ówczesnych mediów. Kiedy się przegląda ówczesną prasę, to pełno w niej Rzewskiego w najprzeróżniejszych sytuacjach. Na pewno i bez popełnienia większego błędu można kreować go na pierwszego łódzkiego celebrytę. Potwierdziła to zresztą prof. Maria Nartonowicz-Kot we wspomnianym filmie Jacka Grudnia, zapytana o tę kwestię wprost. Tak zwana „ulica” chyba go z tego powodu lubiła. No i bardzo dobrze nadawał się na bohatera dla mas, bo to i walka z caratem, różne akcje zbrojne, Syberia, brawurowe ucieczki itd.

Na pewno nie był tuzinkową postacią w dziejach naszego miasta i z tego powodu znany w Łodzi Klub Miłośników Starych Tramwajów czyni starania z okazji przypadającej na ten rok 30. rocznicy swojej działalności, by odsłonić na murze zabytkowej zajezdni Brus pierwszą w naszym mieście tablicę pamiątkową z prawdziwego zdarzenia upamiętniającą tramwajowy epizod Aleksę Rzewskiego.

Zdaje sobie sprawę, że tych kilka uwag jest dość pobieżnych, ale więcej szczegółów znajdziemy zapewne we wspomnianej wyżej przygotowywanej publikacji. Na razie ideałem byłoby, gdyby na podstawie tego materiału i zaprezentowanych skanów piszący odtąd o Rzewskim przynajmniej odeszli od stwierdzania, że powrócił do Łodzi w 1913 roku.

A przy okazji: chyba należałoby coś zrobić z tablicą jego poprzednika na stanowisku prezydenta miasta – Leopolda Skulskiego na budynku przy Piotrkowskiej 104, która głosi, że to on był pierwszym prezydentem Łodzi w niepodległej Polsce. Przypomnę tylko, że Skulski formalnie był jedynie nadburmistrzem, mianowanym na to stanowisko we wrześniu 1917 roku, jeszcze podczas niemieckiej okupacji, w okresie poluzowania polityki wobec Polaków przez okupanta, aby w ten sposób pozyskać ich do walki Niemiec z państwami Ententy. A kiedy już rozkwitła niepodległa Polska, krótko potem stał się jednym z kluczowych uczestników sporego skandalu u jej zarania – przejścia miejskiej podówczas elektrowni w Łodzi przez grupę, jak to wówczas określano, „farbowanych Szwajcarów”, co zaowocowało jednymi z najwyższych stawek za energię elektryczną w ówczesnej Polsce. Okoliczności tamtej sprawy sprzed blisko 100 lat były dość podobne do niektórych dziwnych prywatyzacji, jakich byliśmy czasem świadkami w latach 90. XX wieku.

Wojciech Źródłak

– historyk, pracownik Muzeum Tradycji Niepodległościowych

Przypisy:

1. Ryszard Bonisławski, *Aleksy Rzewski, 1885–1939 [w:] 11 dzielnych ludzi: w 90. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości*, red. Jarosław Warzecha, Warszawa 2008 (s. 20–27), a przede wszystkim Zdzisław Szczepaniak, *Człowiek z epoki więzień. Opowieść o „Przeboju” – Aleksym Rzewskim*, Warszawa 2013.
2. Alicja Pacholczykowa, *Rzewski Aleksy Wincenty [w:] „Polski Słownik Biograficzny”, T. XXXIV/2, Kraków 1992, s. 228–232.*
3. Włócej o nim w haśle „Wojciech Piechowski” w Wikipedii.

Nieudany werbunek

Matka studenta kontra SB

Różne bywały powody rozwiązania przez Służbę Bezpieczeństwa PRL współpracy z tajnymi współpracownikami. Niezależnym od obu stron powodem była śmierć – by użyć resortowego terminu – „osobowego źródła informacji” lub jego ciężka choroba. Inną kategorią był brak możliwości operacyjnych konfidenta. Najczęściej oznaczało to zmianę lub utratę pracy (znaczna część TW donosiła właśnie na temat sytuacji w swoim miejscu pracy). Mogło się także okazać, że TW nie posiada aż tak dużych możliwości pozyskiwania informacji, jak pierwotnie zakładano, że przeszacowano jego predyspozycje psychiczne do tej specyficznej działalności lub popadł w alkoholizm i do niczego już bezpiecznie nie byłby przydatny. Istotnym powodem zerwania kontaktów z donosicielem była jego dekonspiracja. Zdarzało się, że działacze opozycyjni, których SB w jakiś sposób złamała i którzy podpisali zobowiązanie do współpracy (nie mylić z tzw. lojalką¹), kilka dni później przyznawali się do tego w gronie kolegów i np. zaprzestawali dalszej działalności podziemnej, by bezpieka nie miała z nich żadnego pożytku. Dekonspiracje nieumyślne lub przypadkowe mogły przybierać najróżniejsze formy. Znana jest mi – rzecz jasna z akt – studencka impreza w jednym z łódzkich akademików, podczas której dwóch z trzech uczestników (wszyscy tajni współpracownicy) pod wpływem alkoholu wyznało sobie fakt współpracy, a trzeci z nich, zachowując „rewolucyjną czujność”, doniósł o tym swojemu oficerowi prowadzącemu. I jeszcze – zdawać się może rzecz najbardziej oczywista – czyli odmowa dalszej współpracy. Bywało tak, że choćby pod wpływem wyrzutów sumienia, zbytniego obciążenia psychicznego podwójnym życiem albo zmiany funkcjonariusza prowadzącego na innego, który z jakichś względów nie odpowiadał TW, ten ostatni oświadczał, że dłużej nie będzie donosił. I konsekwentnie się tego trzymał podczas kolejnych prób przekonania go do zmiany zdania. Czasami współpracownik po prostu tak długo i skutecznie unikał kontaktu z SB, że w końcu skreślano go z ewidencji czynnej agentury, a akta lądowały na półce w archiwum. Zdarzały się również inne sytuacje, które wymykają się przytoczonym kategoriom, tak jak w dość zabawnym przypadku, który miał miejsce w 1987 roku.

W pierwszych dniach marca 1987 roku trzech studenci Wydziału Mechanicznego Politechniki Łódzkiej wracali około trzeciej nad ranem nocnym autobusem z imprezy towarzyskiej. Jeden z nich² dopuścił się – używając kodeksowej terminologii – nieobyczajnego wybryku, czyli mówiąc po ludzku, zwymiotował. Kie-

Łódź dnia 30.08.87

20
18
36

Jamino [redacted]

nauczycielka zam.

Łódź 91-817 ul. [redacted] 13 m 8

Skimister Spraw Wewnętrznych
General Czesław Kiszerak

na use pułkownika

Czesława Zmudy

Synktora Gabinetu Ministra

SVD... 02116..
Wpł. 84-10-03

Prośba o audiencję.

Uprzejmie proszę o łaskę zmieniemia obowiazku
współpracy jako informatora z Urzędem Spraw
Wewnętrznych w Łodzi przy ul. Lutomierskiej mojego
syna Stawomira Studzika politechniki.

Syn od chwili zaistniałej sytuacji zanudł samochodem
którego nie uaktywuje do wydajniejszej pracy (nie co jako rodzice
kieraliśmy), zamknął się w sobie, stał się apatyczny, utracił
energiz. Jest to tryunek osobowości, z natury wzdychliwy,
matomiastowy, słabo nawiązujący kontakty; przyjaciele, celny
te są swoisty zaprzeczeniem możliwości wykonywania
powołanego mu zadania

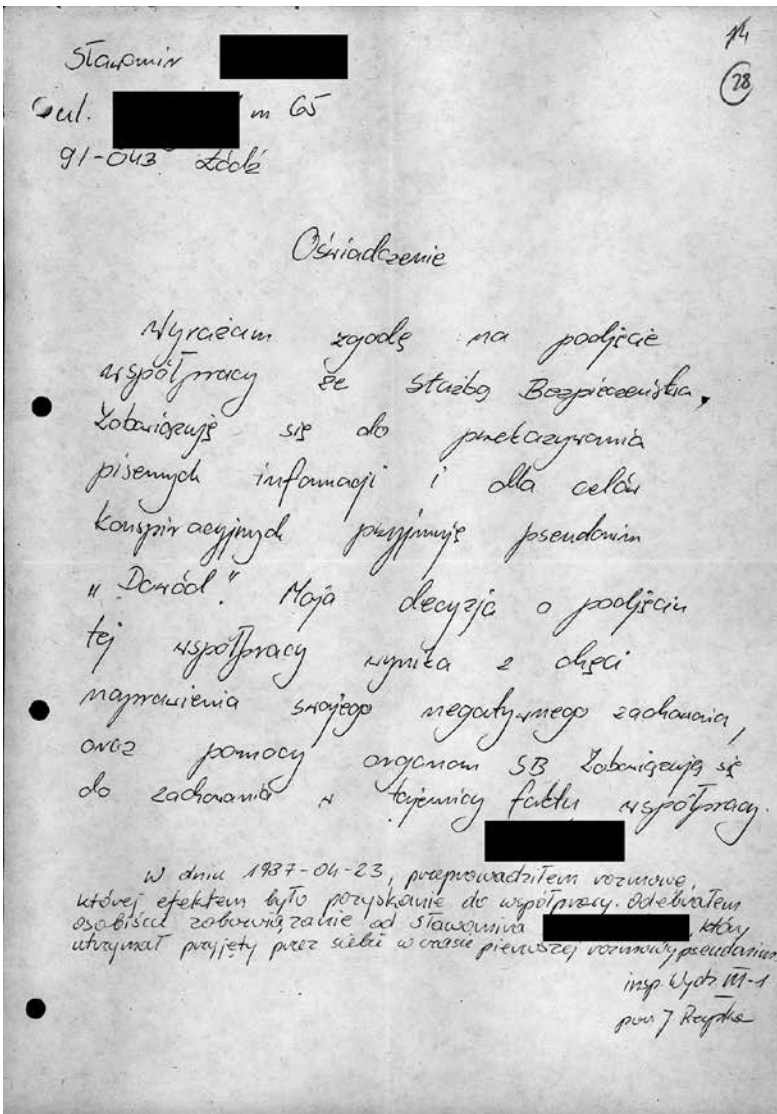
Sła nas przeklebiać też "zawadził się świat". Prosz
trzydziemi lat pracujemy w zawodzie nauczycielskim
potrzebując nowo umiejętności i idealny prawego zycia.
Okazanie łaska Pana Ministra przywrócićby możliwości
swobodnego zycia i spokojnej pracy naszej rodzinie
z prośbą o pomoc matka Jamina [redacted]

SEKCYJA ADMINISTRACYJNA
MELIONA SPRAW WEWNĘTRZNYCH
Województwo Łódzkie
S. 179 720/87

rowca wezwał milicję. Nieprzyjemna sytuacja poskutkowała interwencją patrolu ZOMO. Zeznania studenta co do jej przebiegu różnią się nieco od notatki służbowej dowódcy patrolu. Milicjant napisał, że student odmówił kierowcy posprzątania autobusu, ten natomiast zeznał, że gotów był to zrobić, ale pożyczoną od kierowcy szmatą, a nie własnym swetrem, jak kazali mu milicjanci. Całe zajście skończyłoby się skierowaniem wniosku o ukaranie do kolegium ds. wykroczeń, gdyby nie inspektor ds. wykroczeń Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych Łódź – Śródmieście. Ten czujny urzędnik kilka dni później telefonicznie zawiadomił o zajściu zastępcę naczelnika Wydziału III–1³ Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łodzi.

Zatrzymajmy się tu na chwilę, by zasygnalizować zjawisko współpracy MO z SB w zakresie dostarczania „haków” na obywateli. Otóż kiedy milicja zatrzymywała kogoś, kto mógł być ze względów operacyjnych interesujący dla SB (np. pijany ksiądz jadący samochodem, student handlujący nielegalnie dolarami, urzędnik złapany na kradzieży itp.), informacje o delikwencie trafiały do bezpieki. Jestem przekonany, że jakieś instrukcje w tym zakresie musiały obowiązywać. Tego typu dokumentacja zwana materiałami obciążającymi lub kompromitującymi (w czasach stalinowskich za przykładem towarzyszy radzieckich często stosowano termin „kompmateriał”) stanowiła doskonały motyw do pozyskania współpracownika. Oczywiście ideałem dla SB było pozyskanie na zasadzie dobrowolności określanej także często mianem uczuć patriotycznych lub poczucia odpowiedzialności za kraj, lecz bywały także sytuacje werbunku na zasadzie prostego układu: przysługa za przysługę. Jego chyba najczęstszym przykładem może być zwrot zatrzymanego prawa jazdy w zamian za pisanie donosów.

Kilka dni po autobusowym incydencie studenta, tj. 14 marca 1987 roku, funkcjonariusz Sekcji III–A⁴ wspomnianego wyżej wydziału SB udał się do DUSW Łódź – Śródmieście, by zapoznać się z materiałami dotyczącymi tego wydarzenia. Po lekturze zapadła decyzja – werbować. Studenta wezwano do gmachu WUSW i zaczęto prowadzić z nim rozmowy w ramach tzw. „opracowywania kandydata na tajnego współpracownika” (KTW). Chodziło o to, by wy badać, jaki jest stosunek KTW do peerelowskiej rzeczywistości i SB, czy ma on faktyczne możliwości dostarczania interesujących esbecję danych, czy potrafi logicznie formułować myśli, czy poddał psychicznie współpracy itp. Podczas drugiego spotkania student uległ namowom i został oficjalnie pozyskany do współpracy. Podpisał odpowiednie zobowiązanie, w którym możemy przeczytać m.in.: „Moja decyzja o podjęciu współpracy wynika z chęci naprawienia swojego negatywnego zachowania”. I tak 13 dni po niefortunnym zdarzeniu w dzienniku rejestracyjnym łódzkiej SB pod numerem ewidencyjnym 55192 pojawił się TW ps. „Dowód”, a porucznik Jerzy Rz.⁵ zyskał nowe źródło informacji. Celem werbunku było pozyskiwanie informacji o sytuacji wśród studentów Wydziału Mechanicznego PŁ, który nie był wówczas zabezpieczony odpowiednią liczbą współpracowników SB, oraz w Akademickim Związku Sportowym PŁ, gdzie student udzielał się w sekcji badmintona.



Pierwsze – i jak się później okazało jedyne – spotkanie formalnie zarejestrowanego TW ps. „Dowód” z jego oficerem prowadzącym odbyło się w samochodzie prywatnym funkcjonariusza i trwało 45 minut. Student przekazał dość ogólną informację, że w gronie jego znajomych nie prowadzi się rozmów na tematy społeczno-polityczne, na wydziałach mechanicznym i chemicznym PŁ nie stwierdził kolportażu „bezdebitów”, czyli wydawnictw podziemnych, nie zauważył, by ktoś ze studentów nosił znaczki NSZZ Solidarność, NZZ czy organizacji katolickich, oraz że nie zna nikogo

kto na początku maja wybiera się na pielgrzymkę do Częstochowy. Na koniec oficer wyznaczył mu dwa zadania do wykonania na kolejne spotkanie. Było to zabezpieczenie kolportażu nielegalnych druków i przygotowanie charakterystyk aktywistów organizacji młodzieżowych. Ciekawy jest komentarz do powyższej informacji operacyjnej kierownika Sekcji III–A, czyli przełożonego por. Rz. Oceniał on doniesienie jako zbyt ogólne i mało rozbudowane (np. brak nazwisk kolegów TW), a jako największy zarzut wytknął podwładnemu brak precyzji w definiowaniu zadań dla współpracownika. Jedno ze stwierdzeń warto zacytować, bo mówi ono wiele nie tylko o pracy SB z niedoświadczonym TW i roli bezpieczeństwa w PRL, ale i o samym systemie: „Charakterystyka aktywistów może się przydać, ale TW nie może sądzić, że »rozpracowujemy« organizacje młodzieżowe. My je tylko zabezpieczamy przed wpływem na nie elementów antysocjalistycznych”.

Byłaby to jedna z setek podobnych banalnych historii, w których obywatel PRL poprzez jakiś głupi wybryk lub niefortunne zdarzenie został uwikłany we współpracę z bezpieczeństwem, gdyby nie interwencja matki młodego człowieka. Po tym spotkaniu TW ps. „Dowód” zaczął unikać kontaktu ze swoim funkcjonariuszem prowadzącym. Ten kilka razy telefonował do studenta, ale za każdym razem odbierała jego matka, więc rezygnował z rozmowy. W końcu wziął się na sposób i poprosił koleżankę z „firmy”, by ona zatelefonowała do świeżo pozyskanego TW. Zdezorientowana matka studenta, słysząc kobiecy głos w słuchawce, przekazała telefon synowi. W gmachu WUSW słuchawkę przejął funkcjonariusz i wyjaśnił chłopakowi, że muszą się koniecznie spotkać w najbliższym czasie. I tu nastąpiło coś, czego esbek nie mógł się spodziewać: „Zanim TW mi odpowiedział, usłyszałem w słuchawce głos kobiety, która krzycząc, zaczęła wymyślać mi, że znęcamy się nad jej synem, żebym dał mu spokój itp. Używała przy tym słów obraźliwych, zarówno o mnie, jak i o milicji”. Trzy dni później Rz. próbował spotkać studenta pod jego domem. Stał tam półtorej godziny, ale młody człowiek się nie pojawił.

Patowa sytuacja trwała do początków października 1987 roku, kiedy to do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na ręce dyrektora Gabinetu Ministra wpłynęło pismo od emerytowanej nauczycielki z Łodzi, z tytułem „Prośba o audiencję”. To matka studenta zwracała się do gen. Czesława Kiszczaka o „łaskę zniesienia obowiązku współpracy z SB” dla jej syna. Pisała, że syn zamiast się zmobilizować do nauki, zamknął się w sobie, stał się apatyczny i utracił energię. Przekonywała, że jako osoba z natury małowówna, wstydliva i trudno nawiązująca kontakty towarzyskie nie nadaje się do zleconych mu przez SB zadań. W dramatycznych słowach twierdziła, że w związku z zaistniałą sytuacją całej rodzinie zawalił się świat.

Efekt był taki, że centrala nakazała wyjaśnić sprawę. Autorkę listu wezwano na Lutomiarską (ulica, przy której mieścił się gmach WUSW w Łodzi). Rozmowę z nią prowadzili naczelnik Wydziału III–1 oraz kierownik Sekcji III–A. Emerytka wyjaśniła m.in., że list to jej własna inicjatywa, chłopak z matką nie rozmawia, ale ona obawia się, że kontakty syna z SB doprowadzą go niechybnie do choroby psychicznej.

Dziwne zachowanie chłopaka od czasu incydentu w miejskim autobusie i uporczywe telefony do niego od nieznanego jej mężczyzny, który za każdym razem rezygnował z rozmowy, gdy odbierała matka, w realiach PRL musiały nasuwać podejrzenia, że syn został zwerbowany szantażem. Zaryzykowała, napisała do MSW i trafiła w sedno. Działania podjęte przez kobietę zakończyły się sukcesem.

Pozostaje pytanie, dlaczego MSW potraktowało poważnie sprawę i zajęło się skargą nauczycielki. Mogło chodzić o to, że u schyłku komuny resort starał się bardziej dbać o dobry wizerunek, zwłaszcza w kontekście skarg obywateli. Wydaje się jednak, że przyczyna była bardziej prozaiczna i pragmatyczna jednocześnie. Zapewne uznano, że oprócz faktu odkrycia współpracy przez osobę trzecią kobieta jest na tyle zdeterminowana, że zignorowanie jej sprawy skutkować będzie kolejnymi interwencjami u innych władz PRL, czyli chociażby w KC PZPR, Biurze Politycznym partii, Radzie Państwa, Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, „Trybunie Ludu” itp. Z mało istotnej sprawy – z punktu widzenia całego MSW – mogła się zrobić większa afera.

Krótką „przygoda” studenta zakończyła się formalnie napisaniem przez niego podania o zgodę na rozwiązanie współpracy i zobowiązaniem do zachowania jej w ścisłej tajemnicy. Przekazał on jedynie kilka ogólnych informacji, które nikomu nie mogły zaszkodzić, ale kto wie, jak by się losy potoczyły, gdyby współpraca trwała dłużej. Interwencja matki ustrzegła syna przed dalszym łamaniem charakteru i być może poważną plamą na życiorysie.

Bartosz Bijak

Materiały archiwalne: IPN Ld 0040/1635 t. 1–2, IPN Ld 0282/119

Ilustracje: materiały IPN.

Przypisy:

1. Formalnie „deklaracja lojalności”. Dokument rozpowszechniony głównie w okresie stanu wojennego o treści: „Ja, niżej podpisany oświadczam i zobowiązuję się do zaniechania wszelkiej działalności szkodliwej dla Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w szczególności do przestrzegania obowiązującego porządku prawnego”.
2. Wszelkie dane mogące ułatwić identyfikację osoby zostały z tekstu celowo usunięte przez autora, a na skanach zostały zaczerpnięte. Nie jest to przejaw żadnej autocenzury, lecz wynika z faktu, że ich ujawnienie nic merytorycznie nie wniosłoby do artykułu.
3. Najmocniej powszechnie kojarzony z „zabezpieczeniem” uczelni wyższych jako naturalnych miejsc fermentu intelektualnego i działalności opozycyjnej. Faktycznie jednak spektrum zainteresowań tego pionu SB obejmowało szeroko pojętą sferę oświaty i nauki (szkoły podstawowe, średnie, kuratoria oświaty, samodzielne placówki naukowe itp.).
4. Nie udało mi się ustalić, czym konkretnie zajmowała się ta sekcja w łódzkiej SB. Być może sprawowała „opiekę” nad miejscową politechniką.
5. J. Rz. jako student Wydziału Prawa i Administracji UŁ w lipcu 1979 roku wstąpił do Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej w Łodzi, a w październiku został

komendantem komórki ORMO przy uniwersytecie. Karierę milicyjną rozpoczął w 1981 roku w Wydziale Ruchu Drogowego KWMO w Łodzi. Działał w Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Był przewodniczącym ZSMP w swoim wydziale, członkiem Zarządu Zakładowego w KWMO/WUSW, a także Zarządu Dzielnicowego Łódź-Bałuty. Od maja 1986 roku w SB na stanowisku inspektora Wydziału III-1. W opinii ze stycznia 1989 roku możemy przeczytać: „W początkowym okresie pracy w jednostce wykazał się zaangażowaniem w realizacji zadań służbowych, uzyskując wówczas na wielu odcinkach wartościowe wyniki w pracy operacyjnej. Ostatnio ten stan uległ znacznemu pogorszeniu. Na przestrzeni 1988 roku do chwili obecnej nie zrealizował pozyskania osobowego źródła informacji, nie zarejestrował też żadnego kandydata na TW”. Z początkiem lutego 1990 roku odszedł z SB i wrócił do pionu kryminalnego WUSW.

Skany materiałów archiwalnych: IPN Ld 0040/1635 t. 1-2, IPN Ld 0282/119, wykonał autor

łódzkie organizacje pozarządowe

130 lat Stowarzyszenia Śpiewaczego Harmonia

Bożena Pellowska-Chudobińska

str. 143

130 lat Stowarzyszenia Śpiewaczego Harmonia

*Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało.*

Adam Mickiewicz, Konrad Wallenrod – *Pieśń Wajdeloty*

Towarzystwo Śpiewu Kościelnego

Historia Stowarzyszenia Śpiewaczego „Harmonia” sięga roku 1886, kiedy to w najstarszym katolickim kościele w Łodzi pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny powstał chór. Jego historia spisana w *Złotej Księdze* rozpoczyna się słowami: „W roku 1886 w miesiącu maju ówczesny proboszcz kościoła śp. ks. Prałat Jan Siemiec przy współudziale ks. Stanisława Leszczyńskiego, ks. Płaskowskiego oraz organisty śp. Stanisława Laferskiego założył chór sumowy przy tymże kościele”. Nazywany Chórem Sumowym lub też Chórem Staromiejskim powołany został jako Towarzystwo Śpiewu Kościelnego. Członkowie chóru parafii wywodzili się głównie ze środowiska robotniczego Bałut i Żubardzia, przy czym do stowarzyszenia należeli też majstrowie tkaczy oraz urzędnicy fabryczni.

Działalność „przy kościele” gwarantowała wiele: miejsce prób, występów, dyrygenta pełniącego jednocześnie funkcję organisty, nie obowiązywało też – jak w przypadku stowarzyszeń świeckich – zalegalizowanie działalności, do której droga wiodła od władz miasta, poprzez gubernialne w Piotrkowie, generał-gubernatorskie w Warszawie, po centralne władze rządowe w Petersburgu, trwała latami, a decyzje dotyczące polskich stowarzyszeń były z reguły odmowne.

Początkowo męski, już w pierwszym roku działalności chór liczył 35, a pięć lat później już jako chór mieszany – nawet 80 członków. Ambicją „stowarzyszenia śpiewu kościelnego i muzyki” jak nazywano go w prasie, było wykonywanie całych mszy także przy współudziale zespołu instrumentalnego, co w perspektywie dawałoby możliwość artystycznych działań, także poza terenem kościoła. Zakupiono więc pierwsze instrumenty i w końcu kwietnia 1887 roku Chór Sumowy po raz pierwszy zaprezentował się w składzie wokально-instrumentalnym. Wykonał mszę Jakoba Blieda



pod dyrekcją Józefa Łopatowskiego. Powodzenie tego występu stało się impulsem do zakupu kolejnych instrumentów, wynajęcia sali i zaangażowania kapelmistrza orkiestry 10 Brygady Artylerii M. Kirszfinkela, a po nim – orkiestry 37 Jekaterynburskiego Pułku Piechoty – Edwarda Dietrycha. Już w lipcu wspólnie wykonano *Mszę Piotrowińską* Stanisława Moniuszki. Wywołało to polemikę na łamach prasy, które z dzieł są dziełami kościelnymi i można je wykonywać w kościołach, a które nie.

Stale powiększający się repertuar chóru do wybuchu pierwszej wojny światowej obejmował m.in. msze K. Kurpińskiego, Wojciecha Stanisława Słoczyńskiego, S. Grąbskiego, W. Gintera, mszę żałobną C. Cascioliniego, a także pieśni wielogłosowe F. Chopina, G. Palestriny, G. Allergiego.

Na czas budowy nowej murowanej świątyni na Starym Mieście chór tymczasowo przeniósł się w roku 1888 roku wraz z modrzewiowym kościółkiem na ulicę Ogrodową, naprzeciw fabryki Izraela Poznańskiego. Ale w 1891 roku powrócił już do nowego gmachu. Tu miał znacznie lepszą akustykę i dwa przydatne podczas występów nowe instrumenty organowe gwarantujące bogatszy brzmieniowo akompaniament. Pierwszą mszą, jaką Chór Sumowy pod dyrekcją nowego już dyrygenta Feliksa Krzyżanowskiego (muzyka wykształconego w Wiedniu, legitymującego się m.in. patentem Warszawskiego Instytutu Muzycznego) tam zaprezentował, była *Msza* Wojciecha Stanisława Słoczyńskiego.

Nowy dyrygent, a także sprawujący po nim dyrekcję chóru Stanisław Laferski (ojciec) znakomicie przyczynili się do podniesienia poziomu wykonawczego

chóru, jak i do rozbudowania repertuaru, w którym już w kwietniu 1892 roku znalazły się m.in. *Preludium* Fryderyka Chopina w czterogłosowym opracowaniu Feliksa Krzyżanowskiego oraz dziewięciogłosowe *Miserere* G. Allegriego.

Od rejestracji do świeckiego repertuaru

Niezwykle ważnym wydarzeniem w dziejach stowarzyszenia była jego rejestracja jako stowarzyszenia świeckiego pod nazwą Stowarzyszenie Chóru Śpiewaczego Harmonja przy kościele Wniebowzięcia N. Maryi Panny w Łodzi. Nastąpiło to w grudnia 1905 roku w gubernialnym Piotrkowie Trybunalskim.

Celem działań zapisanym w statucie był „rozwój i popieranie śpiewu kościelnego i muzyki (...) oraz podniesienie duchowego i moralnego poziomu swoich członków”. Stowarzyszenie miało prawo zbierania się „dla ćwiczeń śpiewu”, otwierania czytelnicy, urządzania zabaw, wieczornicy, koncertów, przedstawień, a przy takich okazjach także urządzania bufetu oraz posiadania chorągwi „charakteru kościelnego”.

Odtąd zaczęła się dwutorowa działalność stowarzyszenia, które mogło już organizować występy poza murami kościoła, m.in. dla robotników fabryk Biedermanna, Poznańskiego i Kajserbrechta, a także uczestniczyć w koncertach edukacyjnych. Już 8 maja 1910 roku w Łódzkim Domu Koncertowym chórem wykonującym III koncert historyczno-pedagogiczny dyrygował Stanisław Laferski (syn), który był kolejnym dyrygentem stowarzyszenia. Po nim stanowisko to objął Tadeusz Pluciński, a następnie – do jesieni 1914 roku – Ksawery Franciszek Sokół.

Podczas pierwszej wojny światowej członkowie stowarzyszenia wstąpili do Komitetu Obywatelskiego Niesienia Pomocy Biednym i swoje działania skoncentrowali głównie na szeroko zakrojonej pomocy charytatywnej. Organizowano kooperatywy spożywcze dla członków chóru, kasę przeczności i m.in. kursy języka polskiego, arytmetyki i historii Polski, a także koncerty. Dzięki utworzeniu sekcji dramatycznej i muzycznej organizowano również wieczornice wokalnie-dramatyczne i wieczory literackie. Przy stowarzyszeniu rozpoczęły wówczas także działalność chóry dziecięcy i żeński, prowadzone przez Karola Fotygo i Aleksandra Charubę.

W 1916 roku stowarzyszenie wzięło udział w manifestacji zorganizowanej dla uczczenia rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Chórzyści szli ze swoim sztandarem wśród ponad 90 innych stowarzyszeń, cechów, weteranów powstania styczniowego, duchownych wszystkich wyznań, władz miasta, Zarządu Gminy Starozakonnych, rady opiekuńczej i młodzieży. Przeszli z placu Targowego (dziś plac Dąbrowskiego) ulicami Nowo-Targową (Szterlinga), Średnią (Pomorską), Piotrkowską aż do kościoła pw. św. Stanisława Kostki.

Dzień później można było w prasie przeczytać: „ (...) gdyśmy dosłyszeli śpiew »tak nam dopomóż Bóg!«, lub o tem, jak to Kościuszkó składał przysięgę na rynku krakowskim – dziwne rozrzewnienie krtań ścisnęło i szczere łzy jakiejś otuchy i szczęścia nabiegały do oczu”.

Szybki rozwój w wolnej Polsce

Po odzyskaniu niepodległości wszystkie stowarzyszenia musiały poddać się weryfikacji – przypomina Karol Stasiński, wiceprezes Harmonii, świetnie znający historię stowarzyszenia. Na łamach „Rozwoju” 16 marca 1919 roku ukazała się nawet prośba Ministerstwa Sztuki i Kultury skierowana do wszystkich stowarzyszeń, klubów i związków artystycznych z działu architektury, malarstwa, rzeźby, archeologii, opieki nad zabytkami, towarzystw literackich, czytelni, towarzystw ogrodniczych, towarzystw i instytucji artystycznych wszelkiego rodzaju o nadsyłanie statutów oraz sprawozdań z ostatnich lat działalności. Od tego też roku stowarzyszenie zaczęło używać nazwy Harmonja, a równocześnie jako chór kościelny, w 1920 roku świętowało 15-lecie Chóru Sumowego Mariańskiego, którą to nazwę, jak podają kroniki kościoła pw. Wniebowzięcia NMP, przyjęło w 1917 roku.

Koniec wojny był jednocześnie początkiem nowych zadań. Zaistniała potrzeba m.in. znacznego rozszerzenia repertuaru patriotycznego i wojskowego i jego popularyzacja. Jednocześnie zdynamizowała działalność sekcja dramatyczna. W 1924 roku wystawiła jednoaktówkę *Korepetytor*, rok później – operetkę *Nocleg w Apeninach* z muzyką Stanisława Moniuszki, a w 1925 roku *Cud mniemany, czyli Krakowiaci i Górale* z muzyką Jana Stefaniego do libretta Wojciecha Bogusławskiego.

Dynamiczny rozwój stowarzyszenia wiązał się z potrzebą pozyskania własnego lokalu, obszerniejszego niż dotąd zajmowane sale katechetyczne, co nie było łatwe z powodu znaczących trudności finansowych. Postanowiono więc przy okazji





ważnych wydarzeń wynajmować salę w nowo wybudowanym gmachu niemieckiego chóru Gloria, który zresztą przez lata działał przy tym samym co Harmonia kościele. Przygotowane zaś sztuki teatralne wystawiano w salach szkolnych lub na scenie Teatru Popularnego przy ulicy Ogrodowej. Dla zdobycia funduszy organizowano loterie fantowe, zabawy, wycieczki itp. Zdecydowano się nawet sprzedać fortepian i kilka innych instrumentów stanowiących majątek Harmonii. Nie zrezygnowano jednak z zamówienia nowego sztandaru, z którym Stowarzyszenie chciało wystąpić w 1929 roku w Poznaniu podczas Wszechsłowiańskiego Złotu Śpiewaczego. Wykonany w pracowni A. Wojciechowskiej przy ulicy Przejazd 20 (dziś Tuwima) został poświęcony w listopadzie 1928 roku podczas jubileuszu 40-lecia stowarzyszenia.

Fala pierwszych sukcesów

W czerwcu 1928 roku odbył się w Łodzi I Zjazd Towarzystw Śpiewaczych Województwa Łódzkiego. Wzięło w nim udział 31 „drużyn” z Sieradza, Rogowa, Pabianic, Zgierza, Tuszyń, Brzezin, Koła. W sumie, razem z łódzkimi towarzystwami, zebrało się około tysiąc dwieście osób. Brak jest jednak informacji, czy Harmonia także w tym spotkaniu uczestniczyła.

Natomiast w II Zjeździe, zorganizowanym 1 czerwca 1930 roku w Łodzi przez Związek Polskich Stowarzyszeń Śpiewaczych i Muzycznych Województwa Łódzkiego, w którym wzięło udział 28 zespołów (1500 chórzystów), Harmonię z powodzeniem reprezentowały dwa chóry: żeński oraz mieszany. Oba zdobyły „Dyplomy kategorii 1-ej”. Jury było niebyle jakie, bo zasiadali w nim wysokiej klasy muzycy: prof.



Piotr Maszyński z Warszawy, prof. Feliks Nowowiejski z Poznania oraz prof. Bolesław Wallek-Walewski z Krakowa. Stosowne odznaczenia jako „zdobywcom palmy pierwszeństwa” przyznała chórom także Rada Miejska Łodzi.

Wydarzenie odbywało się w Sali „Filharmonji” – największej wówczas sali koncertowej miasta. Fetowano je z ogromnym rozmachem, zmagania konkursowe poprzedziła msza i przemarsz uczestników ze sztandarami ulicą Piotrkowską. Zainteresowanie było tak znaczne, że za sprawą łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia po raz pierwszy z Łodzi na całą Polskę właśnie wówczas popłynął sygnał radiowy, przekazując zarówno uroczyste otwarcie, jak i sam konkurs. Historycznie było to ważne wydarzenie także dla stowarzyszenia, odtąd bowiem jego udział w życiu kulturalnym miasta i Polski rozszerzył się o transmitowane „na żywo” przez radio koncerty.

Kolejne lata przynosiły dalsze sukcesy. Było wśród nich wyśpiewane 6 czerwca 1938 roku pod dyrykcją Karola Prosnaka I miejsce. Była to decyzja Kolegium Sędziów Konkursu Chórów Zrzeszonych, a nagrodę pieniężną ufundował prezes Związku Śpiewaczego Józef Wólczyński. Kilka dni później „Harmonia” została uhonorowana Złotą Odznaką przez Radę Naczelną Zjednoczenia Polskich Związków Śpiewaczych i Muzycznych w Warszawie „za zasługi położone na polu pieśniarstwa polskiego oraz za zasługi społeczne”. Odznakę wręczył prezes zjednoczenia na uroczystości zakończenia jubileuszu 50-lecia stowarzyszenia, w sali posiedzeń Rady Miejskiej przy ulicy Pomorskiej 16.

Nowe czasy, nowe władze, dalsze sukcesy

W czasie drugiej wojny światowej członkowie stowarzyszenia prowadzili działalność konspiracyjną. Organizowali tajne nauczanie, koncerty patriotyczne, działalność charytatywną. Członek towarzyszenia Eugeniusz Geryng ukrył i przechował fortepian, rękopisy najstarszych nut oraz dwa sztandary.

Koniec wojny przyniósł nową rzeczywistość. Rozpoczął się okres silnego rozkwitu stowarzyszenia. Ukształtowały się jego nowe władze, a prezesem został Aleksander Frątczak. W zarządzie znaleźli się także: Stanisław Sobański, Ignacy Myszkowski, Feliks. Wieczorkiewicz i Stanisław Ircha. Harmonia otrzymała pierwszą w swojej historii własną siedzibę – gmach po niemieckim chórze Gloria, który należało wyremontować. Trzeba też było odbudować zespół i zaplanować działalność zgodne z ideami stowarzyszenia, ale i w zupełnie nowej rzeczywistości. Wkrótce rozpoczęły się próby, budowano nowy repertuar.

6 czerwca 1948 roku chór pod dyрекcją Franciszka Wesołowskiego został zakwalifikowany do I kategorii chórów, otrzymując tzw. Orzeczenie Klasyfikacyjne Związku Polskich Stowarzyszeń Śpiewaczych i Muzycznych Województwa Łódzkiego, przyznane przez Kolegium Orzekające złożone z wybitnych kompozytorów i muzyków; profesorów Kazimierza Sikorskiego, Władysława Raczkowskiego, Kazimierz Jurdzińskiego i Karola Mroszczyka.

Odtąd chór odnotował wiele sukcesów, czego dowodem jest bogaty zbiór dyplomów, pucharów, odznaczeń. Przechowywane są z wielką pieczołowitością w archiwum stowarzyszenia razem z historycznymi sztandarami świadczącymi XIX-wiecznym rodowodem i długiej, 130-letniej historii. Kulturowana jest też pamięć o dyrygentach, wśród których byli m.in. Aleksander Pędzimaż, Karol Prosnak, Bernard Pietrzak i wybitny chórmistrz Henryk Blacha, któremu dedykowany jest organizowany przez Harmonię Festiwal Łódzka Jesień Chóralna. Od 25 lat kierownikiem artystycznym i dyrygentem Harmonii jest dr hab. Jerzy Rachubiński, kierownik Katedry Edukacji Muzycznej Akademii Muzycznej im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów w Łodzi, z którym współpraca dla zespołu okazała się pasmem największych sukcesów.

Śpiewają nie tylko dla miasta

Harmonia występuje często. Tylko dla miasta daje około 20 koncertów rocznie, na które wstęp jest bezpłatny, podobnie jak podczas koncertów wyjazdowych w Polsce i za granicą. Chór występuje *a capella*, jak i z towarzyszeniem fortepianu czy zespołów instrumentalnych, m.in. z Orkiestrą Symfoniczną Akademii Muzycznej w Łodzi i orkiestrami Łódzkie Smyczki Ryszarda Osmolińskiego, Teatru Wielkiego w Łodzi. Zdarzył się także wspólny koncert z Orkiestrą The Hyde Sinfonia z Londynu.

Są to koncerty samodzielne, jak i wykonywane wspólnie z innymi zespołami. Warto przypomnieć historyczny koncert 21 stycznia 1972 roku, kiedy Harmonia wystąpiła w Państwowej Filharmonii w Łodzi pod dyрекcją Bernarda Pietrzaka

wraz z Chórem Męskim Towarzystwa Śpiewaczego Harfa w Warszawie, kierowanym przez Jerzego Kołaczkowskiego. Był to koncert muzyki chóralnej *Z pieśnią przez stulecia*, zorganizowany przez Filharmonię Łódzką i Zjednoczenie Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych. W ostatnich latach czynnie uczestniczyła z kolei np. w projekcie Urzędu Miasta *Rozśpiewajmy naszą wielokulturową Łódź*. W lipcu 2004 roku gościła w Wilnie, uświetniając tam obchody 60-lecia akcji Armii Krajowej pod nazwą *Ostra Brama*, w 2011 roku dała koncert w Domu Pracy Twórczej w Radziejowicach, brała też udział w cyklu *Muzyka w Kolegiacie Kórnickiej* na zaproszenie chóru Cantans Castellum. W ramach współpracy z chórami Motettenchor ze Stuttgartu i The Hanover Choir z Londynu prezentowała w 2000 roku w renomowanych salach Londynu *Te Deum* Donizettiego. Warto przypomnieć, że bilet na te koncerty kosztował 14 funtów. Harmonia koncertowała także we Francji, Grecji, na Litwie, w Chorwacji, w Czechach, Holandii, we Włoszech i kilkakrotnie w Niemczech.

W swoim dorobku chór ma udział w licznych festiwalach, konkursach i turniejach polskich i międzynarodowych i wiele zdobytych z tej okazji laurów. Wśród nich jest m.in. Srebrny Medal z Laurem z wysoką nagrodą pieniężną uzyskaną w Wojewódzkich Eliminacjach Festiwalu Chóralnych w 1965 roku, brązowy dyplom zdobyty w 1977 roku w Międzynarodowym Festiwalu Pieśni Chóralnej w Hadze w Holandii, wyróżnienie na Międzynarodowym Festiwalu w Karditsa w Grecji w 1989 roku, brązowy medal w Międzynarodowym Festiwalu Chórów w Limburgu w 1999 roku, II miejsce oraz Srebrne Pasma w listopadzie 2009 roku w Międzynarodowym Festiwalu Adwentowym im. P. Ebena w Pradze w Czechach i wiele innych. Jednymi z ostatnich



sukcesów są wyśpiewane Srebrne Pasma we wrześniu 2015 roku na IV Festiwalu Chóralnym w Sławie oraz Nagroda Specjalna za najlepsze wykonanie utworu kompozytora polskiego – *Taki kraj* Zbigniewa Raja (st. Jan Pietrzak, oprac. Jerzy Rachubiński).

W swoim poważnym dorobku Harmonia ma także prezentacje na antenie Polskiego Radia i TVP, m.in. z okazji 80-lecia stowarzyszenia w 1966 roku i z uroczystych mszy, np. 16 czerwca 1996 roku z kościoła św. Krzyża w Warszawie, 8 lutego 1998 roku z kościoła Wniebowzięcia NMP w Łodzi transmitowanej przez TVP Polonia. Pod dyrekcją Jerzego Rachubińskiego nagrała także album płytowy zatytułowany *Harmonia – Musica Sacra*.

Od 16 lat prezesem stowarzyszenia jest Małgorzata Ircha, dyrektor Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej I i II st. im. Henryka Wieniawskiego w Łodzi. Dziś mówi o dumie z historii chóru, z którym związana jest od dziecka, jak bowiem wspomina, wokół Harmonii toczyło się zawsze życie jej rodziny. Kiedyś była najmłodszą chórzystką w dziejach Harmonii. To z jej inicjatywy od ośmiu lat są organizowane spotkania chórów z Łodzi i województwa wyłącznie dla samej przyjemności śpiewania i satysfakcji zaprezentowania łódzkiej publiczności bogatego repertuaru.

Budowany przez lata repertuar Harmonii dziś liczy ponad 120 utworów. Chór śpiewa dzieła Wacława z Szamotuł, Mikołaja Gomółki, Giovanniego Pierluigiego da Palestrino, Jana Sebastiana Bacha, jak i Bernarda Pietrzaka, Tadeusza Paciorkiewicza, Henryka Mikołaja Góreckiego, Krzysztofa Grzeszczaka. Wykonuje muzykę cerkiewną, *negro spirituals*, fragmenty z oper Ryszarda Wagnera i Giuseppe Verdiego oraz muzykę oratoryjną – m.in. fragmenty *Requiem* Wolfganga Amadeusza Mozarta, *Te Deum* Antona Brucknera, *Messa di Requiem* Gaetano Donizettiego, także *Te Deum* Georgesa Bizeta oraz przygotowane z okazji jubileuszu 130-lecia – *Te Deum* Josepha Haydna.

Zasłużony jubileusz

Stowarzyszenie Śpiewacze Harmonia honorowane było wielokrotnie za swoją wytrwałą działalność na rzecz kultury śpiewaczej. Już w 1938 roku Rada Naczelna Zjednoczenia Polskich Związków Śpiewaczych i Muzycznych w Warszawie przyznała Harmonii Najwyższą Honorową Odznakę Złotą za „zasługi położone na polu pieśniarstwa polskiego oraz za zasługi społeczne”. W 1963 roku otrzymała „Odznakę Honorową stopnia pierwszego z laurem za wybitne zasługi w pracy społecznej, organizacyjnej i artystycznej w amatorskim ruchu muzycznym” przyznaną przez Zarząd Główny Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych, a dwa lata później – Srebrny Laur, w roku 1981 – Honorową Odznakę Miasta Łodzi. W 2006 roku, z okazji jubileuszu 120-lecia działalności, Rada Miasta Łodzi uhonorowała Harmonię odznaką Za Zasługi dla Miasta Łodzi oraz nagrodą pieniężną „za działalność na rzecz miasta godną szczególnego uznania”. Pięć lat później z okazji jubileuszu 125-lecia otrzymała od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Srebrny Medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis.



Koncert jubileuszowy z okazji 130 lat działalności Stowarzyszenia Śpiewaczego Harmonia odbył się 22 maja 2016 roku tradycyjnie w Sali Koncertowej Filharmonii Łódzkiej im. Artura Rubinsteina. Zabrzmiało m.in. *Te Deum* Józefa Haydna pod dyrekcją Jerzego Rachubińskiego, przy fortepianie – Beata Wiśniewska-Piętka, *Alleluia. Ave Maria* Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego, *La Spagnola* Vincenzo di Chiary (partie solowe kreowali Tomasz Klauze oraz Włodzimierz Orzechowski). Koncert zakończyły oklaski, bisy i owacje na stojąco.

Wydarzenie było pełne wzruszających momentów. Były kwiaty, gratulacje i życzenia dalszej twórczej działalności. Przybyły delegacje zaprzyjaźnionych chórów. Nie zabrakło wspomnień, jubileuszowych podsumowań i planów na przyszłość. Chlubną historię stowarzyszenia przybliżyła publiczności prowadząca koncert Maja Skoblewska, artystka Chóru Filharmonii Łódzkiej.

130 lat nieprzerwanej działalności Stowarzyszenia Śpiewaczego Harmonia jest powodem do ogromnej satysfakcji dla wszystkich, którzy ten chór-instytucję stworzyli, i tych, którzy to dzieło kontynuują. Nie tylko chronią pamięć o długiej historii łódzkiego chóru, ale wpływają na dalszy jego rozkwit. Bo jest Harmonia świadectwem najlepszej historii Łodzi i cennym fragmentem polskiej kultury.

Bożena Pellowska-Chudobińska
– muzyk, publicystka,
archiwistka Filharmonii Łódzkiej im. Artura Rubinsteina

Źródła:

1. Archiwum Stowarzyszenia Śpiewaczego Harmonia
2. Bonisławski Ryszard, Brzeziński Kazimierz, Gramsz Andrzej, *Stowarzyszenie Śpiewacze »Harmonia« 1886–2006. Album Jubileuszowy*, GRaKO, Łódź 2006.
3. Łódzka prasa polskojęzyczna z lat 1886–1939.
4. Matuszczak Tadeusz, *Józef Chełmoński „Bitwa pod El Teb”*, Radziejowice 2011.
5. Pellowski Alfons, *Kultura muzyczna Łodzi do roku 1918*, Papier Service Wojciech Grochowalski, Łódź 1994.
6. *Wielki Jubileusz 100-lecia erygowania parafii pw. Św. Józefa Oblubieńca Najświętszej Maryi Panny w Łodzi przy ulicy Ogrodowej 22 1910–2010*, red. ks. Semik Franciszek, ks. Braczkowski Piotr, Kubiak Stanisław, Trybuchowski Grzegorz, Łódź 2009.
7. Wywiad autorki z Karolem Stasińskim – wiceprezesem Stowarzyszenia Śpiewaczego Harmonia w Łodzi, maj 2016.
8. Wywiad autorki z Małgorzatą Irchą – prezesem Stowarzyszenia Śpiewaczego Harmonia w Łodzi, maj 2016.

wspomnienia

Stanisław Liszewski (1940–2016)

Uczony, społecznik, organizator

Paweł Patora

str. 157

Andrzej Jędrzejczak (1950–2016)

Pasjonat samorządności

Anna Kuźmicka

str. 161

Ewelina Nurczyńska-Fidelska (1938–2016)

Filmoznawczyni

Maria Sondej

str. 164

Jacek Ojrzyński (1940–2016)

O muzeum wiedział prawie wszystko...

Maciej Cholewiński

str. 168

Stanisław Liszewski (1940–2016)

Uczony, społecznik, organizator

wspomnienia



23 kwietnia 2016 roku zmarł w wieku 75 lat profesor Stanisław Liszewski – wybitny geograf i urbanista, były rektor Uniwersytetu Łódzkiego, doktor honoris causa Politechniki Łódzkiej i Uniwersytetu w Preszowie (Słowacja), wieloletni, a później honorowy prezes Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, Honorowy Obywatel Miasta Łodzi, odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Był darzony szacunkiem za znaczące dokonania naukowe, dydaktyczne i organizacyjne, ale też za liczne zalety charakteru. Uśmiech, którym zwykle witał ludzi, a także życzliwość w stosunku do każdego rozmówcy sprawiały, że był powszechnie lubiany.

Urodził się 11 listopada 1940 roku w Rudzie Pabianickiej. W liceum wstąpił do harcerstwa, gdzie poznał ludzi, którzy znacząco wpłynęli na ukształtowanie jego późniejszej aktywności społecznej. Byli wśród nich Anna Dylikowa, Aleksander Kamiński, Halina Klatkova i Barbara Manikowska – późniejsi profesorowie UŁ. W 1958 roku Stanisław Liszewski został studentem geografii na Uniwersytecie Łódzkim. Zajęcia odbywały się przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie, w zabytkowej willi Zieglera, która po wielu latach, dzięki jego staraniom, stała się siedzibą Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. W 1960 roku zaczął działać w studenckim kole naukowym, którym opiekowała się prof. Anna Dylikowa.

W 1963 roku został asystentem w Katedrze Geografii Ekonomicznej Instytutu Geograficznego UŁ, a w 1970 roku obronił pracę doktorską pt. *Użytkowanie*

ziemi w miastach województwa opolskiego. Promotorem był prof. Ludwik Straszewicz, a jednym z recenzentów prof. Kazimierz Dziewoński z Instytutu Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Po latach prof. Stanisław Liszewski podkreślał, że miał dwóch mistrzów naukowych. Prof. Straszewiczowi zawdzięczał nie tylko inspiracje twórcze, ale też wpływ na kształtowanie charakteru, prof. Dziewoński zaś był dla niego „największym autorytetem i wyrocznią w sprawach badawczych”. Właśnie profesorowie Straszewicz i Dziewoński, a także prof. Jan Ernst z UMCS w Lublinie, przygotowali oceny dorobku naukowego dr. Liszewskiego, które – wraz z książką pt. *Tereny miejskie a struktura przestrzenna Łodzi* – stały się podstawą do przyznania mu stopnia doktora habilitowanego. W 1987 roku Stanisław Liszewski otrzymał tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego, a w 1990 roku profesora zwyczajnego. Jeszcze jako docent, w 1981 roku, został kierownikiem Zakładu Geografii Miast i Turyzmu, powołanego w Instytucie Geografii Ekonomicznej i Organizacji Przestrzeni UŁ. Dzięki jego staraniom zakład ten został w 1992 roku przekształcony w katedrę, która w 2007 roku stała się samodzielnym instytutem kierowanym przez prof. Liszewskiego aż do przejścia na emeryturę w 2010 roku.

Główne kierunki działalności naukowej Stanisława Liszewskiego to geografia transportu, geografia osadnictwa, ze szczególnym uwzględnieniem geografii miast, geografia turystyki i geografia regionalna. Miał w dorobku ponad 400 publikacji, w tym cztery książki autorskie i około 20 książek, których był współautorem lub redaktorem. Aż 63 z nich poświęcił Łodzi, a 44 – regionowi łódzkiemu. Redagował *Zarys monografii województwa łódzkiego* i był współautorem trzech szkolnych podręczników wiedzy o regionie – dla uczniów szkół podstawowych, gimnazjalistów i licealistów. Na szczególną uwagę zasługują dwa dzieła, których inicjatorem, redaktorem i współautorem był prof. Stanisław Liszewski. Pierwsze to wydany w 2002 roku (później uzupełniany suplementami) *Atlas miasta Łodzi*, który jest zbiorem 49 map prezentujących kształtowanie się przestrzeni miejskiej Łodzi, jej walorów oraz sposobów wykorzystania. Drugie to wydana w 2009 roku 500-stronicowa książka *Łódź. Monografia miasta*. Prof. Liszewski pozostawił więc Łodzi dwa bezcenne opracowania, jakimi mogą się pochwalić jedynie nieliczne miasta na świecie.

Prof. Liszewski jest twórcą łódzkiej szkoły naukowej geografii miast i turystyki. Wytyczył kierunki badawcze, stworzył podstawy organizacyjno-administracyjne i wykształcił kadrę naukowo-dydaktyczną. Wypromował około 30 doktorów, z których kilkunastu zostało już samodzielnymi pracownikami naukowymi, a liczba wypromowanych przez niego magistrów jest niebotyczna, jak twierdzi dr hab. Bogdan Włodarczyk, prof. UŁ, następca prof. Liszewskiego na stanowisku dyrektora Instytutu Geografii Miast i Turystyki Uniwersytetu Łódzkiego. Zawsze znajdował też czas na działalność społeczną i organizacyjno-administracyjną. Ta wyniesiona jeszcze z harcerstwa potrzeba działania dla wspólnego dobra, działania często bezinteresownego, choć czasochłonnego, charakteryzowała go do końca życia.

Przez wiele lat działał w Związku Nauczycielstwa Polskiego; w latach 70. był prezesem Rady Zakładowej ZNP w UŁ. W latach 1978–81 był prodziekanem, a w latach 1981–84 dziekanem Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi UŁ. Przez następne dwie kadencje, w latach 1984–1990, pełnił funkcję prorektora Uniwersytetu Łódzkiego w ekipie rektora Leszka Wojtczaka. W latach 1996–2002 przez dwie trzyletnie kadencje prof. Stanisław Liszewski był rektorem uczelni, z którą związał całe swoje życie zawodowe. Od początku sprawowania tej funkcji rozpoczął – jak podkreśla prof. Wiesław Puś, prorektor w jego ekipie – budowanie Uniwersytetu Łódzkiego. Zaczęły powstawać nowoczesne obiekty, jak Wydział Zarządzania, a ponad 20 budynków uniwersyteckich poddano remontom i renowacji.

Podczas sześciu lat kierowania uczelnią przez prof. Liszewskiego liczba studentów wzrosła z 28 tysięcy do ponad 40 tysięcy, przybyło ponad 200 nauczycieli akademickich. Powstawały nowe studia wieczorowe, zaoczne i podyplomowe, a także ośrodki zamiejscowe UŁ w Bełchatowie, Kutnie, Piotrkowie Trybunalskim, Sieradzu i Skierniewicach oraz filia uczelni w Tomaszowie Mazowieckim.

Dzisiaj znane są zasługi prof. Liszewskiego dla Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, które w okresie PRL przez wiele lat było afiliowane przy Polskiej Akademii Nauk i finansowane przez Akademię. Stanisław Liszewski został prezesem ŁTN w 1991 roku, akurat wtedy, gdy w ramach zmian w PAN, jej prezes wypowiedział afiliację Towarzystwu.

Jako prezes zapewnił podstawy materialne istnienia tej organizacji i sprawił, że stała się ona ważnym ogniwem Łodzi akademickiej. Pozyskał dla ŁTN zabytkową willę Zieglera przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie, dzisiaj pięknie wyremontowaną. Pod jego kierownictwem w ŁTN wzmocniona została integracja środowiska akademickiego i rozwinęła się popularyzacja nauki. Odbyły się liczne konferencje naukowe, powstało 11 czasopism specjalistycznych, zaczęły ukazywać się także monografie. Integracji środowiska akademickiego służyły koncerty noworoczne, a także jubileuszowe spotkania z naukowcami (każde połączone z wydaniem poświęconego jubilatowi zeszytu z cyklu *Sylwetki łódzkich uczonych*). Wśród licznych przedsięwzięć ŁTN służących popularyzacji nauki najważniejszym jest zainicjowany przez prof. Liszewskiego i corocznie organizowany Festiwal Nauki, Techniki i Sztuki. Profesor zmarł w trakcie 16. edycji tego festiwalu.

Prof. Liszewski był inicjatorem powołania Rady ds. Nauki i Szkolnictwa Wyższego przy Prezydencie Miasta Łodzi, której przez długi czas przewodniczył. Uczynił wiele dla podniesienia rangi Łodzi akademickiej.

„Budynki wyższych uczelni już są prawie wszystkie – mówił mi w marcu 2015 roku. – Teraz powinniśmy zadbać o jak najlepsze wypełnienie tych budynków ludźmi, którzy tworzą nie tylko naukę, ale też atmosferę akademicką. W Łodzi wciąż jeszcze trzeba ją budować”. Ta sama nuta zabrzmiała w wywiadzie, jakiego w ubiegłym roku udzielił Jackowi Grudniowi z okazji 70-lecia Uniwersytetu Łódzkiego.

„Życzę mojemu uniwersytetowi, żeby był uniwersytetem, a nie szkołą zawodową. Po drugie życzę, aby niezależnie od kształcenia rozwijały się badania naukowe; myślę, że bez tego nie można mówić o poważnej uczelni. Wreszcie życzę też, żeby atmosfera i działalność uniwersytetu promieniowała na miasto, aby wreszcie w Łodzi budować środowisko akademickie. Wspólnie, razem, a nie każdy z osobna”.

Bardzo cenił życie rodzinne. Cały rozdział autoprezentacji podczas uroczystości swego 70-lecia zatytułował *Kobiety mojego życia*. Niezwykle ciepło, nie kryjąc uczuć, mówił wtedy o swej matce, żonie Alicji (która jest kartografem), starszej córce Agnieszce (która teraz jest dziekanem Wydziału Prawa i Administracji UŁ) i młodszej Annie – pianistce, a także o wnuczce Ewie.

Stanisław Liszewski pozostaje we wdzięcznej pamięci wielu ludzi, których napotkał na swojej drodze, hojnie obdarzając szczerym zainteresowaniem, uśmiechem, celną radą, dobrym słowem. „Był człowiekiem, który ludzi łączył, i to w sposób niezwykle kulturalny – wspomina prof. Jan Krysiński, były wieloletni rektor Politechniki Łódzkiej. – Bardzo miłe były organizowane przez niego w pałacyku przy Skłodowskiej-Curie spotkania byłych rektorów, przy pączkach pieczonych przez jego żonę Alicję. W kontaktach prywatnych był przemiłym człowiekiem, gawędziarzem z poczuciem humoru”.

Na 70-lecie prof. Liszewskiego ukazał się poświęcony mu setny zeszyt z cyklu *Sylwetki łódzkich uczonych*. Prof. Wanda M. Krajewska, sekretarz generalny ŁTN, napisała w nim m.in.: „Profesor S. Liszewski stawia zarówno przed sobą, jak i współpracownikami stale nowe wyzwania i inspiruje do działania (...). Jednocześnie jest tolerancyjnym, życzliwym kolegą i szefem, wyrozumiałym wobec wszelkich ludzkich słabości i ułomności, chętnie wspomagającym radą, szczerze cieszącym się oraz doceniającym pracę i osiągnięcia innych. To humanistyczne podejście do ludzi i świata, wielka aktywność, pasja i zaangażowanie w sprawy ogólnoakademickie budzi szacunek, uznanie i szczerą sympatię środowiska”.

Potwierdzeniem tych słów były tłumy zgromadzone podczas uroczystości pogrzebowych prof. Stanisława Liszewskiego. Żegnali go, oprócz najbliższych, także współpracownicy i wychowankowie, profesorowie i studenci, przedstawiciele władz miasta i wszystkich łódzkich uczelni, słowem – cała Łódź akademicka, która tak wiele mu zawdzięcza.

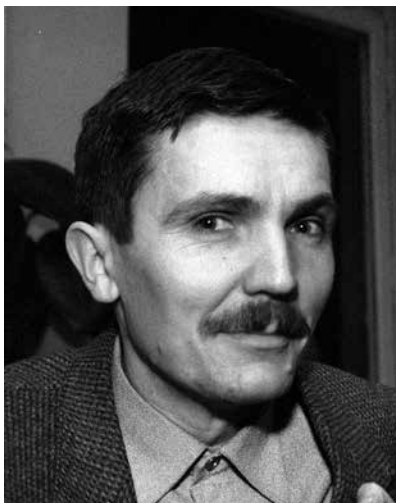
Paweł Patora
– dziennikarz, popularyzator nauki

Fot. dzięki uprzejmości Łódzkiego Towarzystwa Naukowego

Andrzej Jędrzejczak (1950–2016)

Pasjonat samorządności

wspomnienia



Na ostatnie pożegnanie Andrzeja Jędrzejczaka, który zmarł 9 maja 2016 roku, przybył tłum. Wśród tych blisko pół tysiąca łodzian, którzy uczestniczyli w jego ostatniej drodze, byli obok najbliższych przyjaciele, znajomi, współpracownicy. Po nabożeństwie żałobnym w kaplicy cmentarnej pw. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy przy ul. Szczecińskiej długi kondukt odprowadził w upalny majowy dzień jego prochy do grobu. Fakt, że było nas tak wielu podczas tego wspólnego pożegnania, pokazał, a może raczej potwierdził nasze dobre myśli o nim. Wielu w tym żałobnym tłumie tym bardziej uświadomiło sobie, że naprawdę będzie go nam bardzo brak.

Moje wspomnienia współpracy z Andrzejem Jędrzejczakiem są już dziś dość odległe, bo dotyczą trzech pierwszych kadencji Rady Miejskiej, kiedy to miał honor – z woli łodzian – sprawować mandat radnego. Wtedy niewielu wiedziało, jak bardzo doświadczyło go życie.

Rodzina była dla niego niezwykle ważna i miał wobec niej szczególne obowiązki. Wcześniej stracił żonę i dla ukochanych córek musiał być nie tylko ojcem, ale też zastąpić im matkę. Te trudne osobiste doświadczenia nie przeszkadzały mu w aktywnym życiu publicznym. Był radnym wyrazistym, nie przemknął przez Radę Miejską i przez publiczne życie Łodzi niezauważony. Bo zarówno w swoim środowisku politycznym, które reprezentował – a była to na początku odnowionego demokratycznego samorządu Unia Demokratyczna – jak też w kolejnych latach pełnił swój mandat tak, by zostawić po sobie ślad. Być może politechniczne wykształcenie pozwalało mu na precyzyjne planowanie i przewidywanie efektów swego działania. No i umiejętności

godzenia tego, zdawałoby się, „kradzionego” czasu córkom na rzecz pracy w samorządzie czy w polityce.

Andrzej Jędrzejczak należał do tych radnych, którzy już w pierwszej kadencji nie mieli wątpliwości, że tworzący się samorząd musi mieć swoje insygnia. Stąd oczywista była inicjatywa, aby ich elementem stał się herb Łodzi. Budowanie wizerunku Rady Miejskiej, wzmocnienie marki i wizerunku miasta było jego pasją. Dlatego do herbu postanowił dodać hejnał. Tym bardziej że kontaktując się z samorządowcami z innych miast, wiedział, że coraz więcej z nich o taką właśnie muzyczną identyfikację zabiega. Wraz z redakcją „Expressu Ilustrowanego” upublicznił tę inicjatywę. Mieszkańcy – jeszcze wówczas nie przy pomocy e-maili, czy SMS-ów, bo nie był to tryb codziennej komunikacji – lecz w sposób niezwykle tradycyjny, na kartkach pocztowych, przysyłali do redakcji swoje głosy. No i w tym powszechnie dostępnym głosowaniu łodzianie zdecydowali, by hejnałem miasta został motyw muzyczny pieśni Stanisława Moniuszki *Prząśniczka*. Radzie Miejskiej nie pozostało już nic innego, jak tę wolę łodzian zaakceptować. 17 czerwca 1998 roku łódzcy radni przyjęli uchwałę o hejnale miasta, decydując, że *Prząśniczka* będzie grana z okien Urzędu Miasta codziennie na żywo, powtarzana dwukrotnie, o 12:00. Od tego czasu podczas uroczystości miejskich, ale też świąt państwowych i miejskich rozbrzmiewa hejnał miasta grany przez strażnika miejskiego na trąbce.

Hejnał zabrzmiał i teraz, przy grobie Andrzeja Jędrzejczaka, łącząc się już na trwałe w pamięci z jego osobą. Bo przecież tuż po decyzji radnych o hejnale – a było to podczas drugiej kadencji Rady Miejskiej, kiedy Andrzej Jędrzejczak był jej wiceprzewodniczącym – pomysłodawcę inicjatywy rozpierała duma tak wielka, że w Łodzi zorganizował zjazd hejnalistów – Łódzki Przegląd Hejnałów Miejskich. I tuż obok siedziby Rady Miejskiej, w pasażu Schillera, mogliśmy usłyszeć muzyczne identyfikacje miast polskich. Łodzianie byli świadkami barwnego widowiska, które stało się doskonałą formą prezentacji każdego z miast, a przede wszystkim promocją Łodzi, pod której auspicjami ów festiwal hejnalistów się odbywał.

Andrzeja Jędrzejczaka pasjonowała samorządność i wszelka forma, by ją spopularyzować. Pamiętam, jak bardzo cieszyła go barwność tego zgromadzenia, różnorodność strojów, instrumentów – z długimi góralskimi trombitami – różnorodność dźwięków i tonacji.

Ta fantazja łączyła się z marzeniami Andrzeja Jędrzejczaka o niepowtarzalności wizualnej przestrzeni miasta. Wspierał bardzo inicjatywę posadowienia na skrzyżowaniu ulic Piotrkowskiej i Piłsudskiego obiektu w kształcie wielkiej łodzi, pod którą przejeżdżałyby pojazdy, a na górze swoje miejsce znalazłyby restauracyjki czy siedziby firm. Niestety, ten projekt architektoniczny był zbyt odważny, a może zbyt kosztowny jak na Łódź końca XX wieku.

Tak jak w ręce łodzian oddał decyzję o wyborze hejnału, tak samo wierzył w ich wyobraźnię, starając się poszerzać przestrzeń obywatelskich działań.

A trzeba pamiętać, że nie było jeszcze uchwał o konsultacjach społecznych czy prawa dotyczącego budżetu obywatelskiego. Pomogła mu w tym ustawa o samorządzie terytorialnym, dająca możliwość tworzenia rad osiedli. Dotąd mamy ich 36. Dążył do tego, by stwarzać im pole do realizacji potrzeb tych, z którymi jest się najbliżej – sąsiadów z pobliskiej ulicy, dzieci, które chodzą do wspólnej szkoły czy przedszkola, seniorów, którzy odpoczywają na pobliskim skwerku czy w parku. Tym polem samorządności były funkcjonujące w Łodzi jednostki pomocnicze miasta – rady osiedli. Widział potrzebę dzielenia się władzą z łodzianami. Stały kontakt z przedstawicielami rad osiedli, także dzięki temu, że był przewodniczącym Komisji ds. Jednostek Pomocniczych Miasta funkcjonującej w Radzie Miejskiej, sprawiał, że znał problemy łodzian z różnych części miasta i nie tylko z oficjalnych spotkań. Ta bliskość z ludźmi sprawiła zapewne, że był wybierany do Rady Miejskiej trzykrotnie, a zatem mandat sprawował, reprezentując interesy łodzian w łódzkim samorządzie, przez 12 lat – od 1990 do 2002 roku. To była dla radnego Jędrzejczaka radość z bycia bliżej obywatela, w tym kontakcie widział skuteczność samorządności.

Te kontakty ułatwiał mu także rower, którym często przemieszczał się po mieście, nieustająco popularyzując tę formę podróżowania po ciasnych ulicach Łodzi. Ci, którzy znali go nie tylko z życia publicznego, a przyjaźnili się z nim, wiedzą, że rower był też formą treningu przed wypadem w skałki. To była kolejna pasja, obok jazdy na nartach, tego społecznika. Przyjaciele, których zaraził tą dyscypliną sportu, o wspólnym szusowaniu w górach mogliby opowiadać długo.

Ale przecież pogrzeb to nie ta chwila. A może właśnie szkoda. Szkoda, że choć były sztandary i Rady Miejskiej, i Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, w którym Andrzej Jędrzejczak pracował, i setki kwiatów składanych przez bliższych i dalszych znajomych, przez przyjaciół politycznych, ale i przez kolegów z innych klubów radnych, nikt – oprócz księdza – nie wypowiedział słowa przy jego grobie. Może to zbyt trudne, kiedy smutek jest tak duży.

Andrzej Jędrzejczak odszedł, mając 66 lat, pokonała go ciężka choroba. Kochał góry, poezję, teatr. Kochał rodzinę i aktywne życie. Był odpowiedzialnym człowiekiem w każdym momencie. Takim też okazał się w trudnych dla łódzkiego samorządu chwilach po rezygnacji z funkcji przewodniczącego Rady Miejskiej Grzegorza Palki i jego tragicznej śmierci, w połowie II kadencji. Przypadło mu wtedy w imieniu miasta żegnać tego wybitnego łodzianina. Wówczas za wierszem księdza Jana Twardowskiego przypominał: „Śpieszmy się kochać ludzi. Tak szybko odchodzą”.

Tak. Tak szybko, że milkniemy.

Anna Kuźmicka

– rzecznik prasowy Rady Miejskiej w latach 1991–2015

Fot. z archiwum autorki

Ewelina Nurczyńska-Fidelska (1938–2016)

Filmoznawczyni



Niemal 300 wypromowanych magistrów i 11 doktorów, siedem książek autorskich (w dwóch przypadkach była współautorką), 16 zredagowanych (lub współredagowanych) tomów zbiorowych, 11 konferencji naukowych i 25 edukacyjnych, ponad 70 artykułów naukowych, a także... 38 haseł z zakresu filmu polskiego dla bułgarskiej encyklopedii kina. Tak sumuje dokonania zmarłej 28 kwietnia 2016 roku prof. Eweliny Nurczyńskiej-Fidelskiej jej były student, dziś doktor filmoznawstwa, Konrad Klejsa¹.

Można powiedzieć, że profesor Ewelina Nurczyńska-Fidelska była typową łodzianką. Urodziła się tu w rodzinie polsko-czesko-niemieckiej.

„Mój pradziad Ludwik Juraszek przybył do Łodzi z Czech i w 1899 roku przy ulicy Nawrot 88 założył Wytwórnię Wód Gazowanych i Lemoniady (...), którą rozbudował w latach dwudziestych mój dziadek Leon Juraszek, znany starszym łodzianom jako wytwórca napoju Sinalco” – pisze prof. Nurczyńska-Fidelska². Jedną z trzech córek Leona była Helena, która wyszła za mąż za warszawianina Aleksandra Rupfa. Z tego związku 11 sierpnia 1938 roku urodziła się Ewelina. W czasie wojny rodzina musiała się przenieść do Główna-Zabrzeźni w Generalnej Guberni, gdyż gestapo tropiło Aleksandra za działalność w AK. Wrócili do Łodzi już w styczniu 1945 roku. Jej dziadka

Leona wywłaszczono, aresztowano i umieszczono w obozie dla Niemców, gdzie zmarł w końcu 1945 roku. Jednocześnie jego żona i dwie córki – ciotki Nurczyńskiej – zmuszone zostały do wyjazdu z dziećmi do Niemiec, gdzie osiadły w ówczesnej angielskiej strefie okupacyjnej. Tam po wielu latach mogła je odwiedzić profesor Nurczyńska. „Tak to wojna sprawiła, że duża część mojej rodziny stała się naprawdą niemiecką, choć z babcią i obiema ciotkami zawsze w czasie moich późniejszych wizyt w Niemczech mogłam mówić po polsku, a ich polszczyzna była nienaganna; z moimi kuzynami już tylko po niemiecku, gdyż z Łodzi wyjechali wszyscy jako małe dzieci. One mówiły piękną polszczyzną, ale już z kuzynami musiałam rozmawiać po niemiecku” – napisała we wspomnieniach.

Ewelina Nurczyńska studia polonistyczne rozpoczęła w 1955 roku. Jak wspomina w *Taśmach wspomnień*, okres po Październiku 1956 roku był dla studentów kierunków humanistycznych czasem szczególnym: otworzyła się przed nimi możliwość poznania arcydzieł światowej literatury, teatru i kina, dotychczas trudno dostępnych lub w ogóle nieosiągalnych. Do Polski dotarły najciekawsze obrazy klasyki filmowej, a tworzące się jak grzyby po deszczu Dyskusyjne Kluby Filmowe miały pełną widownię. Ludzie nadrabiali wieloletnie zaległości. Tu warto wspomnieć, że Ewelina Nurczyńska zaraz po ukończeniu studiów była bardzo aktywnym prelegentem w Dyskusyjnych Klubach Filmowych i Kinach Studyjnych, publikowała także recenzje filmowe w łódzkim tygodniku „Odgłosy”.

Do pracy naukowej trafiła nie od razu: najpierw została nauczycielką polskiego w tej samej szkole podstawowej, w której przed laty była uczennicą, później uczyła w XIX LO im. A. Mickiewicza. Pisze: „Początkująca polonistka nie zapomniała o swych filmoznawczych pasjach – na lekcjach języka polskiego był też czas na analizy i interpretacje filmów, najczęściej korespondujących z głównym programem nauczania”^{**}. Nic dziwnego, że po latach z takim zaangażowaniem włączyła się w przygotowania *Filmoteki szkolnej*, czyli zestawu 26 płyt DVD, na których znalazły się opracowania 55 polskich filmów. Projekt sfinansował Polski Instytut Sztuki Filmowej, dzięki któremu 14 tysięcy pakietów dotarło do szkół. Tytuły opracowanych filmów wybierali naukowcy ze specjalnego zespołu, któremu przewodniczyła prof. Ewelina Nurczyńska-Fidelska. W ten sposób kontynuowała zainicjowane przez prof. Bolesława W. Lewickiego edukowanie nauczycieli oraz wprowadzanie refleksji o filmie do programów szkolnych. „Stworzyliśmy narzędzie i daliśmy je nauczycielom. Nie tylko polonistom: także historyk czy wykładowca wychowania obywatelskiego znajdzie w naszych propozycjach coś dla siebie – mówiła w rozmowie, którą prowadziłyśmy kilka lat temu. – *Filmoteka* ma wykształcić w młodzieży wrażliwość, a nauczycieli przekonać, że film artystyczny pomaga w nauce myślenia”.

W 1966 roku zakwalifikowała się na studia doktoranckie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, w 1969 roku przyjęła zaproponowany przez prof. Lewickiego etat asystenta w Zakładzie Wiedzy o Filmie UŁ. Doktorat obroniła

w 1975 roku, 14 lat później uzyskała tytuł doktora habilitowanego. Profesorem nadzwyczajnym UŁ została w 1991 roku, a tytuł profesora dostała w 1999 roku.

Profesor Ewelina Nurczyńska-Fidelska zawsze podkreślała, jak bardzo w ciągu kilkudziesięciu lat zmieniły się warunki nauczania na uniwersyteckim filmoznawstwie. „W początkach mojej pracy dydaktycznej oglądaliśmy filmy na taśmie 16 mm (...) Przełom techniczny nastąpił w połowie lat 80. XX wieku. Pojawiły się kasety wideo, potem płyty DVD i możliwość sięgania do zasobów Internetu. Teraz nawet premiery odbywają się w Polsce równoległe ze światowymi. Dostępność filmów przestała być problemem”.

Publikowała wiele tekstów z zakresu historii filmu polskiego (m.in. rozprawa doktorska poświęcona twórczości Andrzeja Munka, monografie Filipa Bajona i Andrzeja Wajdy, liczne teksty na temat „szkoły polskiej”), ale przede wszystkim zajmowała się problemami edukacji filmowej dzieci i młodzieży. Tej dziedzinie poświęciła swoją rozprawę habilitacyjną, była autorką wielu artykułów na ten temat, współpracowała z Ministerstwem Oświaty i Wychowania jako ekspert przy układaniu programów nauczania języka polskiego (wprowadzano do nich elementy wiedzy o filmie i telewizji). Była naukowym konsultantem Centralnego Gabinetu Edukacji Filmowej w Łodzi, który od 1990 roku organizuje – najpierw w Borkach, później w Radziejowicach – ogólnopolskie Konferencje Filmoznawcze dla Nauczycieli. I znacząco zaangażowała się we wspomnianą już *Filmotekę szkolną*.

Ceniła sobie nagrody i wyróżnienia, zwłaszcza prestiżową Nagrodę Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej za dorobek w kategorii „Krytyka filmowa”. Otrzymała ją w 2010 roku na Gali Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Rok wcześniej na tej samej gali odbierała – wraz z trzema swoimi doktorantami – nagrodę za książkę *Kino bez tajemnic*, pierwszy podręcznik wiedzy o historii i teorii filmu dla licealistów. Była sekretarzem Komisji Teorii Literatury Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, potem wiceprzewodniczącą Wydziału Sztuki i Nauk o Sztuce Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. W 2012 roku została wyróżniona tytułem Honorowego Członka ŁTN.

Ze swoich uczniów była bardzo dumna. „Mam prawo i zaszczyt myśleć, iż w tej małej galaktyce filmoznawczej i medioznawczej profesji znajduję się cząstki mego życia” – pisała** . Sądziła, że właśnie dlatego Senat Uniwersytetu Łódzkiego uhonorował ją Medalem Universitas Lodziensis Merentibus, przyznawanym za szczególne zasługi dla macierzystej uczelni. Pisze Konrad Klejsa: „Być może jest coś symbolicznego w fakcie, że kilka tygodni przed śmiercią Pani Profesor Senat Uniwersytetu Łódzkiego przegłosował otwarcie – od najbliższego roku akademickiego – samodzielnego kierunku o nazwie *filmoznawstwo*** . Wcześniej uczelniany ośrodek badań filmoznawczych istniał przy polonistyce (w 1960 roku prof. Bolesław W. Lewicki założył Zakład Wiedzy o Filmie, który był częścią Katedry Teorii Literatury, Teatru i Filmu) lub, od 1975 roku, na kulturoznawstwie (z czasem poszerzył się zakres zainteresowań naukowych komórki, co znalazło wyraz w nowej nazwie: Katedra Mediów i Kultury

Audiowizualnej. Prof. Nurczyńska-Fidelska szefowała jej od 1991 roku do końca pracy zawodowej w 2009 roku).

Ale i później tęskniła za dotychczasowymi relacjami. Po przejściu na emeryturę podjęła pracę wykładowcy w Wyższej Szkole Sztuki i Projektowania w Łodzi. Jak sama mówiła – bez dydaktyki jej życie byłoby smutniejsze i ograniczone.

Maria Sondej
– dziennikarka

wspomnienia

Przypisy:

1. Wspomnienie zamieszczone w pierwszym numerze (1/2016) internetowego kwartalnika naukowego Akademii Polskiego Filmu „Pleograf”.
2. W tekście zatytułowanym *Taśmy wspomnień*, który powstał na prośbę Łódzkiego Towarzystwa Naukowego i został opublikowany w VIII tomie cyklu *Moja droga do nauki*. W powyższym artykule większość informacji z życia Pani Profesor pochodzi z tego właśnie opracowania.

Fot. dzięki uprzejmości Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego

Jacek Ojrzyński (1940–2016)

O Muzeum wiedział prawie wszystko...



19 kwietnia 2016 zmarł w Zgierzu doktor Jacek Ojrzyński, który całe swoje życie zawodowe poświęcił Muzeum Sztuki. Kiedy odchodzi ktoś taki jak on, najdziwniejszym uczuciem jest świadomość, że odtąd właściwie nie będzie się już kogo zapytać o różne sprawy z dziejów muzeum, o szczegóły, które znać mógł jeszcze tylko on... Owszem, odpowiedzi można szukać w książkach, można wertować gazety, czasem przypadkiem trafić na kogoś, kto pamięta to i owo i może sprostować, dopowiedzieć, wyjaśnić – ale przecież to doktor wiedział prawie wszystko.

On widział większość wystaw powstałych w Muzeum Sztuki. Nawet na emeryturze nie opuszczał wernisaży i chętnie w kilku zdaniach wyrażał swe zdanie o jakimś dziele lub artyście, czasem uśmiechając się zdawkowo. Mógł sobie na to pozwolić, bo miał ogromną

wiedzę i wynikający z niej dystans. Jak prawdziwy muzealnik ustawiał zdarzenia i zjawiska we właściwej perspektywie, zdając sobie sprawę, że czas i tak zweryfikuje rewolucyjność bądź zachowawczość takich czy innych artystycznych działań. Miałem nawet wrażenie, że on w każdej z tamtych chwil już to wiedział. Przecież na historię muzeum, sposób działania i pokazywania zbiorów miał swój punkt widzenia, który otwarcie głosił. Równocześnie przyznawał innym prawo do posiadania własnego. Pod jednym warunkiem – że czyjaś propozycja jest przemyślana, spójna i konsekwentna.

Przesiadywał najczęściej w muzealnej bibliotece. Czytał, wertował czasopisma, sprawdzał coś w katalogach, mimo że znał je pewnie na pamięć. To w niej rozmawiał najczęściej z Marianem Minichem, pierwszym dyrektorem muzeum, który

znany był z tego, że wolał pracować w czytelni niż w gabinecie. Tu też – już jako szef Działu Dokumentacji Naukowej – gościł dyrektora Ryszarda Stanisławskiego, a potem kolejnych. Tak się bowiem złożyło, że jako jedyny z muzealnej załogi miał okazję współpracować ze wszystkimi dyrektorami tej placówki i ich zastępcami, kierownikami działów, pracownikami. Jacek Ojrzyński po prostu znał wszystkich.

Pisał historię muzeum, a teraz sam stał się jej częścią, postacią z archiwalnych fotografii, z kart katalogów, podpisany pod tyloma artykułami, opracowaniami. Urodził się 9 kwietnia 1940 roku w Kaleniu, gdzie wojenne losy rzuciły jego rodziców. Jako 16-latek zdał egzamin maturalny w 1956 roku w Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Staszica w Zgierzu. Jak wspominał, w Muzeum Sztuki pojawił się po raz pierwszy w 1959, może w 1960 roku. Przyszedł z wycieczką akademicką. Od kilku lat był studentem historii na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego. W 1961 roku ukończył te studia i na podstawie pracy magisterskiej zatytułowanej *Dzieje polityczne województwa łęczyckiego i sieradzkiego za panowania Augusta II Mocnego 1696–1733*, ocenionej bardzo dobrze i po złożeniu egzaminu magisterskiego z wynikiem bardzo dobrym uzyskał 1961 dyplom magistra historii. W tym samym roku, 17 lipca, w podaniu do Dyrekcji Muzeum Sztuki w Łodzi poprosił o zatrudnienie w Dziale Naukowo-Oświatowym. Pracę rozpoczęła 1 września 1961 roku jako młodszy asystent.

Muzeum okazało się rychło jego drugim domem. Można powiedzieć, że tu założył także rodzinę. Ożenił się 15 lipca 1965 roku z Janiną Elżbietą Marią Lupińską (później Ojrzyńską), lwowianką z pochodzenia, historykiem, entuzjastyczną organizatorką licznych przedsięwzięć popularyzujących sztukę, wieloletnią pracownicą Działu Naukowo-Oświatowego, a później Działu Dokumentacji Naukowej. Odtąd oboje stali się profesjonalnym tandemem wspierającym w sposób szczególnie wyrazisty działalność tej muzealnej placówki.

Myślał zawsze o spełnianiu się w działalności naukowej. 18 maja 1967 roku Rada Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Łódzkiego nadała mu stopień doktora nauk humanistycznych. Tematem rozprawy doktorskiej Jacka Ojrzyńskiego był *Dwór szlachecki i jego wyposażenie artystyczne w ziemi wieluńskiej w wiekach XVII–XVIII*. Wrz z doktoratem nie przeszedł jednak do pracy na uczelni. Został w Muzeum Sztuki, a 1 sierpnia 1968 roku dyrektor Ryszard Stanisławski powołał go na stanowisko kierownika nowoutworzonego Działu Dokumentacji Naukowej, obejmującego archiwum muzealne, księgozbiór, zbiory specjalne i czasopiśmiennicze oraz zbiory prasowe i fotograficzne. W 1971 roku wyjechał do Czechosłowacji dla odbycia studiów pogłębiających w Narodni Galerie w Pradze, na co otrzymał stypendium naukowe tamtejszego Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Uwielbiał książki i był wytrawnym szachistą. Ale miał też inne marzenia. Dopiero w 1978 roku mógł zrealizować swoje powołanie do dydaktyki. W roku akademickim 1978/79 rozpoczął wykłady z historii sztuki w Wyższej Szkole

Pedagogicznej w Częstochowie. Prowadził je do 2006 roku według autorskiego programu. W tym czasie rósł także jego autorytet w muzeum. W dniu 1 października 1983 roku został starszym kustoszem i było to zwieńczenie jego pozycji naukowej. Od 1988 roku organizował Zakład Wychowania przez Sztukę w Instytucie Plastyki na Wydziale Artystycznym Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, którym później kierował.

W 1996 roku, po niespodziewanym odwołaniu Jaromira Jedlińskiego, następcy dyrektora Stanisławskiego, Jacek Ojrzyński pełnił przez kilka miesięcy obowiązki dyrektora Muzeum Sztuki. Od 1997 roku, kiedy dyrektorem został Mirosław Borusiewicz, stał się jego zastępcą do spraw merytorycznych. Pracę w Muzeum Sztuki w Łodzi zakończył 30 kwietnia 2010 roku jako starszy kustosz i doradca dyrektora Jarosława Suchana.

Z osobą Jacka Ojrzyńskiego łączą się liczne teksty poświęcone sztuce, historii Muzeum Sztuki w Łodzi oraz wstępów do muzealnych katalogów. Publikował m.in. w „Kwartalniku Historycznym”, „Przeglądzie Historycznym”, „Polskim Słowniku Biograficznym”. Był także znany z pracy społecznej; istnieje długa lista organizacji pozarządowych, w których zaznaczył swoją działalność. Był m.in. współorganizatorem i drugim przewodniczącym Związku Muzeów Polskich, działał w Polskim Towarzystwie Historycznym, Stowarzyszeniu Historyków Sztuki, Polskim Narodowym Komitecie Międzynarodowej Rady Muzeów ICOM, Komitecie Dokumentacji Międzynarodowej Rady Muzeów CIDOC ICOM. Choć o zaszczyty nigdy nie zabiegał, został doceniony. Otrzymał Złoty Krzyż Zasługi, Honorową Odznakę m. Łodzi i Medal „Gloria Artis”.

Doktor Jacek Ojrzyński spoczął na pięknym wiejskim cmentarzu w Szczawinie koło Zgierza.

Maciej Cholewiński
– publicysta, pracownik Muzeum Sztuki

Fot. dzięki uprzejmości Muzeum Sztuki w Łodzi

recenzje

Strajk studencki w Łodzi '81

Ważny krok ku demokracji

Tomasz Czarnecki

str. 173

Monografia Bolesława Kardaszewskiego

Architektura i polityka

Błażej Filanowski

str. 178

Sejsmograf duszy, czyli kino według Marii Kornatowskiej

Mieczysław Kuźmicki

str. 183

Jerzy Skrzepiński. Ostatni z wielkich

Scenografia to też sztuka

Maria Sondej

str. 187

Murale, sztuka ulicy

Mieczysław Kuźmicki

str. 191

Strajk studencki w Łodzi '81

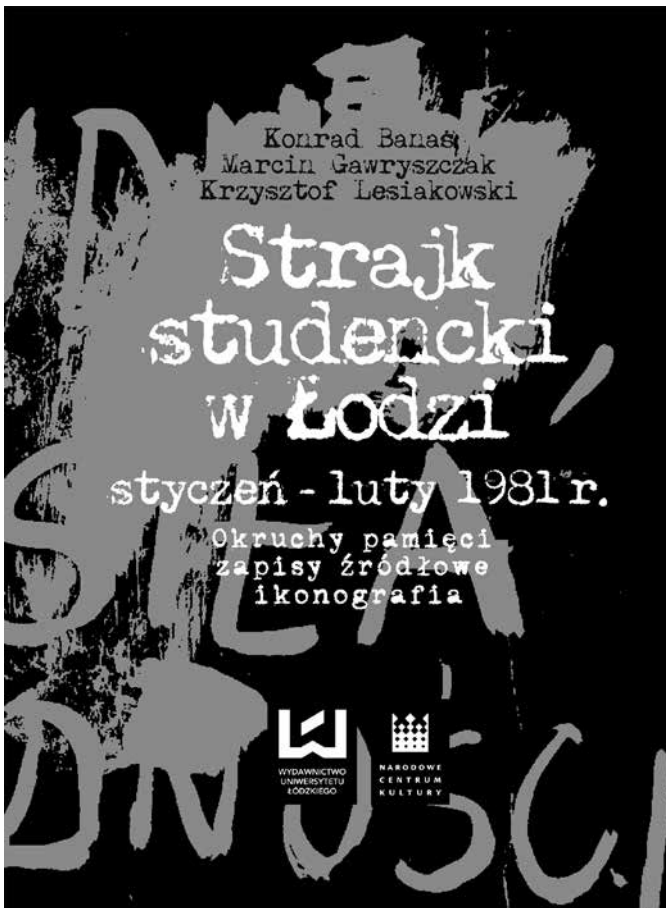
Ważny krok ku demokracji

recenzje

W 2016 roku mija 35 lat od wydarzenia bez precedensu na mapie historycznej Łodzi – zwycięskiego strajku studentów. Można zaryzykować stwierdzenie, że był to jeden z najbardziej udanych, skutecznych protestów społecznych okresu PRL. Studenci łódzkich wyższych uczelni osiągnęli bowiem główny cel – zgodę reżimu na powołanie niezależnego ogólnopolskiego stowarzyszenia. Fenomen zaistniałej sytuacji polegał na tym, że w komunistycznym systemie totalitarnym pojawiła się wyrwa w postaci w pełni autonomicznej, nieuznającej przewodniej roli PZPR struktury, która mogła stać się w przyszłości zaczynem całkowitej zmiany dotychczasowego sposobu sprawowania władzy. Komuniści świetnie zdawali sobie z tego sprawę, dlatego też już 5 stycznia 1982 roku jako pierwszą organizację po wprowadzeniu stanu wojennego zlikwidowali Niezależne Zrzeszenie Studentów.

Nie ulga wątpliwości, że zarówno władze uczelniane Uniwersytetu Łódzkiego (UŁ), jak i struktury partyjne i aparat represji w Łodzi zlekceważyły symptomy narastającego niezadowolenia wśród studentów. Były tego dwa zasadnicze powody. Po pierwsze, marazm w środowisku akademickim datujący się od wydarzeń w marcu 1968 roku. Ówczesny protest studentów łódzkich solidaryzujących się z kolegami z Warszawy został brutalnie zdławiony przez aparat bezpieczeństwa. Działalność opozycyjna zanikła na wiele lat, a jedynym oficjalnym reprezentantem braci studenckiej pozostał koncesjonowany przez władzę Socjalistyczny Związek Studentów Polskich (SZSP). Po drugie, w 1977 roku w reakcji na śmierć Stanisława Pyjasa, zamordowanego przez SB studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego i współpracownika KOR, przez całą Polskę przetoczyła się spontaniczna fala protestów i oburzenia. W Łodzi ograniczyło się to tylko do wywieszenia plakatów informacyjnych, zorganizowania mszy świętej w kościele pod wezwaniem św. Teresy i niewielkiego wiecu. Nie doszło jednak do powstania Studenckiego Komitetu Solidarności, jak to miało miejsce w Krakowie, Warszawie i Wrocławiu.

Podpisanie porozumień sierpniowych i powstanie Solidarności w 1980 roku rozbudziło nowe nadzieje także wśród studentów. Pojawiły się pierwsze inicjatywy. 28 września 1980 roku w Łodzi, w mieszkaniu działacza opozycyjnego Jacka Bartyzela, grupa studentów zawiązała strukturę pod nazwą Niezależnego Związku Studentów Łodzi (NZSŁ). Na początku grudnia 1980 roku studenci Wydziału Prawa



i Administracji UŁ wystąpili z żądaniem likwidacji egzaminu z podstaw nauk politycznych oraz zniesienia upokarzających praktyk robotniczych i obowiązkowego lektoratu z języka rosyjskiego. Lekceważąca postawa władz uniwersyteckich i brak oczekiwanej reakcji stały się kamieniem, który uruchomił całą lawinę zdarzeń. Ich zwieńczeniem było proklamowanie strajku okupacyjnego na łódzkich wyższych uczelniach. Przez 28 dni – od 21 stycznia do 18 lutego 1981 roku – tysiące studentów, głównie Uniwersytetu Łódzkiego, Politechniki Łódzkiej i Akademii Medycznej, mających wśród swoich liderów m.in. takie indywidualności, jak Wojciech Walczak, Paweł Gniazdowski czy Piotr Kociołek, wspierani przez lokalne struktury Solidarności oraz kolegów z innych ośrodków akademickich, wywalczyli główny cel – rejestrację Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

Ważnym więc elementem 35. rocznicy protestu stała się prezentacja książki *Strajk studencki w Łodzi. Styczeń – luty 1981. Okruchy pamięci, zapisy źródłowe, ikonografia*. To plon naukowo-badawczego zaangażowania trzyosobowego

zespołu, w skład którego weszli prof. dr hab. Krzysztof Lesiakowski z Instytutu Historycznego UŁ oraz Konrad Banaś i Marcin Gawryszczak, studenci ostatniego roku studiów historycznych.

Zasadnicza część książki oparta została na relacjach uczestników i liderów strajkowych z UŁ, PŁ, AM, Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej czy Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. To, co już na wstępie zwraca uwagę, to wcześniejsze kontakty i związki ze środowiskami opozycyjnymi większości z nich. Jedni, jak na przykład Wojciech Walczak czy Paweł Gniazdowski, współpracowali z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO), pomagali przy druku pisma „Opinia” i innych wydawnictw tej struktury. Drudzy, wśród nich Maciej Maciejewski i Zbigniew Żołnierczyk, zetknęli się z przedstawicielami łódzkiego Komitetu Samoobrony Społecznej KOR (KSS KOR) – Józefem Śreniowskim, Tomaszem Filipczakiem, Jackiem Bierezinem i Witoldem Sułkowskim. Dzięki nim mieli dostęp do wydawnictw drugiego obiegu. Dla innych z kolei działalność w harcerstwie, Duszpasterstwie Akademickim stanowiła okazję do poznania kolegów już zaangażowanych w działalność podziemną. Późniejsze ich spotkania w łódzkiej „filmówce” czy w mieszkaniach działaczy pozwoliły poszczególnym studenckim grupom lepiej się poznać i jak zauważył w swoich wspomnieniach Maciej Maciejewski: „W sposób naturalny ludzie dążący do stworzenia niezależnej organizacji stali się zaczynem środowiska, które potem stanęło na czele strajku łódzkich studentów”.

W relacjach uczestników protestu wybija się kwestia wspólnej akcji NZS z SZSP i reakcji tymczasowych władz zwierzchnich w postaci Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego NZS (OKZ NZS). Dla znacznej części działaczy porozumienie z SZSP było niepotrzebne, a nawet szkodliwe. Podnoszono kwestię haniebnego udziału warszawskich bojówek SZSP w rozbijaniu wykładów niezależnych intelektualistów, organizowanych w ramach Towarzystwa Kursów Naukowych. Argumentowano, że SZSP to przybudówka PZPR i wygodne narzędzie indoktrynowania studentów w rękach komunistów. Inni zaś twierdzili, że łódzka struktura SZSP miała charakter głównie „piknikowy”, a podstawą jej działalności były dyskoteki i inne imprezy, więc poziom upolitycznienia jej członków jest niski. Byli wszak członkowie SZSP, jak Ryszard Podladowski czy Marek Perliński, którzy zaangażowali się w tworzenie niezależnego ruchu studenckiego. Perliński stał się zresztą jednym z najważniejszych liderów łódzkiego strajku. Przeważała opinia, że jeśli protest ma spełnić swoje zadanie i odnieść sukces, to musi być wspólną akcją NZS i SZSP.

Dołączanie do ciał przedstawicielskich strajkujących studentów – Studenckiego Komitetu Jedności (SKJ) i Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej (MKP) – członków SZSP spotkało się z dużą krytyką ze strony OKZ NZS. Tymczasowe władze protestu nie zgadzały się z ideą prowadzenia strajku z przybudówką PZPR pod hasłem jedności studenckiej. Odrzucały również pomysł traktowania studenckich postulatów ogólnospołecznych jedynie jako opinii środowiska akademickiego. Wydaje się jednak, że był to tylko pretekst. Solą w oku OKZ NZS był raczej fakt, że centralnym

miejszem walki o rejestrację niezależnego stowarzyszenia studenckiego stała się „pro-wincjonalna” Łódź, a nie Warszawa z największym środowiskiem akademickim. OKZ NZS planował organizację strajku ogólnopolskiego w stolicy w rocznicę marca 1968, z żądaniem między innymi rejestracji NZS. Jednak skala protestu łódzkiego środowiska studenckiego, mającego poparcie innych ośrodków akademickich oraz NSZZ Solidarność, sprawiła, iż spór zakończył się kompromisem i poparciem strajku przez OKZ NZS.

Drugą część publikacji stanowią dokumenty. W ten sposób zostały zaprezentowane wszystkie kolejne fazy zarówno rozwoju ruchu studenckiego, jak i narastającego fermentu w środowisku akademickim. Od utworzenia Międzyuczelnianego Komitetu Założycielskiego Niezależnego Związku Studentów Łodzi we wrześniu 1980 roku począwszy, poprzez zawiązanie tzw. „Solidarnego Czekania” na Wydziale Prawa i Administracji UŁ na początku stycznia 1981 roku, stopniowo rozszerzanego na inne wydziały UŁ, po proklamowanie i rozwój strajku okupacyjnego, trudne i długie negocjacje z Komisją Międzyresortową na przełomie stycznia i lutego 1981 roku, zwieńczone pełnym sukcesem w postaci podpisania porozumienia przez przedstawicieli strajkujących studentów i prof. Janusza Górskiego – ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki w dniu 18 lutego 1981 roku oraz rejestracji NZS.

Wśród dokumentów zwraca uwagę Odezwa Komitetu Strajkowego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu z poparciem dla strajkujących studentów Łodzi z dnia 8 lutego 1981 roku, proklamująca rozpoczęcie strajku solidarnościowego. Pismo to dotyczy bardzo ważnego zagadnienia. Impas w negocjacjach protestujących studentów z Komisją Międzyresortową w pierwszych dniach lutego 1981 roku sprawił, że liderzy strajkowi w ramach MKP zwrócili się z apelem o wsparcie do środowisk studenckich w innych miastach. Jako pierwsi pospieszyli z pomocą koledzy właśnie z Poznania. Już 8 lutego Komitet Założycielski NZS UAM przekształcił się w Komitet Strajkowy i proklamował strajk okupacyjny. Dzień później swoją akcją solidarnościową ze środowiskami łódzkim i poznańskim podjęli studenci Akademii Medycznej w Warszawie. W następnych dniach do akcji w formie bądź to strajków okupacyjnych, bądź gotowości strajkowej przyłączyli się studenci między innymi z: Krakowa, Wrocławia, Szczecina, Bydgoszczy czy Lublina. W niektórych przypadkach liczba protestujących osiągnęła imponujący poziom. W przeddzień podpisania porozumienia – 17 lutego 1981 roku – na Uniwersytecie Jagiellońskim strajkowało około 1500 studentów, na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie i na Uniwersytecie Adama Mickiewicza około 2000. Tego dnia na blisko 30 wyższych uczelniach w całym kraju protestowało ponad 30 tysięcy studentów. Groźba przekształcenia stale rozszerzającej się akcji strajkowej w różnych ośrodkach akademickich w Polsce w strajk powszechny zmusiła ministra Górskiego i Komisję Międzyresortową do zmiany taktyki polegającej na graniu na czas. Doszło do ustępstw i podpisania 18 lutego porozumienia łódzkiego.

Ważną część książki stanowi ikonografia. Zbiór fotografii zawiera nie tylko te najbardziej już znane. Oplakatowane hasłami strajkowymi ogrodzenie budynku

Instytutu Filologii Polskiej UŁ przy al. Kościuszki 65 (centrum strajkowego), negocjacje MKP z Komisją Międzyresortową, wiece studenckie na UŁ, PŁ czy PWSM, na których omawiano wyniki rozmów, liderów strajkowych czy doradców studenckich, w osobach między innymi Karola Głogowskiego, Tadeusza Grabowskiego, Andrzeja Kerna czy Marka Edelmana. Na szczególną uwagę zasługują fotografie, które obrazują życie codzienne okresu strajku: koncerty muzyczne gwiazd (między innymi: Andrzeja Zauchy, Krystyny Prońko czy Olka Grotowskiego), czytanie książek i prasy podziemnej, grę w karty czy szachy, odpoczynek, przygotowywanie posiłków itp. Swoistą ciekawostką są rysunki satyryczne przedstawiające głównie postać ministra Górskiego.

Strajk studencki w Łodzi trwający aż 28 dni i nocy był olbrzymim wyzwaniem pod względem logistycznym i organizacyjnym. W przeddzień podpisania porozumienia tylko na UŁ strajkowało około 4000 osób na różnych wydziałach. Na PŁ około 3500. Temu ogromnemu zbiorowisku studenckiemu trzeba było nie tylko zorganizować codzienną aprowizację, ale również w miarę możliwości wypełnić wolny czas. Pręźnie działały biblioteczki, z których można było wypożyczyć książki podziemnych wydawnictw. Organizowano liczne wydarzenia kulturalne, między innymi spektakle czy koncerty muzyczne. Studenci łódzkiej „filmówki” (wśród nich Małgorzata Potocka) prezentowali filmy zakazane w oficjalnym obiegu. Projekcje odbywały się zazwyczaj wieczorami lub w nocy. Studenci Akademii Muzycznej dawali koncerty muzyki poważnej czy jazzu. W niedziele odprawiane były msze święte koncelebrowane przez księży akademickich z parafii pod wezwaniem św. Teresy w Łodzi. Nie ulega jednak wątpliwości, że z każdym upływającym dniem narastało zmęczenie zarówno fizyczne, jak i psychiczne. W trzecim tygodniu protestu Uczelniany Komitet Strajkowy podjął decyzję o rozpoczęciu strajku rotacyjnego, zgodnie z którym co trzecia osoba mogła czasowo wyjść do domu z budynku strajkowego na podstawie przepustki. Trzy osoby dostawały jedną przepustkę, kiedy więc jedna osoba była na zewnątrz, pozostałe dwie czekały na swoją kolej.

Uroczyste podpisanie porozumienia 18 lutego 1981 roku zostało przyjęte z niebywałym entuzjazmem. Spełniało ono oczekiwania strajkujących studentów reprezentujących niemal całe środowisko studenckie w kraju. W jego wyniku NZS stał się organizacją legalną, a studenci uzyskali znacznie większy wpływ na funkcjonowanie wyższych uczelni.

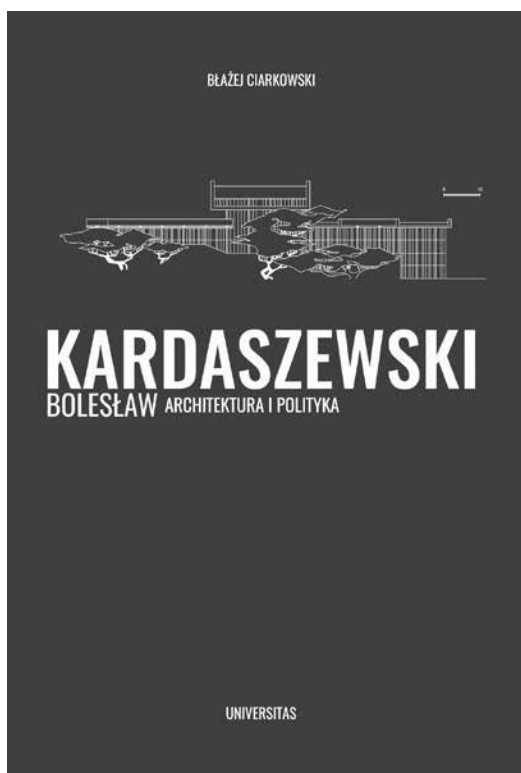
Tomasz Czarnecki
– historyk, publicysta

Konrad Banaś, Marcin Gawryszczak, Krzysztof Lesiakowski, *Strajk studencki w Łodzi '81. Okruchy pamięci, zapisy źródłowe, ikonografia*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Narodowe Centrum Kultury, Łódź – Warszawa 2016.

Fot. materiały wydawnictwa

Monografia Bolesława Kardaszewskiego

Architektura i polityka



Hilary Majewski, Wiesław Lisowski, Józef i Witold Korscy, Bolesław Kardaszewski – taką wielką piątkę łódzkiej architektury na spotkaniu autorskim zaproponował Błażej Ciarkowski, autor monografii tego ostatniego twórcy. „Piąty” był synem wykwalifikowanego robotnika, socjalisty należącego do PPS. Po wojnie w Polsce Ludowej mógł się edukować jako architekt i piąć po szczeblach hierarchii społecznej aż do godności posła na sejm i profesora Politechniki Łódzkiej. Miał silną, ale niejednoznaczną osobowość, bliscy i współpracownicy określali go w rozmowach z autorem książki skrajnymi epitetami: zarówno jako skromnego, jak i jako megalomana. Był artystą, który podążał własną drogą w nurcie architektury późnego moderni-

zmu w niełatwych realiach gospodarki PRL-u. Na jego dorobek składają się projekty i realizacje wyróżniających się budynków mieszkaniowych i obiektów użyteczności publicznej powstałych przede wszystkim w Łodzi.

Obiektem w dorobku Kardaszewskiego, który należy wymienić w pierwszej kolejności, jest budynek Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi na Dołach. Rozłożysta bryła pawilonów uczelni została malowniczo zakompo-

nowana w przestrzeni, niczym u Franka Lloyd Wrighta, wybitnego twórcy łączącego modernistyczną architekturę z krajobrazem. Projekt został opracowany pod koniec lat 60. przez Kardaszewskiego w duecie z Włodzimierzem Nowakowskim, zrealizowano go jednak znacznie później. W 1978 budynek dzisiejszej Akademii Sztuki Pięknych, jako drugi łódzki obiekt po gmachu Teatru Wielkiego, otrzymał nagrodę I stopnia Ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych za wybitne osiągnięcia w projektowaniu. Mimo upływu czasu i zaburzających pierwotny projekt renowacji obiekt wciąż robi wrażenie zarówno na przeciętnych odbiorcach, jak i na koneserach architektury. Kardaszewskiemu się on jednak nie podobał. Architekt publicznie wypowiadał się o wadach tego budynku, częściowo tłumacząc je niskim budżetem oraz złym wykonaniem. Zresztą Kardaszewski nie był do końca zadowolony z żadnego ze swoich dzieł. Starał się być perfekcjonistą, pewnym swoich umiejętności i wartości, człowiekiem momentami narcystycznym. Być może te cechy sprawiły, że duet z Nowakowskim rozpadł się, a dawny współpracownik odmawia komentarza co do przyczyny domniemanego konfliktu.

Kardaszewski stworzył również inne ważne gmachy łódzkich uczelni. Wspólnie z Ludwikiem Mackiewiczem zaprojektował spójny i wyrazisty w swojej bryle budynek wydziału Budownictwa Lądowego Politechniki Łódzkiej. Architekci zastosowali prefabrykowane żelbetonowe ramki, tzw. „ramki łódzkie”, opracowane przez inżyniera Janusza Freya. Dla Uniwersytetu Łódzkiego Kardaszewski wraz z Nowakowskim i Anną Wiśniowską zaprojektował koncepcję przestrzenną Dzielnicy Wyższych Uczelni, znajdującej się między ulicami Pomorską a Narutowicza. Projekty budynków z początku lat 70. przewidywały zunifikowaną architekturę nadającą założeniu spójną formę. Plan Dzielnicy powstawał w duchu koncepcji przestrzennych dążących do rozumienia





budynku jako formy otwartej, czyli dającej możliwość jej odpowiedniego przekształcenia zgodnie z przyszłymi oczekiwaniami użytkownika. Jedynym budynkiem, który został zrealizowany według tej koncepcji, jest – również nagradzany – Instytut Fizyki. Zastosowane w nim innowacyjne rozwiązania budowlane okazały się wyzwaniem dla wykonawców, dlatego obiekt oddano do użytku dopiero w 1982 roku. Niestety szybko zaczął się „brzydko starzeć”, co frustrowało jego projektanta, który w swych wypowiedziach podkreślał znaczenie i wartość życia w pięknym otoczeniu.

Szare, brzydkie blokowiska to obraz, który kojarzy się powszechnie z czasami PRL. Prymat ilości nad jakością, powtarzalność i bylejakość irytowały architektów takich jak Kardaszewski, który twierdził, że przez monotonię architektonicznego krajobrazu, „gdzie by w Polsce nie przebywał, to zawsze jest w Koninie”. Utyskiwał w ten sposób na kompletny zanik indywidualnego charakteru poszczególnych miast i miasteczek zabudowywanych „blokowiskami”. Kardaszewski nie był też szczególnym entuzjastą Łodzi, traktował ją jako „etap przejściowy” swojej drogi zawodowej. Planował najwyżej kilkuletni okres pracy w Miastoprojekcie – Łódź, w którym propozycję zatrudnienia otrzymała najpierw jego żona Irena – także architekt. Mimo że przez niemal całą karierę spoglądał z nadzieją na Warszawę, wkładał wiele energii w to, aby Łódź nie była kolejnym „Koninem”. Uważał, że miasto zasługuje na oryginalną architekturę, piękno i wielkomięski prestiż. Tak starał się projektować i wymuszać realizację ambitnych założeń na inwestorach.

Od ponad dekady trwa wzmożona dyskusja nad wartością architektury modernistycznej, w tym tej z okresu PRL. Poważne uznanie i wysoką sprzedaż uzyskała wydana w 2011 roku książka Filipa Springera *Źle urodzone. Reportaże*

o architekturze PRL-u. Duże zasługi w nowej recepcji modernizmu powojennego ma też Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, przypominające znaczące postacie polskiej architektury, takie jak Oskar Hansen czy Stanisław Zamecznik i inicjujące cykl *Warszawa w budowie*. Dzięki opisaniu dorobku Kardaszewskiego Błażej Ciarkowski dołączył teraz do tej dyskusji. Sam autor książki jest architektem i historykiem sztuki, ale Kardaszewskiego osobiście nie poznał – należy do pokolenia badaczy, którzy na PRL patrzą z dystansem... a może z pewną fascynacją? Przypomnijmy: książka ta jest efektem rzetelnej pracy naukowej i została wydana przez prestiżowe wydawnictwo Universitas. Czasami jednak – ze względu na styl – można odnieść wrażenie, że ociera się o hagiografię (w pewnym momencie zburzenie Warszawy w 1944 roku opisane zostaje jako *felix culpa*, konieczne, aby Kardaszewski został architektem). Świat w książce kręci się wokół genialnego, choć aroganckiego, bezkompromisowego i pesymistycznego bohatera (kogoś w rodzaju architektonicznego doktora House'a). Ten zabieg sprawia, że tekst jest bardziej wciągający, a czytelnik może identyfikować się z postacią. Jednocześnie jednak powoduje, że nieco rozmywa się tło wydarzeń i gdzieś schodzą na margines – choć z kronikarską dokładnością wymienieni – projektanci partnerzy i ich wpływ na powstałe dzieła i samego Kardaszewskiego. A przecież tylko część projektów wymienionych w książce to „solowe arie” architektoniczne Kardaszewskiego. Kolejna kwestia, którą można by jeszcze zbadać, to ingerencje Kardaszewskiego w plany i pomysły innych architektów. Do dziś kontrowersje budzi chociażby jego rola w przekształcaniu projektu Muzeum Sztuki w Łodzi autorstwa Jana Fiszer, którego realizację ostatecznie wstrzymano w 1976 roku.

Wpływać na rzeczywistość, kształtować ją w każdy możliwy sposób – taki paradygmat życia Kardaszewskiego wyłania się z książki. Być może wstąpienie do



PZPR w 1966 roku (Kardaszewski był już wówczas uznawany za bardzo obiecującego architekta) było podyktowane raczej chęcią wpłynięcia na kierunek percepcji architektury w kręgach partyjno-rządowych, niż ułatwienia sobie życia. Działalność wykładowcy, aktywność w dyskusji o reformie nauczania architektury – to wszystko wskazuje, że Kardaszewski miał aspiracje, aby kształtować zarówno ludzi, jak i przestrzeń. Wcale nie według socjalistycznej doktryny – twierdził bowiem, że nie każdy musi mieszkać w centrum i że za studia powinno się płacić – ale według własnej intuicji i przekonania. Książkę kończy rozdział zatytułowany *Stracone szanse*, nieco z żalem podsumowujący niezrealizowane projekty architekta z lat 90. XX wieku. Kardaszewski swoją ostatnią realizację – budynek mieszkalny „Bolek” na rogu ulic Zamenhoffa i Kościuszki – ukończył w 1984 roku, będąc w pełni sił twórczych. Był to kolejny przykład wkomponowywania nowej architektury w istniejącą historyczną strukturę miasta, do którego przekonał się przy współpracy z Mirosławem Wiśniewskimi. Kardaszewski zawsze podkreślał rolę „kultury kontynuacji”, idei zaczerpniętej ze studiów u wybitnego architekta Bohdana Pniewskiego. Uważał za potrzebne zachowywanie historycznej architektury, ale tylko tej „odpowiedniej”. Wydaje się, że nigdy jednak nie zrezygnował z przekonania, które dobitnie formułował Le Corbusier – że miasto jest zbyt ważne, aby pozwolić o nim decydować mieszkańcom. Według niego genialna jednostka miała regulować chaos codziennego życia, wpływać na jego przebieg i doświadczenie. Tymczasem w latach 80. XX wieku klimat dla wszelkich autorytarnych opinii był, delikatnie mówiąc, generalnie niesprzyjający. Widać to także w teorii architektury, od pionierów takich jak J. Jacobs i jej klasycznej pozycji *Śmierć i życie wielkich miast Ameryki* do łódzkiego konceptu „miasta poprawnego”. Coraz wyraźniej słyszalne były głosy krytykujące modernistyczne koncepcje kreowania miast, tworzenie trudnych w kontrolowaniu megastruktur, ślepią uliczkę rozbudowywania infrastruktury dla indywidualnego ruchu kołowego, kompletny brak partycypacji mieszkańców w tworzeniu miasta, lekceważenie dla tradycji i historii.

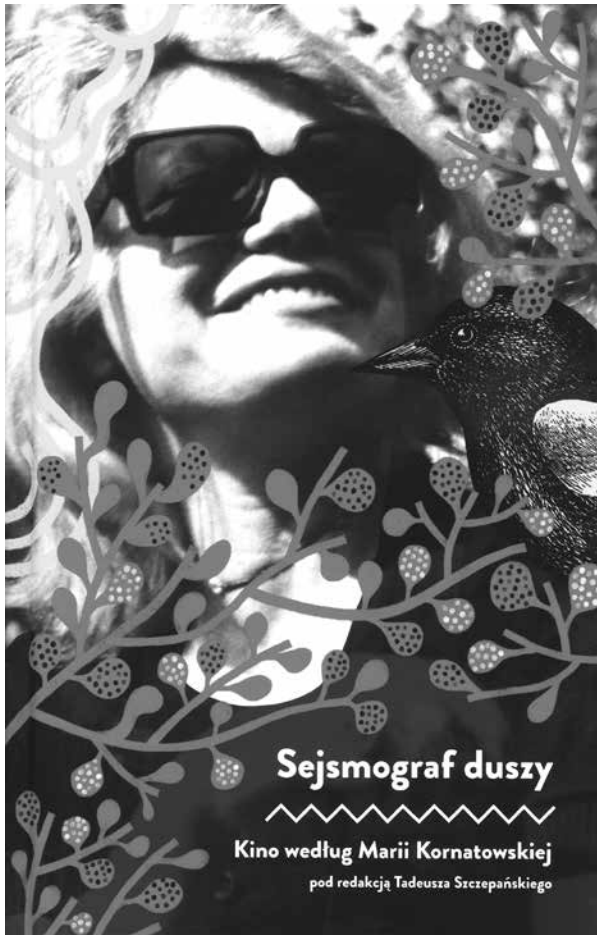
Sam Kardaszewski podkreślał, że architektura to sztuka „najbardziej trwała, kosztowna i wszechobecna”. Tworzenie jej – szczególnie w przypadku prestiżowych publicznych gmachów – to rodzaj przywileju i władzy. Każda władza buduje swój mit, etos, ale i estetykę. Kardaszewski, będąc u szczytu kariery, uosabiał tę, której legitymizacja już się wyczerpywała. Być może właśnie dlatego jego projekty nie wzbudzały później takiego zainteresowania wśród potencjalnych inwestorów? Być może jego entuzjazm, który w okresie popularności marzeń o zbudowaniu miast na nowo pozwolił mu wiele osiągnąć, nagle stał się przeszkodą? Kardaszewski w kontekście sztuki i władzy to wątek, który książka Ciarkowskiego porusza i daje podstawy do dalszych, bardziej ogólnych refleksji nad historią polskiej architektury.

Błażej Filanowski

Błażej Ciarkowski, *Bolesław Kardaszewski – Architektura i polityka*, wydawnictwo Universitas, Kraków 2016

Seismograf duszy, czyli kino według Marii Kornatowskiej

recenzje



Niespełna pięć lat po śmierci Marii Kornatowskiej ukazała się książka złożona z wyboru jej rozproszonych publikacji. Redaktor i autor wyboru Tadeusz Szczepański napisał we wstępie, że to jej ostatnia książka, ale ja wolę traktować ją jako kolejną, dla nas najnowszą. Choć oczywiście pomieszczone w niej oryginalne teksty były już publikowane, najczęściej na łamach branżowych pism filmowych oraz periodyków kulturalnych. Najwięcej w miesięczniku „Kino”, w którego zespole pozostawała przez wiele lat, a także „Filmie” i „Kwartalniku Filmowym”. Poza tymi nieliczne artykuły z publikacji zbiorowych i czasopism, m.in. tygodnika „Odgło-

sy”, z którego pochodzi najstarszy z zamieszczonych w książce tekstów – recenzja filmu *Jak być kochaną* z 1963 roku.

Kim była Maria Kornatowska? Łodzianką z wyboru, absolwentką polonistyki na UŁ, uczennicą prof. Bolesława W. Lewickiego. Krytykiem filmowym wyróżnionym za tę działalność w 2009 roku nagrodą Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Autorką książek, z wielokrotnie wznawianą i poszerzaną monografią Federica Felliniego na czele, za którą otrzymała Nagrodę im. Bolesława Michałka (2003). Publikowała też książki: *Monica Vitti, Eros i film, Wodzireje i amatorzy, Filmy o miłości, Magia i pieniądze* (wywiad-rzeka z Agnieszką Holland) i zbiór felietonów *Rozmyślenia przy makijażu*. Była wieloletnim wykładowcą, profesorem PWSFTviT, jedną z najważniejszych postaci uczelni i życia artystycznego Łodzi.

Teksty pisane dla periodyków, wstępy do książek i katalogów liczyć można w setkach. Uczestniczyła w festiwalach filmowych, spotkaniach, debatach, zespołach redakcyjnych, radach programowych. W zamieszczonym na końcu książki wspomnieniu Grażyna Torbicka, dziennikarka i szefowa festiwalu Dwa Brzegi w Kazimierzu Dolnym, napisała: „Maria była pięknym, kolorowym, rajskim ptakiem”. Jakby chcąc dostosować się do tego wyznania, autor wyboru tekstów stworzył kompozycję, którą można przyrównać do kunsztownie zaprojektowanego wielobarwnego bukietu. Ofiarowanego w równym stopniu czytelnikom, jak i pewnie samej Kornatowskiej, bo z pewnością i dla niej książka mogłaby być niespodzianką. Z liczącej kilkaset pozycji bibliografii, rozproszonej i rozrzuconej w przestrzeni i czasie, który upłynął od jej debiutanckich tekstów z połowy lat 50. tamtego wieku, wybrał i rozbudował kilka wątków. Tych najważniejszych dla autorki, zapisanych w niespełna 80 fragmentach.

Książkę otwierają dwa wstępy – najpierw od autora wyboru, w którym mówi o swoich decyzjach, dając przy okazji swoisty portret Marii Kornatowskiej poprzez jej pasje i zainteresowania. Drugi wstęp ma charakter osobistego wspomnienia, świadectwa jej koleżanki szkolnej i przyjaciółki mieszkającej od lat w USA, Krystyny Serejskiej-Olszer.

A potem rozdziały, które można również potraktować jako etapy życia, na pewno życia artystycznego Marii Kornatowskiej. Najważniejszy w nurcie kina artystycznego był dla niej Fellini i kino włoskie. Mamy więc rozprawy, szkice i eseje, recenzje filmów, także rozmowy o nim i jego twórczości. Ponadto znalazły się tu teksty o twórczości i znaczeniu dla kultury filmowej dokonań reżyserskich Rosselliniego, Viscontiego, Pasoliniego, Antonioniego i rozmowa z operatorem Giuseppe Rotunno.

Kolejny rozdział to, jak chce autor wyboru, *American Dream* Kornatowskiej, efekt zauroczenia kinem amerykańskim, przynajmniej pewnym jego wycinkiem. Znowu ma swoich ulubieńców, którym poświęca wiele uwagi i miejsca. To oczywiście Woody Allen, Martin Scorsese, bracia Coen, Francis Ford Coppola. I wiele innych nazwisk przypisanych do konkretnych tytułów, zawsze z najwyższej półki, nawet jeśli były to tylko wybrane tytuły albo autorzy nielicznych dzieł wyjątkowych.

Rozdział o kinie polskim zatytułowany został *Has i inni*, co jest wyrazem jej specjalnego stosunku do twórczości autora *Sanatorium pod Klepsydrą*. Należała i przewodziła ekskluzywnej „sekcji Chasydów” przeciwstawnej „sekcji Wajdelotów”, jak poetycko i dosadnie określa Tadeusz Szczepański we wstępie dwie postawy wobec dwóch mistrzów polskiego kina. Twórczość Wojciecha Jerzego Hasa była dla niej najważniejsza, nic więc dziwnego, że jest tu napisana tuż po premierze recenzja *Jak być kochaną*, w której stawia ten film wyżej od *Popiołu i diamentu*. A wychodząc poza materię książki, wspomnieć trzeba, że była scenarzystką dokumentu filmowego *Ze snu sen* (reż. Adam Kuczyński, 1998), którego bohaterem jest oczywiście Has. Wśród innych twórców polskiego kina znaleźli się przede wszystkim Jerzy Kawalerowicz na czele z *Faraonem*, Roman Polański, Filip Bajon, Grzegorz Królikiewicz, Krzysztof Kieślowski, Mariusz Grzegorzek. Niektórymi filmami Andrzeja Wajdy była zachwycona (*Kanał*, *Lotna*, *Panny z Wilka*), ale w recenzji *Człowieka z żelaza* nie zaważała się nazwać go dziełem wyrosłym z ducha i poetyki socrealizmu. W uzupełnieniu tej części znalazły się rozważania i rozmowy o sztuce operatorskiej, a wśród nich rozmowa z Witoldem Sobocińskim oraz rozważania o tzw. polskiej szkole operatorów.

Ostatnia część – *Sejsmograf duszy* – dała tytuł całej książce. Wypełniona została tekstami najbardziej osobistymi, czasami intymnymi, odsłaniającymi jej pasje i artystyczne namiętności, które są pochwałą kina jako pięknego obrazu pięknego świata, istniejącego najczęściej tylko w kinie. Bo często jedynie ta sztuka potrafi ten świat i jego urodę zdefiniować.

Dopełnieniem każdej części książki zawierającej jej teksty są wypowiedzi osób z kręgu kultury filmowej i jej przyjaciół, którzy ją znali, cenili, szcycili się tą znajomością. Wspominają ją jako krytyka filmowego, znawczynię nie tylko kina, ale kultury włoskiej i amerykańskiej. Są to m.in. twórcy filmowi – reżyserzy, operatorzy (często byli studenci, później koledzy z uczelni). Mieszkają i pracują w Polsce albo zagranicą, albo tu i tam. Niektórzy też zafascynowani Fellinim, jak Lech Majewski albo Grzegorz Królikiewicz (obaj mają w dorobku poświęcone mu książki). Mówią o niej Filip Bajon, Zbigniew Rybczyński, Jolanta Dylewska, Agnieszka Holland, Zbigniew Wichłacz, Mariusz Wilczyński, Sławomir Grúnberg, Gabriele Iacovone, Mitko Panov. I oczywiście reżyser Mariusz Grzegorzek, rektor Szkoły Filmowej, którego autorka ceniła jako twórcę filmowego. Opiekuje się jej dziedzictwem i co najważniejsze, doprowadził tę książkę do finału – jako współwydawca, współredaktor i inicjator przedsięwzięcia. Wspominają ją krytycy filmowi i dziennikarze: Tadeusz Sobolewski, Anette Insdorf, Grażyna Torbicka, Andrzej Kołodyński, ks. Andrzej Luter.

Przyrównałem książkę do bukietu, bo ma różnorodną, barwną, bogatą, często zaskakującą zawartość. Także oprawa graficzna autorstwa Małgorzaty Nowak i Agaty Dudek to dzieło samo w sobie. Wszystko, od okładki po liternictwo, przerywniki, a przede wszystkim liczne ilustracje, zostało przemyślane i konsekwentnie rozmieszczone zgodnie z zamysłem plastycznym, który zawartość merytoryczną

wzbogaca. Z wielu, bardzo wielu zamieszczonych w tej książce ilustracji mówi do nas i patrzy na nas Maria Kornatowska. Skupiona albo (najczęściej) roześmiana, rozbawiona, rozpromieniona, byśmy mieli ją taką, jaką pamiętamy. A kto jej nie znał, choć troszkę pozna ją dzięki tej książce.

Mieczysław Kuźmicki
historyk, filmoznawca

Seismograf duszy. Kino według Marii Kornatowskiej, wstęp, wybór i układ: Tadeusz Szczepański, współpraca redakcyjna: Marzena Bomanowska, Jarosław Czembrowski, Maciej Dowgieł, Mariusz Grzegorzek, Anna Maria Zarychta, Wyd. Biblioteki PWSFTViT w Łodzi i Muzeum Kinematografii w Łodzi, Łódź 2016.

Fot. materiały wydawnictwa

Jerzy Skrzepiński. Ostatni z wielkich

Scenografia to też sztuka

recenzje

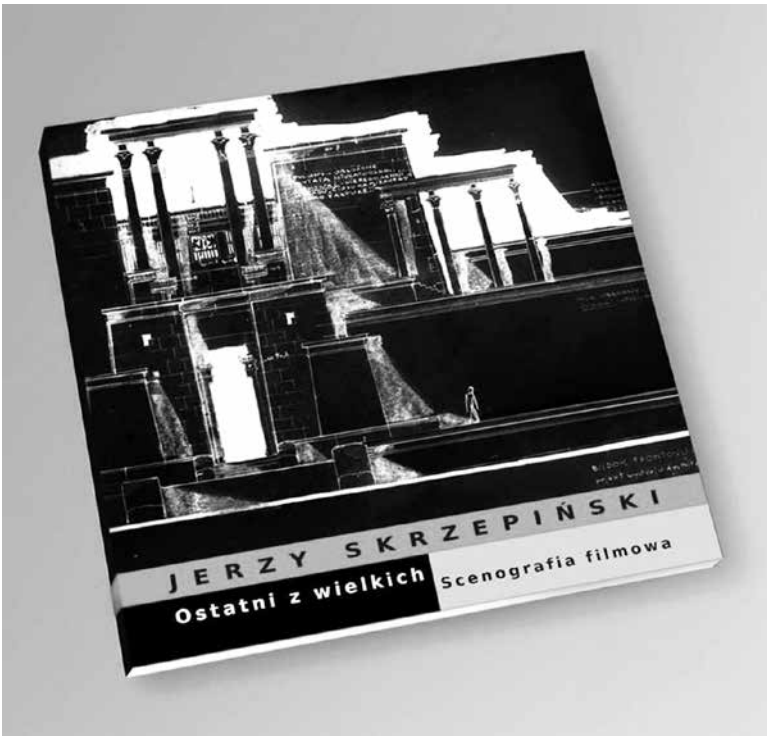
Muzeum Kinematografii konsekwentnie propaguje dokonania polskich scenografów filmowych. Po publikacjach, których bohaterami byli Anatol Radzinowicz, Roman Mann, Allan Starski i Bogdan Sölle, ukazała się książka poświęcona Jerzemu Skrzepińskiemu. Zatytułowana *Ostatni z wielkich*, jest efektem wystawy, którą otwarto w muzeum w październiku 2013 roku z okazji 90-lecia artysty.

Ostatni z wielkich... Kłopot w tym, że widzowie rzadko zwracają uwagę na autora scenografii, nawet w przypadku filmu, dla którego oceny właśnie strona wizualna jest szczególnie istotna. Zazwyczaj nazwiska scenografa nie ujawniają plakaty, a i recenzenci rzadko odnoszą się do jego pracy. Tym bardziej należy docenić popularyzatorskie starania Muzeum Kinematografii.

Dokonania Jerzego Skrzepińskiego w dziedzinie scenografii są ogromne. Pracował dla teatru telewizyjnego (*Rzecz listopadowa* Ernesta Brylla) i dla teatrów dramatycznych (Olsztyn, Łódź, Sosnowiec), a nawet serialu (*Kolumbowie*). Ale przede wszystkim współtworzył ponad 60 obrazów kinowych, w tym produkcje tej miary, co *Faraon* i *Austeria* Jerzego Kawalerowicza. Ma także na koncie *Vabank* Juliusza Machulskiego i *Akademii pana Kleksa* Gradowskiego, w których to filmach strona plastyczna była szczególnie istotna dla ich ostatecznej wymowy.

Jerzy Skrzepiński urodził się 9 września 1923 roku w Tuszynie pod Łodzią, wychował się na łódzkich Chojnach. Ukończył Szkołę Rysunku i Modelarstwa Szczepana Andrzejewskiego w Łodzi, studiował na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Choć studiów nie ukończył, zdobył umiejętności bardzo przydatne w zawodzie, do którego trafił trochę przez przypadek.

Uczył się od najwybitniejszych w polskiej kinematografii: Anatola Radzinowicza i Romana Manna. Bardzo szybko zaczął pracować na swój rachunek. Jako samodzielny scenograf zrealizował *Ziemię* (reż. Jerzy Zarzycki, 1956) i w tym samym roku *Zemstę* Antoniego Bohdziewiczza i Bohdana Korzeniewskiego oraz *Koniec nocy*, głośny film dyplomowy studentów łódzkiej szkoły filmowej. Czasem odpowiadał za dekorację wnętrz (np. *Pokolenie* Wajdy z 1954 roku) czy – obok scenografii – za kostiumy.



Książka przypomina artystyczną drogę Skrzepińskiego: od *Warszawskiej premiery* (1949/1950), o której mówi (wszystkie cytaty w tekście pochodzą z omawianej powyżej książki): „Tym obrazem rozpocząłem swój trwający prawie 60 lat romans z filmem”, aż po ostatni film w karierze (*Balanga* Łukasza Wylężałka z 1993 roku). Jak powstawała ta publikacja, piszą we wstępie jej redaktorzy: „[...] zbudowana jest w dużej mierze na podstawie relacji i wspomnień współpracowników i współuczestników tamtych działań, ale także o materiały archiwalne i dokumenty. Uzupełnione wspomnieniami i relacjami samego bohatera, wzbogacone szkicami omawiającymi jego wybrane najważniejsze albo najciekawsze dokonania składają się na monografię artysty”.

Ta trójczłonowość publikacji (szkice krytyczne, wypowiedzi ludzi kina o Jerzym Skrzepińskim oraz relacje jego samego z pracy nad filmami i wspomnienia o ludziach, z którymi się zetknął) została wzbogacona licznymi fotosami i zdjęciami roboczymi z produkcji oraz prywatnymi dokumentami bohatera książki. Całość dopełniają bardzo przydatne zestawienia dokonań artysty: realizacje filmowe i telewizyjne, wystawy, spektakle teatralne. Ciekawostką są reproduktowane rysunki Skrzepińskiego, które w latach 1969–1983 ukazywały się w miesięczniku „Barwy”. Na końcu książki zamieszczono bibliografię, w której – jak piszą autorzy książki – uwzględnione są wszyst-

kie dostępne materiały zawierające najkrótsze nawet wzmianki o Jerzym Skrzepińskim i jego pracy. I jest to najlepszy dowód na to, że o scenografach nie pisze się zbyt wiele.

W czasach, w których Skrzepiński pracował w przemyśle filmowym, w Polsce kino było „najważniejszą ze sztuk”. Wprawdzie powstawało zaledwie kilka filmów rocznie, ale nie szczędzono na nie pieniędzy. Zwłaszcza na wielkie produkcje, które także znalazły się w dorobku naszego bohatera.

Najczęściej i najchętniej pracował dla łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych. O swoich technicznych współpracownikach mówi: „Byli to wspaniali rzemieślnicy. Artyści. Pasjonaci, którym praca w filmie dawała pełne spełnienie: zawodowe i artystyczne. Tylko z takimi ludźmi było możliwe tworzenie sztuki”. I dalej: „Bo siłą WFF w Łodzi byli ludzie. Istniała dzięki tym, którzy tam pracowali, bo kochali film. Nie zawsze mieli wykształcenie, ale dużo wiedzieli i byli chłonni wiedzy”. Nic dziwnego, że tacy współpracownicy scenografa potrafili stworzyć wspaniałe rekwizyty, także do filmów historycznych. Skrzepiński twierdził, iż były „tak dokładnie wykonywane, że mogłyby nawet stać w muzeum”.

Za największą swoją filmową przygodę uważał pracę przy *Faraonie*. Dzięki temu filmowi trafił na długą dokumentację do Egiptu, zwiedził muzealne magazyny w Kairze i w Londynie, gdzie zrobił tysiące rysunków. Spędził także kilka miesięcy w Moskwie, bo sporo dekoracji powstawało w Mosfilmie. Część rekwizytów zrobiono w zakopiańskiej szkole Kenara – były znakomite. Warto przypomnieć, że monumentalna scenografia *Faraona* przyczyniła się do międzynarodowej kariery tego filmu i stała się jednym z największych osiągnięć polskiego scenografa (w 1967 roku film był nominowany do Oscara).

Nadzwyczaj interesujące są wspomnienia Jerzego Skrzepińskiego, na przykład opis niepowtarzalnej atmosfery, w której powstawał dyplom studencki *Koniec nocy* (1965) czy trudności przy realizacji *Białego niedźwiedzia* (reż. Jerzy Zarzycki, 1959), kiedy to na potrzeby filmu musiał wyczarować skrzypiący śnieg w środku lata (zrobił to przy użyciu ogromnych ilości waty i 40 worków z solą, po 50 kg każdy!). W żwirowisku między Tomaszowem a Piotrkowem stworzył prerię leżącą obok Gór Skalistych (*I ty zostaniesz Indianinem*, 1962), a do *Panienki z okienka* (reż. Maria Kaniewska, 1964) wybudował na łąkach leżących na łódzkim Lublinku gdańską ulicę Długą, zużywając na to kilkanaście ton cementu. A trzeba pamiętać, że był to towar reglamentowany i kupić go nie było wtedy łatwo. Na szczęście czarodziejskie słowo „film” otwierało wtedy wszystkie drzwi.

Rozdział zatytułowany *Jerzy Skrzepiński w relacjach, opowieściach, wspomnieniach i panegirykach reżyserów, operatorów, współpracowników* zawiera bardzo interesujące informacje o bohaterze książki. Elżbieta Czarnecka, współredaktor publikacji, przedtem kurator wystawy Skrzepińskiego z 2013 roku, wspomina go „od kuchni”. Dosłownie, bo pisze także o kulinarnych umiejętnościach artysty, którymi lubił zaskakiwać, ale także o jego zauroczeniu przyrodą i budzącym podziw stylu bycia

(nazywano go „elegancikiem”). Obszernie relacjonuje także swoje widzenie „Skrzepińskiego filmowego”, który potrafił nie tylko wykorzystywać wiedzę historyczną z danej epoki, ale ją jeszcze potwierdzał u profesorskich ekspertów; przy *Faraonie* na przykład konsultantem był znakomity znawca starożytnego Egiptu prof. Kazimierz Michałowski, a w filmie *Kopernik* wspierał Skrzepińskiego swoim autorytetem prof. Karol Estreicher.

Współpracę ze Skrzepińskim wspominają także operatorzy: Witold Sobociński, Jerzy Wójcik, Wiesław Zdort i reżyserzy: Bohdan Poręba, Krzysztof Gradowski, Andrzej Kostenko, Łukasz Wylężałek.

Czytelnikom szczególnie polecam krytyczne eseje, poświęcone twórczości scenograficznej Jerzego Skrzepińskiego. Jarosław Grzechowiak pisze o roli scenografii w sposobie przedstawienia młodzieży (*Końcu nocy* i *Balanga*); Michał Dondzik omawia filmowy kształt scenografii w filmach wojennych, Anna Michalska przygląda się pracy przy m.in. *Kolumbach*, *Vabanku*, *Austerii* i *Akademii pana Kleksa*, a Zygmunt Machwitz zajmuje się „filmową kreacją dawnego świata” w *Faraonie*. O tym filmie opowiada także sam Skrzepiński (jest to przedruk fragmentów z tekstu *Paradoksy filmowej scenografii* Mieczysława Kuźmickiego, zamieszczonego w „Biuletynie Informacyjnym Konserwatorów Dzieł Sztuki”).

Raz jeszcze warto podkreślić: połączenie esejów, wspomnień o bohaterze publikacji oraz jego własnych uwag na temat ludzi, z którymi się zetknął w pracy nad filmami, sprawia, że publikacja daje pełny, wielostronny obraz artysty i jego przez wiele lat budowanego dzieła. Bogaty materiał ilustracyjny, a przy okazji przypomnienie satyrycznych rysunków autorstwa Skrzepińskiego sprawia, że otrzymaliśmy wielostronny obraz człowieka – mówiąc językiem filmu – bardzo szerokiego planu.

Na koniec drobna pretensja do wydawcy: sporą niedogodnością jest brak w książce spisu treści, brakowało mi także informacji, skąd pochodzą zawarte w części pierwszej tomu wypowiedzi samego Skrzepińskiego i jego współpracowników. Odniesienia do źródeł są na szczęście obecne w części drugiej, w czterech krytycznych esejach omawiających różne aspekty twórczości scenograficznej Jerzego Skrzepińskiego.

I jeszcze jedno. Książka już została zauważona, znalazła się bowiem na liście wydarzeń nominowanych do tytułu Armatki Kultury, czyli „najbardziej wystrzałowego wydarzenia kulturalnego roku”. Choć nagrody nie uzyskała, ważne jest, że ją dostrzeżono. Jak najbardziej słusznie.

Maria Sondej
– dziennikarka

Jerzy Skrzepiński. Ostatni z wielkich. Scenografia filmowa, redakcja: Elżbieta Czarnecka, Mieczysław Kuźmicki, Wydawnictwo Skorpion oraz Stowarzyszenie Miłośników off Kultury SMok, Łódź – Warszawa 2015.

Murale, sztuka ulicy



serwacje wokół tej młodej, ale niezwykle ekspansywnie rozwijającej się działalności artystycznej. Książka *Doświadczenie sztuki w przestrzeni miejskiej. Galeria Urban Forms 2011–2013* ma znaczenie niebagatelne choćby z tego powodu, że jest pionierska. Jest więc w pewnym sensie jakby drugą, a może nieco inną stroną tej samej sztuki – sztuki ulicy, sztuki miejskiej. Warto w tym miejscu przytoczyć definicję przedmiotu badań i obserwacji, którą autorki książki Agnieszka Gralińska-Toborek i Wioletta Kazimierska-Jerzyk dają we wstępie: „Murale są obecnie [...] najbardziej wyrazistą formą wizualnej ingerencji w przestrzeni publicznej. Decydują o tym określone czynniki: są to prace wielkoformatowe, cechują się zwykle wysoką jakością, powstają w najbardziej ekspozycyjnych miejscach, wykonują je rozpoznawalni artyści tego gatunku sztuki [...]”

Bez nadmiernego rozgłosu medialnego ukazała się książka, która nie tylko próbuje opowiedzieć o malowidłach pokrywających ściany coraz liczniejszych budynków, ale też porządkuje stan wiedzy na temat tego zjawiska.

Powoli bowiem łódzkie ulice zaczynają zamieniać się w największą dostępną dla wszystkich galerię, w dodatku możliwą do oglądania przez 24 godziny na dobę, przy założeniu, że świecą wszystkie uliczne latarnie albo przynajmniej księżyc.

Galeria Urban Forms, od 2011 roku zajmująca się tworzeniem naściennych malowideł zwanych muralami, postanowiła udostępnić naukowe rozważania i ob-

recenzje



To ważne uściślenie, nie każde bowiem malowidło może dostąpić zaszczytu zaliczenia go do ekskluzywnego, jak się okazuje również za sprawą lektury książki, kręgu murali.

Murale w tej właśnie postaci, jako obiekty zaliczane do sztuki wysokiej, pojawiły się w Łodzi stosunkowo niedawno (początki tego zjawiska sięgają 2009 roku), ale jest ich coraz więcej, obecnie, w połowie 2016 roku, już 60. Książka skupia się na nieco wcześniejszych realizacjach, prezentując i opisując mniej więcej połowę z nich.

Najpierw więc dają autorki wprowadzenie w problematykę sztuki silnie obecnej w przestrzeniach publicznych dużych miast, często więc nazywanej sztuką miejską. Wprowadzenie to również problemy z definiowaniem, określaniem przynależności gatunkowej takich działań, np. graffiti traktowane tutaj jako opozycyjne w stosunku do street artu. Autorki zwracają uwagę na swoistą dychotomię sztuki ulicy. Jak piszą, jest to „nielegalna, anonimowa, amatorska, przekraczająca granice, wolna aktywność o charakterze wizualnej interwencji; z drugiej – uładzona, wyspecjalizowana, nastawiona na efekt artystyczny sztuka dopasowana do potrzeb odbiorcy i mecenasa”. W rzeczywistości jednak artyści najczęściej balansują pomiędzy tymi modelami.

Konkluzję rozważań najlepiej oddaje jeszcze jeden fragment książki: „[...] obecnie w street artcie najważniejszym elementem jest swoboda ekspresji i chęć społecznego współdziałania, a nie modernistyczno-awangardowa idea autonomii sztuki [...] Street art zaczyna być rozumiany jako sztuka, która nie jest przeciwko komuś, ale dla kogoś. Nie ma wątpliwości, że obecność street artu i graffiti w przestrzeni publicznej już dawno została oswojona przez publiczność, bez względu na to, czy prace są legalne, czy nie”.

Jak wynika z dalszych rozważań, a przede wszystkim obszernych aneksów, sztuka ulicy została nie tylko oswojona, ale w dużej mierze zaakceptowana.

Zjawisku zakorzeniania się w świadomości społecznej tej sztuki, ciągle obecnej i postrzeganej w najbliższym otoczeniu odbiorców, poświęcony został pierwszy z aneksów, zatytułowany *Impresje*.

To katalog łódzkich realizacji z lat 2011–13. Czytelnik dostaje więc fotograficzny barwny obraz konkretnego muralu (często uzupełniony o wybrane detale i fragmenty) z podanym nazwiskiem (częściej pseudonimem) autora, tytułem dzieła i adresem, pod którym ono się znajduje. Z jednym wyjątkiem, ponieważ praca zatytułowana *Gra* (autor Ryho Paprocki) wykonana została w 2013 roku bezpośrednio na płytach chodnikowych w środkowej części pasażu Schillera i dzisiaj już nie istnieje. Więc jej obecność w tym katalogu w taki przynajmniej sposób ocala ją dla historii.

Każdy prezentowany mural został też opatrzony swoistym obszernym komentarzem złożonym z fragmentów wypowiedzi przypadkowych obserwatorów zgromadzonych pod konkretnym obiektem, których udało się namówić na dłuższą rozmowę. I te wypowiedzi są chyba najciekawszą częścią książki. Zresztą, jak to zostało napisane, właśnie te impresyjne „pierwsze wrażenia” odbiorców stały się impulsem do jej powstania. Autorki wraz z zespołem badaczy zwróciły się do wielu odbiorców o podzielenie się refleksjami na temat oglądanych malowideł. Z tych wypowiedzi zbudowany został pewien rodzaj narracji towarzyszącej konkretnym dziełom. „To jest sztuka, którą widać od razu”, „Sztuka nie musi być nikomu potrzebna – ona po prostu jest”, „Podobają mi się zarówno murale przedstawiające, jak i abstrakcyjne”, „Szczególnie w Łodzi, w miejscu, gdzie mamy szarą rzeczywistość, takie rzeczy rozświetlają”, „Są murale, gdzie jest bardzo dużo farby. A tu trzeba się przyjrzeć i zastanowić, co artysta chciał wyrazić. Każdy niech sobie kojarzy, z czym chce, i to po swojemu ocenia” – wybrałem przypadkowo kilka zaledwie krótkich, zwięzłych opinii, które jednak wyraźnie pokazują, że odbiorcy są „za”



że zaakceptowali obecność malowideł w swoim otoczeniu. I jeszcze jedna opinia warta nie tylko przytoczenia, ale może dałoby się ją wziąć na sztandary przez tych Łodzian, którym nie jest obojętny wygląd ich miasta: „Murale w mieście, ale reklamy poza miastem”.

Drugi aneks poświęcony został wynikom jakościowym przeprowadzonych badań. Daje precyzyjne wyliczenia, ilu respondentów uczestniczyło i wypowiadało się na temat poszczególnych murali, do jakich kategorii należą itd. Z punktu widzenia przeciętnego odbiorcy ważna może być informacja, że zdecydowana większość uczestników badań – 90 procent – określiła murale mianem „sztuki dobrej/wspaniałej” oraz zaakceptowała ich realizację, umieszczając je w kategorii „dobrej inwestycji”. Również na pytanie „Mural zdobi czy szpeci?” uzyskano prawie 94 procent odpowiedzi pozytywnych.

Swoje rozważania autorki kończą bardzo pojemną metaforą „skóry miasta”, za którą można uznać ściany budynków. Jeśli więc ściany są skórą, murale mogą być czymś dodanym dla podkreślenia jej gładkości, biżuterią albo kosmetyką, tatuażem. Z kolei te powstające na ścianach nieodnowionych budynków przyrównują autorki do lekarstwa czy plastrów zasłaniających rany i zdrapania.

Jeszcze jedna ważna konkluzja: mural, w przeciwieństwie do klasycznych metod zewnętrznych zdobień, takich jak freski, sgraffito, mozaiki, jest wykonany technikami tanimi, więc mało trwałymi. W założeniu nie przetrwa zbyt długo, czego świadomi są również twórcy. Ale ma on swoje osobne życie. To internet, obecność w sieci na rozlicznych portalach i galeriach, które sprawiają, że dzieła te mają od momentu narodzin podwójne trwanie – realne i wirtualne. To drugie z pewnością dłuższe, z nieporównanie większą liczbą odbiorców.

Dobrze się stało, że taka książka powstała. Otrzymujemy oto wszechstronny obraz czegoś, co w naszej przestrzeni jest nowe, niedostatecznie opisane i oswojone. Autorki są pracownicami naukowymi w Katedrze Etyki Instytutu Filozofii UŁ, zajmują się historią sztuki, estetyką. Ich pasja, połączona oczywiście z zaangażowaniem wydawcy, przyniosła cenną, pionierską pozycję bibliograficzną do dziejów sztuki w naszym mieście. Ważną także dla historii sztuki powszechnej, bo książka jest dwujęzyczna, polsko-angielska, i ma znacznie większe szanse trafić do wielu zainteresowanych na całym świecie.

*Mieczysław Kuźmicki
– historyk, filmoznawca*

Agnieszka Gralińska-Toborek, Wioletta Kazimierska-Jerzyk, *Doświadczenie sztuki w przestrzeni miejskiej. Galeria Urban Forms 2011–2013*, wyd. Fundacja Urban Forms, Łódź 2014.

Fot. materiały wydawcy

osiedla, domy, ulice

Kopcińskiego

Dawniej Zagajnikowa

Dariusz Kędzierski

str. 197

Kopcińskiego

Dawniej Zagajnikowa

Ulica swój początek bierze od ronda Solidarności. Nie możemy tutaj mówić o klasycznym rondzie. To jest raczej układ skrzyżowań, który kanalizuje ruch do poszczególnych ulic.

Lekarz, socjalista, senator

Patronem ulicy jest Stefan Kopciński. Urodził się na Kielecczyźnie w 1878 roku. W Kielcach uczęszczał do gimnazjum, w Warszawie natomiast studiował medycynę. W trakcie studiów angażował się w działalność patriotyczną nielegalnych organizacji studenckich, za co był aresztowany. Po ukończeniu studiów medycznych pracował jako lekarz psychiatra. W tym czasie staje się również społecznikiem, za pomoc udzielaną działaczom lewicy zostaje „zesłany” przez władze carskie do pracy w szpitalu pod Smoleńskiem. Po dwóch latach wraca do Polski i obejmuje posadę ordynatora w szpitalu psychiatrycznym w Kochanówce koło Łodzi. Po wybuchu pierwszej wojny światowej ponownie zostaje zesłany w głąb Rosji. Po zakończeniu wojny Kopciński wraca do Łodzi, lecz rezygnuje z pracy lekarskiej. Podejmuje działania społeczne oraz angażuje się w politykę.

To głównie dzięki jego aktywności w łódzkiej Radzie Miejskiej w ciągu trzech lat udało się w wyniszczonych działaniami wojennymi i rozgrabionej przez okupanta Łodzi zrealizować rządowe hasło: „Dla każdego dziecka jest miejsce w szkole”. Kopciński przyczynił się do powstania nowych placówek oświatowych, organizował sieć bibliotek, a także kursy dla dorosłych analfabetów.

W 1922 roku z listy łódzkiej organizacji Polskiej Partii Socjalistycznej zostaje wybrany do senatu. Funkcję senatora pełni przez trzy kadencje, aż do śmierci w 1934 roku. Jako senator bronił szkoły i nauczycieli, uważając oświatę za najważniejszy czynnik walki z zacofaniem. Był inicjatorem powołania Polskiego Towarzystwa Robotniczego, a także warszawskiego Teatru Ateneum.

Kościół dwojga patronów

Przy rondzie Solidarności naszą uwagę zwraca kościół pw. św. Teresy od Dzieciątka Jezus i św. Jana Bosko oraz imponująca kopia tej świątyni. Wcześniej w tym miejscu znajdował się mały drewniany kościółek, który powstał z materiałów porozbiórkowych z innej drewnianej świątyni w parafii św. Wojciecha. Był to skromny jednonawowy



budynek z wysokim dachem i niezbyt wysoką wieżą. Świątynia poświęcona została w październiku 1927 roku. Parafię obsługiwana przez księży salezjanów erygował w lipcu 1928 roku pierwszy biskup łódzki Wincenty Tymieniecki. Natomiast budowa obecnej okazałej świątyni rozpoczęła się w kwietniu 1950 roku. Projektantami kościoła byli znani architekci Józef i Witold Korscy, autorzy m.in. gmachów Sadu Okręgowego i Teatru Wielkiego w Łodzi. We wrześniu 1951 roku biskup Michał Klepacz dokonał poświęcenia kamienia węgielnego. Budynek został wzniesiony na planie krzyża greckiego. Charakterystycznym elementem kościoła jest wieńcząca bryłę ogromna kopuła o średnicy 23 m, którą otaczają cztery mniejsze kopuły. Podstawa kościoła ma wymiary 50 x 50 m, wysokość mierzona od podstawy do końca krzyża na kopule wynosi natomiast 64 m. Prace nad świątynią ukończone zostały w 1963 roku, a poświęcenia kościoła dokonał ksiądz Aleksander Drozd. Konsekracja miała miejsce w styczniu 1989 roku i dokonał jej biskup Władysław Ziółek.

Patronka kościoła, św. Teresa od Dzieciątka Jezus chciała być świętą i jej pragnienie się spełniło; w 1997 roku, 100 lat po jej śmierci, Jan Paweł II ogłosił ją doktorem Kościoła. Żyła tylko 24 lata. Po trzymiesięcznej chorobie zmarła na gruźlicę. Wcześniej dziewięć lat spędziła w klasztorze we Francji. Swoje życie poświęciła Bogu i modlitwie za grzeszników. Drugi z patronów, św. Jan Bosko, był Włochem, twórcą zakonu salezjanów i wychowawcą młodzieży, głównie biednych i zaniedbanych chłopców. Pierwszymi salezjanami i pierwszymi wychowawcami w zakonie byli jego wychowankowie. Oficjalne zatwierdzenie zgromadzenia miało miejsce w 1884 roku

przez papieża Leona XIII. Święty Jan Bosko urodził się w 1815 roku, zmarł w 1888. Papież Pius XI dokonał jego beatyfikacji w 1929 roku.

Kościół ten skupia wiele wspólnot, między innymi pięć wspólnot neokatechumenalnych, dwie wspólnoty odnowy w Duchu Świętym, Ruch Światło-Życie, Przyjaciół św. Teresy, Oratorium św. Jana Bosko, Duszpasterstwo Akademickie „Węzeł”, wreszcie Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej.

Łódzka „wieża Babel”

Nieco dalej, przy Kopcińskiego 16/18, góruje budynek Centrum Szkoleniowo-Konferencyjnego Uniwersytetu Łódzkiego. Taka jest obecna funkcja tego obiektu, ale pierwotnie miał on zupełnie inne przeznaczenie. Mieściło się tu SJPdC, czyli Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców. W tym miejscu w latach 1961–1963 powstały dwa budynki, z których jeden został przeznaczony na akademik, w drugim zaś znajdowały się sale dydaktyczne, biblioteka oraz stołówka dla studentów i wykładowców. Powstanie studium było odpowiedzią na apel Organizacji Narodów Zjednoczonych o pomoc edukacyjną dla krajów rozwijających się. Łódzkie studium, zwane niegdyś przez mieszkańców „łódzką wieżą Babel”, jest najstarszą taką placówką edukacyjną w Polsce. Powstało w 1952 roku, a do końca lat 70. ubiegłego wieku było jedynym miejscem w kraju, gdzie przygotowywano zagraniczną młodzież do studiowania w Polsce. Od początku istnienia studium do końca lat 80. o przyjęciu decydowały czynniki polityczne, a podstawowym kryterium była orientacja polityczna kraju pochodzenia studenta. Pierwszymi przybywającymi tu studentami była młodzież z Korei Północnej,

osiedla, domy, ulice





Chin i Wietnamu. Zanim powstały budynki przy Kopcińskiego, zajęcia odbywały się przy Worcella 6/8 (obecnie ks. Ignacego Skorupki), Czerwonej 3 oraz Kopernika 55. Do tej pory w studium kształciła się młodzież ze 155 krajów. Średnio w roku kształciło się tu około 400 studentów.

Szpital Kasy Chorych, czyli Barlickiego

Na rogu Narutowicza i Kopcińskiego znajduje się szpital im. Norberta Barlickiego. W okresie międzywojennym w Polsce podjęto próbę stworzenia nowoczesnego systemu opieki zdrowotnej poprzez utworzenie Kas Chorych. Dla łódzkiej Kasy Chorych w sytuacji permanentnego niedoboru łóżek priorytetem stało się wybudowanie odpowiednio dużego obiektu szpitalnego. W tym celu na działce przy ulicy Kopcińskiego, obok Narutowicza, powstał trzypiętrowy monumentalny gmach w kształcie litery U. Szpital posiadał siedem oddziałów i mieścił 635 łóżek. Był bardzo dobrze wyposażony. Zastosowano w nim wiele wówczas nowoczesnych technologii i rozwiązań. Projektantem gmachu był znany architekt miejski Wiesław Lisowski. Oddanie do użytku nowej placówki medycznej miało miejsce w 1930 roku, a otwarcia dokonał prezydent RP Ignacy Mościcki. Jeszcze w latach 30. ubiegłego wieku na samym rogu Narutowicza i Kopcińskiego Wiesław Lisowski zaprojektował budynek mieszkalny, specjalnie dla lekarzy tego szpitala. Po jakimś czasie budynek został połączony ze szpitalem i obecnie stanowi jego część.

Osiedle oficerskie

Po pierwszej wojnie światowej brakowało w Łodzi mieszkań o podwyższonym standardzie dla funkcjonariuszy oraz urzędników wojskowych i ich rodzin. Celem wypełnienia tej luki łódzki architekt miejski Wiesław Lisowski zaprojektował kolonię oficerską. Wzorował się na powstającym w Warszawie osiedlu Żoliborz Oficerski. Przy ulicy Zagajnikowej (obecnej Kopcińskiego) stanął zespół bliźniaczych wielorodzinnych domów otoczonych zielenią. Wtedy Zagajnikowa była cichą ulicą peryferyjną. Teraz domy te znajdują się przy bardzo ruchliwej arterii, jaką jest ulica Kopcińskiego. Mieszkania ulokowane na parterze miały wyjście do ogrodu. Obecnie, po poszerzeniu ulicy, ogrodów frontowych już nie ma, gdyż zostały wchłonięte na potrzeby przelotowej trasy. Środki na budowę domów pochodziły ze Spółdzielczego Towarzystwa Budowy Domów dla Oficerów. Osiedle nawiązywało do popularnego w latach 20. ubiegłego wieku stylu dworkowego, z gankami i kolumnami zwieńczonymi szczytem oraz dachami czterospadowymi z lukarnami. Na każdym z dwóch poziomów znajdowały się klatki schodowe, którymi wchodziło się do położonych symetrycznie lokali, po około 60 m² każdy. Mieszkania były nowoczesne, każde miało łazienkę, kuchnię, kanalizację, pomieszczenia magazynowe, a w niektórych przypadkach nawet garaż. Obecnie mieszkania często zostały scalone, aby powiększyć ich powierzchnię użytkową. Zachowały się też elementy pierwotnego wyposażenia: balustrady, detale klatek schodowych oraz drewniane podłogi.

Park 3 Maja

Nieco dalej, obok osiedla, znajduje się park. Powstał na terenie obrębu leśnego Zagajniki oraz dawnego lasu miejskiego, który był pozostałością Puszczy Łódzkiej. W czasie pierwszej wojny światowej duża część drzewostanu została wycięta przez pozbawioną opału ludność miasta. Po odzyskaniu niepodległości na bazie zachowanego drzewostanu urządzono park na nowo, jego projektantem był Leon Kołaczkowski. W 1922 roku według projektu Eugeniusza Ciszewicza przeprowadzono roboty niwelacyjne. W części środkowej parku zaprojektowano boisko dla młodzieży, z którego korzystały również towarzystwa sportowe, tu także odbył się zlot Harcerstwa Polskiego. Od 1923 roku aż do wybuchu drugiej wojny światowej na terenie parku organizowane były letnie półkolonie. W kolejnych latach powstał tu niewielki sztuczny staw, a w 1931 roku ogrodnik-architekt Stefan Rogowicz zaprojektował ogródek jordanowski i plac zabaw dla młodzieży szkolnej. Po drugiej wojnie światowej, w 1955 roku, rozbudowano urządzenia sportowe, powstał również nasyp pod trybuny boiska. Prace te spowodowały konieczność wycięcia ponad setki dużych dębów. Obecny drzewostan to głównie dęby, brzozy, klony, topole. Krzewy to berberysy, śnieguliczki, lilaki i tawuły.

Szkoła im. Józefa Piłsudskiego

Przy Kopcińskiego pod numerem 54 znajduje się najstarszy budynek szkolny w mieście. Ten okazały gmach został wzniesiony w 1922 roku według projektu architekta Wacława

Kowalewskiego w klimacie tzw. romantyzmu narodowego. Budynek został poświęcony przez ówczesnego biskupa Wincentego Tymienieckiego. Na ścianie frontowej została wmurowana tablica z napisem: „W czwartym roku wskrzeszenia Niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej łódzki samorząd robotniczy wznosił ten gmach szkolny i poświęcił go dzieciom m. Łodzi. Oby z was wyrosli dzielni obywatele państwa, świadomi swych praw i obowiązków”. Z informacji zawartej w „Dzienniku Zarządu Miasta Łodzi” z października 1922 roku wynika, że szkoła otrzymała imię marszałka Józefa Piłsudskiego. Obecnie mieści się tu Publiczne Gimnazjum nr 28.

Fabryka Dziembora i Niedźwiedzińskiego

Pod numerem 73/75 naszą uwagę zwraca „unowocześniony” dawny budynek pofabryczny. Historia tego obiektu sięga roku 1912, kiedy to dwaj wspólnicy, Henryk Dziembor i Józef Niedźwiedziński, kupili w tym miejscu parcelę od Karoliny Millauer. Wcześniej, tj. od 1905 roku, obaj wspólnicy prowadzili przy ulicy Próchnika niewielką firmę produkującą wyroby bawełniane. W nowym miejscu w latach 1913–1914 postawili fabrykę trykotów. Około 10 lat później spółka została rozwiązana, a fabryka podzielona na dwie części. Jeden ze współwłaścicieli, Józef Niedźwiedziński, zmarł dwa dni po podziale nieruchomości. Od tego czasu w jednym budynku funkcjonowały dwa zakłady o tym samym profilu produkcji. Jeden należał do Henryka Dziembora, drugi był własnością spadkobierców Niedźwiedzińskiego. Henryk Dziembor zmarł w 1932 roku, a ponieważ był kawalerem, właścicielami firmy stali się dalsi krewni, w których imieniu fabryką kierował wyznaczony prokurent. Kilka lat później nieruchomość została sprzedana,



a nowy właściciel wydzierżawił budynek na skład piwa oraz wytwórnię wód gazowanych i lemoniady. Po drugiej wojnie światowej w budynku mieściły się magazyny Państwowej Centrali Handlowej. W latach 90. właścicielem budynku stała się firma HAMMERmed zajmująca się dystrybucją innowacyjnego sprzętu medycznego. Nowy inwestor nadał obiektowi inne przeznaczenie, lokując w tym miejscu nowoczesną powierzchnię biurową. Obiekt został gruntownie zmodernizowany. Wysiłek włożony w odnowienie zabytku został doceniony i podczas uroczystej gali na Zamku Królewskim w Warszawie firma HAMMERmed mogła się cieszyć, odbierając nagrodę XV Ogólnopolskiego Konkursu „Modernizacja Roku 2010” w kategorii „Obiekty użyteczności publicznej”. Obecnie w dawnej fabryce Dziembora i Niedźwiedzińskiego ma swoją siedzibę łódzki oddział ING Bank Śląski.

Łódzcy adwentyści

Przy Kopcińskiego 67 znajduje się Kościół Adwentystów Dnia Siódmego. Pierwsi adwentyści przybyli do Łodzi w 1893 roku z Wołynia. Ruch stał się szczególnie popularny wśród ludności pochodzenia niemieckiego. Pierwszy zbor założono w 1894 roku. W chwili wybuchu pierwszej wojny światowej liczył 60 osób. W latach 1922–1926 łódzka wspólnota miała już pierwszego w Polsce zarejestrowanego duchownego adwentyścycznego. Po zakończeniu drugiej wojny światowej, w 1946 roku, adwentyści polscy uznani zostali za publicznoprawny związek religijny. W tym czasie zbor stanowiła już ludność wyłącznie pochodzenia polskiego. Z biegiem czasu, wraz z powiększaniem się wspólnoty adwentystów, powołano nowe zbory, przy ulicy Więckowskiego, Płockiej oraz w Zgierzu. W połowie lat 90. ubiegłego wieku w Łodzi było około 300 adwentystów. Najbardziej znanym obiektem Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego jest budynek przy Kopcińskiego 67, użytkowany przez członków zboru od 1960 roku. To dawna posesja włókiennika zakupiona przez wspólnotę i zaadaptowana na jej potrzeby. Adwentyści duży nacisk kładą na propagowanie zdrowego stylu życia, prowadzą skuteczną walkę z alkoholizmem, nikotynizmem i narkomanią. Organizują otwarte dla wszystkich szkolenia dotyczące zdrowego odżywiania, w tym kuchni i diety wegetariańskiej.

Monopolis

Na końcu ulicy, u zbiegu z aleją Marszałka Józefa Piłsudskiego, znajdowały się zakłady spirytusowe. Były to zakłady Monopolu Wódczanego w Łodzi. Ich historia sięga 1897 roku, kiedy to rosyjskie Ministerstwo Skarbu zakupiło działki od magistratu celem postawienia zakładów produkujących wyroby spirytusowe. Projektantem kompleksu budynków, nawiązujących do architektury barokowej był Franciszek Chełmiński. W latach 1902–1919 działała tu rządowa rozlewnia wódek i spirytusu. W czasie pierwszej wojny światowej fabryka przeszła pod zarząd magistratu, produkcję poszerzono o wyroby tytoniowe, utworzono tu również szkołę, przytułek, a nawet... prosektorium. W 1920 roku fabryka ponownie stała się własnością państwa i funkcjonowała jako Państwowa

Wytwórnia Wódek. Produkcję wyrobów tytoniowych natomiast przeniesiono na ulicę Kopernika. W czasie drugiej wojny światowej Niemcy w ograniczonym zakresie utrzymali produkcję, utworzyli tu również magazyn z żywnością.

Po wojnie profil produkcji nie został zmieniony, a w ostatnich latach swojego istnienia zakłady funkcjonowały pod nazwą Łódzkie Zakłady Przemysłu Spirytusowego Polmos. I tak było do 27 kwietnia 2007 roku, kiedy to z linii produkcyjnej zjechała ostatnia butelka wódki. W okresie największej świetności produkowano tu miesięcznie około milion butelek wódek czystych i gatunkowych, m.in. Delikatesową, Klubową i Pieprzówkę. Na kilku liniach produkcyjnych miało tu pracę ponad 600 osób. Zakłady popadły jednak w zadłużenie. Kupił je na licytacji prywatny inwestor, który po-fabryczne budynki zrewitalizował i otworzył w tym miejscu centrum biurowo-handlowe pod nazwą Monopolis. Tylko więc ta nazwa nawiązuje dziś do dawnej historii tego historycznego już obiektu.

Dariusz Kędziński
– filmowiec, publicysta

Bibliografia:

1. Budziarek M., *Świątynie Łodzi*, Wydawnictwo Piątek Trzynastego, Łódź 2005.
2. Konicki Z., *Ulice Łodzi. Ulice w szachownicę*, Wyd. Wojciech Grochowalski, Łódź 1995.
3. Kusiński J, Bonisławski R, Janik M., *Księga Fabryk Łodzi*, Jacek Kusiński, Łódź 2010.
4. „Kronika Miasta Łodzi”, 2008 nr 1.
5. *Parki Łodzi*, red. Mowszowicz J., Łódzkie Towarzystwo Naukowe.
6. Pawlak W., *Na łódzkim bruku*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986.
7. http://lodz.naszemiasto.pl/arttykul/osiedle-oficerskie,2857566,art,t,id,tm.html?przekierowanie_mm=1
8. <http://www.polskaniezwykla.pl/web/place/975,lodz-zaklady-przemyslu-spirytusowego-polmos.html>
9. <http://gim28.szkoły.lodz.pl/szkola.htm>
10. <http://zsp15.lds.pl/o-szkole/patron/>
11. <http://bazhum.muzhp.pl/media/files/Acta>

Fot. S. Glapiński, UML

Z łódzkiego raptularza

KWIECIEŃ 2016

z łódzkiego raptularza

2 kwietnia

- Rozpoczął się XXII Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych. Zainaugurował go spektakl pt.: *Francuzi* w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego, oparty na powieści *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta. Warlikowskiemu była też poświęcona wystawa w Monopolis oraz spotkanie z widzami i dziennikarzami z zagranicy, którzy kibicują artyście. W Teatrze Powszechnym można było zobaczyć jeszcze *Kruma* w reżyserii Warlikowskiego oraz dwie premiery: *Miarka za miarkę* Szekspira w reżyserii Pawła Szkotaka i *Tango Łódź* Radosława Paczochy – panoramiczny portret naszego miasta w reżyserii Adama Orzechowskiego.
- Córka Juliana Tuwima, Ewa Tuwim-Woźniak, jako członek zarządu Fundacji im. Juliana Tuwima i Ireny Tuwim zaapelowała do władz miasta o usunięcie inspirowanej jednym z wierszy poety płaskorzeźby zwanej „dupą Tuwima”. Od usunięcia rzeźby zarząd Fundacji uzależnia wydanie zgody na ustawienie w mieście rzeźb przedstawiających postacie z wierszy Tuwima dla dzieci. Autor pomysłu Suavas Lewy i autor rzeźby Andrzej Czapliński zapowiadają, że rzeźby umieszczonej na prywatnym podwórku przy ulicy Piotrkowskiej 101 nie usuną, gdyż nikogo nie powinna ona gorszyć i symbolizuje jedynie ironiczny dystans, jaki poeta potrafił żywić wobec świata i siebie.

5 kwietnia

- Prof. Tomasz Krysiński, został uhonorowany tytułem Wybitny Polak we Francji. Krysiński to Łódzianin, któremu udało się zrobić karierę za granicą. Od 1982 roku mieszka i pracuje we Francji. Jest naukowcem związanym z przemysłem lotniczym, pracuje m.in. nad nowymi śmigłowcami. W 2014 roku został wiceprezydentem firmy Airbus Helicopters i założył w Łodzi Biuro Studiów i Rozwoju Koncernu.
- Zgodnie z przyjętą przez Sejm RP ustawą dekomunizacyjną samorządy mają obowiązek zmienić nazwy ulic, których patronami są postacie lub organizacje

związane ideowo z okresem komunistycznym. W Łodzi Instytut Pamięci Narodowej wystawił opinie na temat zmiany ulicy Salomona Jaszuńskiego, Michaliny Tatarówny-Majkowskiej, Szymona Harnama i Gwardii Ludowej. Zgodnie z ustawą zmiana nazw ulic nie powinna się wiązać ze zmianą dokumentów mieszkańców, ten akt prawny budzi jednak kontrowersje.

8 kwietnia

- W Centrum Dialogu im. Marka Edelmana odbyło się spotkanie z Joanną Fabicką, autorką książki pod tytułem *Rutka*, opowiadającej o przyjaźni dwóch dziewczynek mieszkających na Bałutach podczas ostatniej wojny. Rutka to żydowskie dziecko, którego rodziców ze stacji Radegast wysłano na zagładę. Książka nie operuje słownictwem Holokaustu, ani raz nie padają w niej słowa „getto” i „wojna”.
- Rada Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego podjęła uchwałę, w której zażądała od premier Beaty Szydło natychmiastowego opublikowania wyroku Trybunału Konstytucyjnego z dnia 9 marca. „Uporczywe odmawianie opublikowania publikacji godzi w porządek prawny Rzeczypospolitej Polskiej i stanowi naruszenie Konstytucji” – piszą naukowcy.

9 kwietnia

- Łodzianie mają coraz więcej okazji do obejrzenia filmów w atrakcyjnych warunkach. W czasie Transatlantyk Festival w pasażu Schillera odbywały się projekcje filmowe wraz ze śniadaniem w cenie 15 złotych. Natomiast kino Bodo i Stare Kino Cinema Residence organizują specjalne seanse dla fundacji Swim for a Dream. Cały dochód z biletów przeznaczony jest na pomoc dla ubogich rodzin, którymi opiekuje się fundacja.
- W Teatrze Studyjnym wystawiono *Laleczkę Tennessee Williamsa* w przekładzie, adaptacji i reżyserii Jacka Poniedziałka. Jest to przedstawienie dyplomowe studentów Wydziału Aktorskiego Łódzkiej Filmówki. Sztuka opowiada o prostych ludziach żyjących na granicy biedy, o ich problemach, patologii, marzeniach i tęsknotach.

13 kwietnia

- Andrzej Gieraga, malarz, grafik i rysownik, wieloletni pedagog Akademii Sztuk Pięknych, otworzył w Muzeum Miasta Łodzi retrospektywną wystawę swojej twórczości. Na trwającej dwa miesiące ekspozycji można było zobaczyć najlepsze prace artysty – od czarno-białych obrazów z lat 70. XX wieku po małe formy graficzne i najnowsze geometryczne dzieła z 2016 roku

14 kwietnia

- „Historię tworzą ludzie” – pod takim tytułem Łódzki Oddział Instytutu Pamięci Narodowej, Towarzystwo Historiograficzne i Katedra Historii Historiografii i Nauk Pomocniczych Historii UŁ zorganizowały sesję naukową. Uczestnicy sesji dzielili się swymi doświadczeniami z badań, dostępem do archiwów oraz spostrzeżeniami na temat sytuacji na rynku wydawniczym. Dyskutanci próbowali znaleźć odpowiedź na pytanie, czym różni się biografistyka popularna, uprawiana np. w wydawnictwach „Kroniki Miasta Łodzi”, od biografistyki naukowej.
- Centrum Dialogu im. Marka Edelmana, Transatlantyk Festival oraz Fundacja Przestrzeń Wspólna zaprosili na przegląd filmów poświęcony sytuacji uchodźców w Europie. Po projekcjach dyskutowano z Syryjką Karimą Kanjo, która od trzech lat mieszka i pracuje w Polsce.
- Łodzianki z Kolektynu Kobiety znad Łódki zauważyły, że w centrum Łodzi nie ma ani jednej ulicy, której patronem byłaby kobieta. Zaproponowały więc nadanie nowym pasażom i ulicom imion zasłużonych kobiet związanych z naszym miastem. Proponują uhonorować m.in. Irenę Tuwim (pisarkę i tłumaczkę), Alinę Szapocznikow (słynną awangardową rzeźbiarkę), a także Chawę Rosenfarb (rodowitą łodziankę, autorkę powieści pisanych w jidysz i poświęconych przeważnie Łodzi).

18 kwietnia

- W sali konferencyjnej Instytutu Europejskiego w Łodzi odbyła się uroczysta gala wręczenia Krzyża Wolności i Solidarności. W imieniu prezydenta Andrzeja Dudy odznaczenia wręczył prezes Instytutu Pamięci Narodowej dr Łukasz Kamiński. Otrzymali je: Rajmund Bielecki, Stefan Borysewicz, Krzysztof Bronowski, Jan Brzozowski, Longin Chlebowski, Marek Cieślak, Benedykt Czuma, Tomasz Filipczak, Jerzy Friedrich, Roman Furmaniak, Wojciech Gędek, Adam Głowacki, Ewa Juszek-Pałubska, Roman Kopycki, Gabriela Krauze, Stefan Łyszczak, Marian Miszalski, Zbigniew Mroziński, Jerzy Nagórski, Jerzy Najdowski, Iwona Olejniczak, Edward Olszewski, Jerzy Pawlak, Antoni Pietkiewicz, Andrzej Rojkowski, Zbigniew Rokicki, Andrzej Rożniata, Tadeusz Stefanowski, Wojciech Szczeciński, Stanisław Szubert, Grzegorz Walczak, Ryszard Wędrychowicz, Marek Woźniak, Witold Wujkowski, Ryszard Wyczachowski, Władysława Zbrońska, Klemens Zbroński, Jan Żóraw oraz pośmiertnie: Eugeniusz Cieciorowski, Wiktor Dratwa, Zygmunt Jędrzejczak, Marek Otto, Jerzy Scheur, Barbara Szafran.
- Krzyż Wolności i Solidarności został ustanowiony przez parlament Rzeczypospolitej Polskiej 5 sierpnia 2010 roku, równocześnie z aktem restytucji Krzyża Niepodległości, do którego chlubnych tradycji nawiązuje.

23 kwietnia

- W Akademii Sztuk Pięknych wystartowały I Ogólnopolskie Targi Pracy dla studentów i absolwentów Szkół Artystycznych „START”. Okazuje się, że wiele firm poszukuje artystów i projektantów do stałej pracy, m.in. do projektowania wnętrza, wytwarzania ceramiki itp. Firmy odzieżowe i teatry szukają zaś plastyków chętnych do pracy m.in. w pracowniach krawieckich, perukarniach itp.
- W kinie Bodo wyświetlano filmy w ramach X Ogólnopolskiego Festiwalu Kina Afrykańskiego. Hasło tegorocznej „Afrokamery” brzmiało: „Rewolucje na kontynencie afrykańskim”. Można było obejrzeć filmy pełnometrażowe, dokumentalne, a także posłuchać koncertu muzyki w wykonaniu Łódzkiej Grupy Gospel.

26 kwietnia

- Magistrat poinformował, że zrywa w trybie natychmiastowym umowę z organizatorami Fashion Week. Zarzucił im nadużycie zaufania, doprowadzenie do powstania długów, a w konsekwencji antypromocję Łodzi. Jest to wizerunkowa strata dla miasta, które słusznie uważa się za stolicę mody.

27 kwietnia

- W Szpitalu Matki Polki otwarto najnowocześniejszą w kraju klinikę rehabilitacji. Remont i wyposażenie były możliwe dzięki wsparciu Fundacji TVN Nie jesteś sam, która przekazała szpitalowi 20 milionów złotych. Projekt architektoniczny przygotowała Pracownia Atrium z Łodzi, a generalnym wykonawcą była firma Scenokreacje z Warszawy. Klinika będzie mogła przyjmować nawet 200 małych pacjentów dziennie. Na otwarciu kliniki przyjechała Bożena Walter, prezes Fundacji TVN, która zakomunikowała o swoim odejściu na emeryturę po 15 latach kierowania tym przedsięwzięciem i 55 latach pracy dziennikarskiej. W Fundacji zastąpiła ją dziennikarka Katarzyna Kolenda-Zalewska.
- W pomieszczeniach Politechniki Łódzkiej otwarto Konsulat Wielkiego Księstwa Luksemburga. Konsulem honorowym został chemik prof. Wojciech Wolf, który od 10 lat organizuje wymianę studentów między oboma krajami. Ambasador Luksemburga w Polsce Georges Faber podkreślił, że jego kraj, w którym mieszka zaledwie pół miliona mieszkańców, liczy na informatyków z Łodzi oraz na kontakty biznesowe.
- Przy ul. 28 Pułku Strzelców Kaniowskich nr 36 przystąpiono do budowy małych ogródków wkomponowanych w miejską zabudowę. Na Polesiu, najmniej „zielonej” dzielnicy Łodzi, zaplanowano budowę sześciu takich miniparków.

- W Filharmonii Łódzkiej wystąpił zespół Sonatori de la Gloriosa Marca, który od 25 lat wykonuje na instrumentach z epoki muzykę dawnych mistrzów. W Łodzi zagrał utwory pochodzące od końca XVI wieku aż po klasycyzm.

30 kwietnia

- W Łodzi uruchomiono Łódzki Rower Publiczny. Na 100 terminalach można wypożyczyć rower, opłacić go według czasu używania i zostawić na następnej stacji. Terminale są wyposażone w czytniki kart bezdotykowych, migawek, legitymacji studenckich oraz kart debetowych i kredytowych. Rowerów będzie przeszło sto. Wszystkie informacje przygotowano w językach polskim, angielskim i niemieckim.

Personalia:

7 kwietnia

- Marek Michalik, przewodniczący Klubu Radnych Prawa i Sprawiedliwości, został prezesem Łódzkiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej. Działacz opozycji, członek KPN, wydawał w podziemiu gazety i książki drugiego obiegu. Poseł I kadencji Sejmu z ramienia KPN, za rządów AWS wiceminister środowiska, w latach 2002–2004 był wiceprezydentem Łodzi.

11 kwietnia

- Jolanta Chełmińska, b. wojewoda łódzki, została doradcą marszałka województwa łódzkiego do spraw samorządów.
- Tomasz Szymczak został prezesem łódzkiego lotniska. Ma duże doświadczenie w pracy w portach lotniczych. Był m.in. prezesem taniej linii lotniczej Centralwings, wiceprezesem zarządu Welcome Airport Service oraz koordynatorem polskich lotnisk na Euro 2012. „Lotnisko musi się włączyć w rozwój miasta i *vice versa*” – zapowiadał nowy prezes.

20 kwietnia

- Prof. dr hab. Sławomir Wiak został rektorem Politechniki Łódzkiej. Jest absolwentem Wydziału Elektrycznego, specjalistą od informatyki i elektrotechniki. W obecnej kadencji pełnił funkcję prorektora ds. nauczania. Prowadził kampanię wyborczą pod hasłem „Partnerskie przywództwo na ścieżce ambitnego rozwoju”. Zapowiada stworzenie z uczelni lidera badań i innowacji.

25 kwietnia

- Artur Olsiński został p.o. dyrektorem Oddziału NFZ w Łodzi. Od 16 lat pracuje w łódzkim oddziale Wojewódzkim NFZ, w którym przeszedł drogę od szeregowego pracownika do obecnego kierowniczego stanowiska.

Odeszli:**1 kwietnia**

- Aleksander Arkuszyński ps. „Maj” – gen. bryg., w stopniu kapitana AK dowódca oddziału partyzanckiego „Grom-Maj”, uczestnik działań bojowych 25 pp AK Ziemi Piotrkowsko-Opoczyńskiej, członek Ruchu Oporu AK w 1945 roku, uczestnik akcji na więzienie UB w Pabianicach. Odznaczony Krzyżem Virtuti Militari i dwukrotnie Krzyżem Walecznych. Jego biografię można przeczytać w zbiorze VIII wydawanego przez „Kronikę Miasta Łodzi” cyklu *Bohaterowie trudnych czasów*.

9 kwietnia

- Ewa Pankiewicz – dziennikarka, tłumaczka literatury pięknej, przed laty kierownik literacki Teatru Powszechnego.
- Maria Antonina Kepler – w latach 1953–1988 roku kustosz i dyrektor i Muzeum Okręgowego w Pabianicach.

16 kwietnia

- Jan Rutkiewicz – reżyser i kostiumolog, specjalista ds. militariów w polskim filmie, absolwent łódzkiej Filmówki i jej wykładowca oraz dziekan Wydziału Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej, w latach 90. także prorektor ds. współpracy z zagranicą.

18 kwietnia

- Andrzej Duda – chemik, prof. dr hab. związany z Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN w Łodzi, b. wieloletni przewodniczący Sekcji Polimerów Polskiego Towarzystwa Chemicznego, członek Rady Narodowego Centrum Nauki w Krakowie.

19 kwietnia

- Jacek Ojrzyński – dr historii, historyk sztuki, wieloletni kustosz i wicedyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi. Przewodniczący Związku Muzeów Polskich w latach 1991–1997, wykładowca WSP w Częstochowie.

20 kwietnia

- Radosław Kluska – Naczelnik Wydziału Dowodzenia Straży Miejskiej w Łodzi. Zginął potrącony przez pociąg. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego, od 20 lat związany ze Strażą Miejską, przez wiele lat jej rzecznik prasowy. Wielki fan Łodzi i łódzkiego sportu. Świetny strażnik, lubiany przez wszystkich człowiek. Miał zaledwie 46 lat.

23 kwietnia

- Stanisław Liszewski – prof. dr hab. geograf, specjalista geografii społeczno-ekonomicznej, geografii miast i turystyki. Łodzianin, harcerz, rektor Uniwersytetu Łódzkiego w latach 1996–2002, b. dyrektor Instytutu Geografii Miast i Turystyki, prezes Łódzkiego Towarzystwa Naukowego (1999–2015), dr honoris causa Politechniki Łódzkiej, honorowy obywatel Miasta Łodzi. Ceniony naukowiec i wychowawca młodzieży, organizator i pomysłodawca Festiwalu Nauki, Techniki i Sztuki, propagator wiedzy o Łodzi i regionie łódzkim, przez pół wieku związany z Uniwersytetem Łódzkim. Wieloletni członek Polskiego Towarzystwa Geograficznego. Miał 76 lat. Uniwersytet Łódzki zawdzięcza mu powstanie obecnego kampusu.
- Ryszard Jóźwicki – prof. dr hab., specjalista włókiennik, twórca nowatorskich rozwiązań technologicznych, przez 53 lata związany z Instytutem Włókiennictwa, wychowawca i opiekun wielu pracowników naukowych.

28 kwietnia

- Ewelina Nurczyńska-Fidelska – prof. dr hab. Uniwersytetu Łódzkiego, wybitny krytyk i historyk filmu, wykładowca Wyższej Szkoły Sztuki i Projektowania w Łodzi. Twórczyni ośrodka filmoznawczego w Łodzi. Autorka wielu publikacji związanych z edukacją filmową. Pozostało po niej grono współpracowników, przyjaciół, wychowanków filmoznawstwa. Autorka monografii m.in. Andrzeja Munka i Filipa Bajona.

M A J 2 0 1 6

1 maja

- Zaczął działać Łódzki Rower Publiczny. W ciągu trzech pierwszych dni rower wypożyczono 20 tysięcy razy. Problemy ujawniły się w miarę korzystania z rowerów. Zwykle dotyczyły uruchamiania pojazdów, korzystania z terminali. Bardzo rzadko zdarzały się próby wandalizmu.

4 maja

- Siedem tysięcy łódzkich maturzystów przystąpiło do egzaminu maturalnego z języka polskiego; w ciągu 170 minut musieli rozwiązać zadania testowe i napisać wypracowanie na wybrany temat. Do wyboru była interpretacja wiersza Zbigniewa Herberta *Dałem słowo* lub rozprawka na podstawie *Dziadów* cz. IV: „Czy warto kochać, jeśli miłość może być źródłem cierpienia?”. Był też temat związany z *Lalką*

B. Prusa. Pojawiły się pytania związane z poprawnością językową w internecie i frazeologią.

5 maja

Muzeum Kinematografii uczciło 170. rocznicę urodzin Henryka Sienkiewicza wyświetleniem fragmentów filmu *Bartek zwycięzca* z 1923 roku w reżyserii Edwarda Puchalskiego.

7 maja

- Po raz trzeci zorganizowano łódzkie senioralia. Prezydent Hanna Zdanowska przekazała symboliczne klucze do miasta najstarszym mieszkańcom miasta. Dla seniorów wystąpili: pieśniarka Alicja Majewska oraz kompozytor i pianista Włodzimierz Korcz.
- Z cyklu „Lubię wiedzieć” w Muzeum Kultury i Tradycji Wyznaniowych (oddział Muzeum Miasta) wykład pt. *Być kobietą pracującą w Łodzi na przełomie wieków XIX–XX* wygłosiła dr Sylwia Wielichowska.
- Łódzki Fundusz Filmowy przekazał dotacje na filmy fabularne *Wołyń* Wojciecha Smarzowskiego, *Pomiędzy słowami* Urszuli Antoniak oraz na *Powidoki* Andrzeja Wajdy. Dotacje otrzymali także autorzy filmu animowanego *Pamiętniki Florki 3* oraz dwa filmy dokumentalne: *Diagnoza* Ewy Podgórskiej i *Biegacze* Łukasza Borowskiego. Przy ocenie filmów komisja brała pod uwagę projekty związane z Łodzią i województwem, walory artystyczne, a także kryteria ekonomiczne. Dotowane z funduszu filmy będą współprodukowane przez EC-1.
- 60 wybitnych artystów, reżyserów i krytyków sztuki podpisało się pod listem otwartym do prezydent Hanny Zdanowskiej. Sygnatariuszy listu niepokoiła sytuacja związana z obsadą stanowiska dyrektora Teatru Nowego. Prezydent ogłosiła konkurs na dyrektora teatru, gdyż minister kultury nie zgodził się na mianowanie na to stanowisko bez konkursu Krzysztofa Dudka, b. szefa Narodowego Centrum Kultury. Twórcy są głęboko przekonani, że na czele publicznego teatru powinien stać artysta z wizją, który będzie w stanie kontynuować dzieło Kazimierza Dejmka i jego następców.

8 maja

- Dariusz Marciniak, łódzki muzealnik, proponuje pomysł na ożywienie placu Wolności pod hasłem *Plac muzeów*. Mieszczą się bowiem na nim: Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne, Oddział Kultury i Tradycji Wyznaniowych Muzeum Miasta Łodzi, Muzeum Farmacji oraz Muzeum Kanału, czyli „Dętka”. Marciniak

proponuje stworzyć Śródmiejską Kartę Muzealną, obejmującą siedem placówek zlokalizowanych w strefie wokół placu Wolności.

9 maja

- Tereza Barabash z Ukrainy zdobyła Złoty Medal na 15. Międzynarodowym Triennale Tkaniny. Otrzymała także nagrodę Fundacji AKAPI za najlepszy debiut. Srebrne medale otrzymali: Annie Bjørn (Dania) i Laimie Ore-Orzekauskiene (Litwa). Ponadto jury pod przewodnictwem Małgorzaty Wróblewskiej-Markiewicz przyznało cztery brązowe medale i wyróżnienia. Tegoroczne Triennale, które jest jednym z najstarszych festiwali artystycznych o znaczeniu międzynarodowym, zgromadziło aż 130 prac, 135 artystów z 45 państw.

10 maja

- W Muzeum Miasta Łodzi otwarto wystawę pt. *Podróż malownicza. Plenery artystów polskich XIX–XX wieku. Twórczość wybranych artystów* pokazana jest poprzez ich podróże. Widzowie mogą oglądać 40 prac, m.in. rysunki, szkicowniki i obrazy powstałe we Włoszech, Francji, Ukrainie i Jerozolimie.

12 maja

- *Demokracja czy niepodległość. Diabelska alternatywa dla Polski* – pod takim hasłem odbyła się debata z udziałem prezydenta Bronisława Komorowskiego, prof. Tomasza Nałęczą oraz Macieja Klimczaka. Organizatorami byli: TV Toya, KOD, Klub Dyskusyjny im. prof. Władysława Bartoszewskiego i łódzka redakcja „Gazety Wyborczej”.
- Powstanie współczesna opera pt. *Człowiek z Manufaktury*. Jury będzie przewodniczył Krzysztof Penderecki, libretto napisze Małgorzata Sikorska-Miszczyk. Dyrektorzy Teatru Wielkiego Paweł Garbara i Manufaktury Sławomir Murawski podpisali porozumienie w sprawie organizacji konkursu i promocji opery. Premiera planowana jest na listopad 2018 roku, na 185. rocznicę urodzin Izraela Poznańskiego.
- O 14:00 z placu Wolności wyruszył pochód studencki inaugurujący tegoroczne juwenalia. W pasażu Schillera prezydent Hanna Zdanowska przekazała młodym klucze do bram miasta i okolicznościowe prezenty.
- *Sputnik nad Łodzią* to tytuł festiwalu filmów rosyjskich, które raz w tygodniu wyświetlano w sali kinowej Textilimpexu. Widzowie byli częstowani herbatą z samowaru i pierogami. Festiwal trwał miesiąc.

- W ramach cyklu *Czytam, więc jestem* Jerzy Sosnowski spotkał się z czytelnikami w Poleskim Ośrodku Sztuki. Pisarz, publicysta, laureat nagrody Kościelskich promował swoją najnowszą książkę *Sen snów*.
- Dr Adam Sitarek z Centrum Badań Żydowskich i łódzkiego Oddziału IPN został laureatem Nagrody Historycznej „Polityki” w kategorii „Debiut” za książkę *Otoczone drutem państwo*. Książka opisuje łódzkie getto, pokazuje organizację pracy warsztatów zatrudniających mieszkańców, administracji oraz poczty, służby zdrowia, placówek kulturalnych i innych. Teksty uzupełniają liczne fotografie.

13 maja

- W dużej sali obrad Urzędu Miasta podczas uroczystego posiedzenia Rady Miejskiej wręczono Nagrody Miasta Łodzi. Otrzymali je: Krzysztof Cwynar – piosenkarz, poeta, kompozytor, działacz społeczny, założyciel Wędrującej Sceny Integracyjnej; Wojciech Grochowalski – wydawca książek oraz czasopisma „Kultura i Biznes”, pomysłodawca i założyciel Międzynarodowej Fundacji Muzycznej im. Artura Rubinsteina, organizator wielu imprez i festiwali muzycznych związanych z patronem Fundacji; Izabela Janik – kierowniczką środowiskowej świetlicy Caritas przy Piotrkowskiej 85, przeznaczonych dla dzieci z problemami wychowawczymi; Wojciech Nowicki – od 24 lat dyrektor Teatru im. Jaracza w Łodzi, organizator Festiwalu Teatralnego Klasyki Światowej, wiceprezes Unii Teatrów Polskich; Piotr Trzaskalski – reżyser, filmowy, scenarzysta, laureat „Paszportu Polityki”, twórca filmów *Edi* i *Mój rower*, za które otrzymał wiele prestiżowych nagród.
- Odznakami Za Zasługi dla Miasta Łodzi uhonorowano 21 osób, a także Klub Krytyki Politycznej, Klub Miłośników Starych Tramwajów, Miejski Klub Sportowy „Metalowiec” oraz Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Węgierskiej im. Sandora Petőfiiego.
- Zakończył się Festiwal Szkół Teatralnych. Jury w składzie: Agata Duda-Gracz, Piotr Kruszczyński, Marta Nieradkiewicz, Tomasz Wasilewski i przedstawicielka Ministerstwa Kultury Wioletta Laszczka-Bubień przyznało Grand Prix za wybitną osobowość sceniczną – (15 tysięcy zł od ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego) – Marii Dębskiej ze Szkoły Filmowej w Łodzi. Jury doceniło jej role w dwóch spektaklach dyplomowych – tytułową w *Marii Stuart* Schillera w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego oraz *Lekarza i Dygnitarza* w *Laleczce* Williama w reżyserii Jacka Poniedziałka. Z trzech głównych nagród aktorskich (po pięć tysięcy zł) dwie również trafiły do studentek Filmówki – Magdaleny Celmer i Mai Pankiewicz. Pankiewicz dostała też Nagrodę im. Jana

Machulskiego – „Bądź orłem, nie niżaj lotów” (100 dolarów) oraz 1000 zł od łódzkich dziennikarzy. Trzecią nagrodę aktorską dostała Małgorzata Biela z Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Dwie nagrody po 2000 zł ufundował Opus Film, dla „aktorów, których chcielibyśmy oglądać na ekranie telewizyjnym i filmowym”. Doceniono Konrada Eleryka z łódzkiej Szkoły Filmowej i Joannę Rozkosz z PWST w Krakowie; 1500 zł „za wrażenia audialne” Grupa Toya przekazała Karolinie Burek z krakowskiej PWST. Związek Artystów Scen Polskich nagrodził Martynę Trawczyńską z warszawskiej Akademii Teatralnej i przyznał jej Deskę Sceniczną i kwotę trzech tysięcy zł. Swoich faworytów wybrała publiczność. Po dwa tysiące zł dostali Maria Dębska i Krystian Pesta z łódzkiej Szkoły Filmowej.

20 maja

- Na rynku w Manufakturze otwarto Festiwal Czterech Kultur. Jego rozpoczęcie zbiegło się z 10. urodzinami Centrum Handlowego. Widzowie wysłuchali koncertu muzyki ulicznej francuskiej grupy Kermesz a l'Est oglądali monumentalne lalki hiszpańskiego Teatru Carros De Foc. Festiwal oferował wiele wydarzeń muzycznych, m.in. koncert Sinfonia Viva i pianisty Karola Radziwonowicza oraz wiolonczelisty Andrzeja Bauera. Lżejszą muzykę reprezentowali Piotr Rogucki i Stanisława Celińska. Muzyczną gwiazdą był Dhafer Youssef, jeden z najwybitniejszych współczesnych muzyków jazzowych. Do Łodzi przyjechał także francuski duet Underclouds. Scena Plastyczna Leszka Mądzika przygotowała przedstawienie, którego premierę wyznaczono na ostatni dzień festiwalu – 5 czerwca. Spektakl nosi tytuł *Piotrkowska 26. Brama*. Wstęp na wszystkie festiwalowe wydarzenia był bezpłatny.

21 maja

- 10 lat temu otwarto Manufakturę – wówczas największe w tej części Europy centrum rozrywkowo-handlowe. W ciągu dekady Manufaktura stała się jednym z symboli miasta, w ubiegłym roku odwiedziło ją 20 milionów osób. Z okazji święta przygotowano wystawy fotograficzne nawiązujące do historii miejsca, liczne atrakcje dla dzieci i dorosłych oraz koncerty z udziałem m.in. Michała Szpaka. Urodziny świętowano dwa dni.

23 maja

- W Muzeum Kinematografii rozpoczęto zajęcia w kolejnej „Akademii Filmu Polskiego”. Kinomani obejrzeli dwa filmy: *Zimowy zmierzch* w reżyserii Stanisława Lenartowicza oraz *Zagubione uczucia* w reż. Jerzego Zarzyckiego. Po projekcjach wykład wygłosiła dr Paulina Kwiatkowska. Zajęcia w Akademii odbywały się w poniedziałki.

22 maja

- Aleksandrę Śmiałkowską uznano za najpiękniejszą studentkę Łodzi w ramach imprezy Miss Polonia Studentek Łodzi 2016. Miss studiuje kosmetologię w Wyższej Szkole Biznesu i Nauk o Zdrowiu. Do finału weszło 16 dziewcząt. Wybory odbyły się w Centrum Promocji Mody Akademii Sztuk Pięknych. Kandydatki prezentowały stroje specjalnie zaprojektowane na tę okazję przez projektantów znanych firm.

24 maja

- W kinie Szkoły Filmowej Sławomir Grünberg, absolwent Filmówki (od 1981 roku na emigracji w USA), reżyser i operator filmów dokumentalnych, laureat prestiżowych nagród filmowych i nominacji do Oscara, przedstawił swój najnowszy film *Karski i władcy świata*.
- Radni Sejmiku Wojewódzkiego podjęli uchwałę uznającą, że orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego mają powszechnie obowiązującą moc i są ostateczne. Radni PO i PSL zwrócili się do zarządu województwa, by podobnie postępował Urząd Marszałkowski oraz wszystkie jego jednostki. Jednocześnie postanowiono, że stanowisko w tej sprawie nie zostanie przekazane wojewodzie. Radni PiS zapowiedzieli, że sami wystąpią do wojewody z wnioskiem o jego unieważnienie.
- Zespół Szkół nr 1 w Zgierzu startował po raz trzeci do programu Erasmus i otrzymał najwyższe dofinansowanie w wysokości 137 tysięcy euro. Uczniowie podczas wyjazdów do państw unijnych odbywają staże i praktyki w firmach i fabrykach. Dużo zwiedzają, otrzymują kieszonkowe, a zakwaterowanie i wyżywienie mają zapewnione. Na najbliższe staże, prawdopodobnie do Włoch lub Portugalii, ze Zgierza pojedzie 50-osobowa grupa uczniów. Z Łodzi dofinansowanie do Erasmusu otrzymał jedynie Zespół Szkół Ekonomiczno-Turystyczno-Hotelarskich. Do Lizbony pojedzie 60 osobowa grupa. Wielu uczniom, którzy byli już na praktykach za granicą, firmy zaproponowały dwuletnie płatne staże.

28 maja

- Na koncercie Roda Stewarta w Atlas Arenie nie było wolnych miejsc. Najwięcej słuchaczy przyjechało z Warszawy, na drugim miejscu znaleźli się mieszkańcy Łodzi i województwa, a na trzecim poznaniacy. Przybyli także fani z dziewięciu krajów świata, najwięcej z Czech, Słowacji i Ukrainy. 71-letni piosenkarz zaimponował głosem i formą. Publiczność wysłuchała jego największych przebojów. Na zakończenie dwugodzinnego koncertu Stewart zaśpiewał kultowy przebój *Da Ya Think I'm Sexy*.

- Pięć lat temu zmarła Maria Kornatowska, wielka znawczyni kina, krytyk, eseistka, wykładowca w Łódzkiej Filmówce. W przypadające 28 maja urodziny Kornatowskiej Muzeum Kinematografii zorganizowało *briefing* poświęcony książce *Sejsmograf duszy. Kino według Marii Kornatowskiej* pod redakcją Tadeusza Szczepańskiego.
- W EC-1 odbyła się uroczysta gala kończąca Międzynarodowy Konkurs dla Projektantów Ubioru *Złota Nitka*. Główną nagrodę w medialnej części gremium otrzymała Anna Załucka-Kuczera. *Złota Nitka* przypadła Dagny Krzystanek za kolekcję *Steppe*.

Odeszli:

1 maja

- Tadeusz Drewno – jeden z najwybitniejszych polskich kierowników produkcji, inicjator wielu wydarzeń filmowych, profesor Łódzkiej Filmówki, dziekan Wydziału Organizacji Sztuki Filmowej, nauczyciel wielu fachowców tej branży. Wieloletni współpracownik Studia Filmowego „Zebra”. Pracował przy produkcji 80 filmów z czołowymi polskimi reżyserami.

9 maja

- Andrzej Jędrzejczak – b. wiceprzewodniczący Rady Miejskiej, b. radny w latach 90. z ramienia Unii Wolności. Pierwszy przewodniczący tej partii w regionie łódzkim. Inżynier o zainteresowaniach kulturalnych i sportowych. Zawdzięczamy mu m.in. takie projekty, jak ścieżki rowerowe i hejnał łódzki *Prząśniczka* odgrywany w południe z okien magistratu. Doprowadził do uwzględnienia osiedli w strukturze miasta oraz do pierwszych wyborów rad osiedlowych.

15 maja

- Aleksandra Jewtuchowicz – prof. dr hab., kierownik Katedry Gospodarki Regionalnej i Środowiska Uniwersytetu Łódzkiego na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym, dyrektor Instytutu Gospodarki Przestrzennej UŁ, specjalistka z dziedziny ekonomiki rozwoju miast i gospodarki przestrzennej, uczona o wielkim autorytecie.

23 maja

- Andrzej Zieliński – prof. dr hab. n. med. Konsultant krajowy w dziedzinie chirurgii plastycznej, wieloletni pracownik naukowy Kliniki Chirurgii Plastycznej Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, założyciel i wieloletni kierownik Katedry i Kliniki Chirurgii Plastycznej Collegium Medicum im. Rydygiera w Bydgoszczy. Wychowawca wielu pokoleń chirurgów. Lekarz charakteryzujący się wyjątkową empatią w stosunku do pacjentów.

C Z E R W I E C 2 0 1 6

1 czerwca

- Dzień Dziecka obchodzono w tym roku w Łodzi cały tydzień. Atrakcji i ciekawych wydarzeń, zabaw, konkursów, imprez sportowych i filmowych było co niemiara. Żadne dziecko z pewnością się w tych dniach nie nudziło.

- Festiwal Czterech Kultur przyniósł łodzianom pięć dni ciekawej rozrywki. Imprezy muzyczne, przedstawienia plenerowe i teatralne odbywały się głównie na rynku w Manufakturze, w Wytwórni i w OFF Piotrkowska. Tradycyjnie koncertu muzyki klasycznej w wykonaniu orkiestry Sinfonia Viva można było wysłuchać w Kościele Ewangelickim św. Mateusza. Specjalnie dla festiwalu Leszek Mądzik – założyciel Sceny Plastycznej KUL – przygotował przedstawienie uliczne *Piotrkowska 26, Brama*, które dwukrotnie wystawiono w tytułowej bramie. Dla łodzian grały uliczne kapele Timingeriu, Ruach i Vrtach. Nie zabrakło też muzyków z Syrii, Jemenu, Grecji i z Izraela. Festiwal zakończył koncert wiolonczelowy w Sali Lustrzanej Muzeum Miasta. Na wszystkie imprezy był wstęp wolny, wprowadzono jedynie rezerwacje miejsc siedzących.

- W Teatrze Pinokio odbył się VI Międzynarodowy Festiwal Teatralna Karuzela. Festiwal otworzył spektakl gospodarzy pt. *Ronja* według powieści Astrid Lindgren dla starszych dzieci w reż. Karoliny Maciejaszek. Podczas festiwalu widzowie obejrzeli m.in. włoski spektakl *Motyle* Compagnii TPO, *Ojczyznę* Teatru Polskiego z Poznania, *Księżę Niewidzialną* Teatru Guliwer z Warszawy, *Karnawał zwierząt* Białostockiego Teatru Lalek, *Hydrokosmos* Teatru Pantomimy z Wrocławia i *Skórę*, czyli tegoroczny dyplom Wydziału Lalkarskiego Szkoły Teatralnej we Wrocławiu (reżyserem dwóch ostatnich przedstawień jest Konrad Dworakowski). Spektakle gościły na scenach teatrów Pinokio, Nowego, Szwalni i prywatnego Teatru V6. Festiwal zakończył 6 czerwca koncert rodzinny Jerzego Rogiewicza i Igora Nikiforowa. Ważnym punktem festiwalu była konferencja pod hasłem „Jestem...? Bunt i autonomia” z udziałem przedstawicieli Uniwersytetów Łódzkiego i Warszawskiego, Muzeum Sztuki w Łodzi oraz Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie.

4 czerwca

- W rocznicę historycznych wyborów z 4 czerwca 1989 roku w parku Poniańskiego Komitet Obrony Demokracji zorganizował Piknik Wolności. Świętowano rocznicę pokonania władzy komunistycznej i odzyskania przez polskie społeczeństwo wpływów na losy kraju. Piknik oferował wiele atrakcji, konkursów i zabaw dla dzieci. Na scenie występował Krzysztof Skiba oraz zespoły Amcurette, So-

lution, Biba. Stowarzyszenie Klubu Pozytywnej Wyobraźni oferowało łodzianom egzemplarze *Spacernika – śladami łódzkiej opozycji demokratycznej*, kolejnego tomu cyklu *Bohaterowie trudnych czasów*, wydawanego w ramach Biblioteki „Kroniki Miasta Łodzi”.

- Miesięcznik „Perspektywy” zamieścił ranking najlepszych uczelni i najbardziej popularnych kierunków studiów w Polsce. Na 14. miejscu uplasowała się Politechnika Łódzka, na 16. Uniwersytet Łódzki i na 20. Uniwersytet Medyczny. Pierwsze miejsca zajmują, podobnie jak w latach ubiegłych, Uniwersytety Warszawski i Jagielloński. Wśród politechnik góruje Politechnika Warszawska, następnie Wrocławska oraz Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie. Lekarzy najlepiej kształci Collegium Medicum UJ, a także Uniwersytety Medyczne Warszawy i Gdańska.
- W Teatrze im. S. Jaracza odbyła się ostatnia w tym sezonie premiera teatralna. Wystawiono komedię *Bang Bang* Tomasza Jękota w reżyserii Dominiki Knapik. Scenografię projektował Mirosław Kaczmarek, muzykę przygotował Daniel Pi-goński.

8 czerwca

- Stowarzyszenie Inicjatywa Polska zorganizowało „protest parasolkowy” przeciwko planowanemu przez Prawo i Sprawiedliwość zaostreniu ustawy antyaborcyjnej. Protestujące kobiety stukały parasolkami przed Urzędem Wojewódzkim i na ręce nieobecnego wojewody złożyły petycję. Pochód prowadził Dariusz Joński, były poseł SLD.

6 czerwca

- Marcin Kącki, autor nominowanej do nagrody Nike książki *Białystok. Biała siła, czarna pamięć*, spotkał się z czytelnikami w Centrum Dialogu im. Marka Edelmana. Autor, dziennikarz „Gazety Wyborczej”, opowiada o swojej metodzie zbierania materiałów wśród białostockich skinów, kibiców i antysemitów.

7 czerwca

- Krzysztof Dudek, były dyrektor Narodowego Centrum Kultury, wygrał konkurs na stanowisko dyrektora naczelnego Teatru Nowego. Do współpracy dobrać sobie dyrektora artystycznego spośród proponowanych przez zespół Teatru Nowego kandydatów. Nowy dyrektor zamierza proponować teatr tradycyjny. Nie zamierza jednak rezygnować ze sceny alternatywnej. Dodatkowych funduszy na premiery dyrektor zamierza szukać w programach miejskich i ministerialnych.

8 czerwca

- Dr hab. Anna Kowalska-Pietrzak z Katedry Historii Średniowiecznej Uniwersytetu Łódzkiego wygłosiła w Oddziale Kultur i Tradycji Wyznaniowych Muzeum Miasta Łodzi wykład pt. *Co naprawdę wiemy o chrzcie Polski*.

9 czerwca

- W Art Inkubatorze przy ul. Tymienieckiego 3 otwarto 15. Fotofestiwal. Tematem przewodnim była podróż. Po raz pierwszy zdjęcia pokazano na podświetlonych sześcianach na ulicach miasta, w pasażu Rubinsteina i oczywiście na ulicy Piotrkowskiej.

10 czerwca

- Stowarzyszenie Jazzowe Melomani, założone w 1989 roku przez Ireneusza Kowalewskiego, przyznało tegoroczne Oscary Jazzowe. Za osobowość Europy uznano Larsa Danielssona, artystą roku został zespół Atom String Quartet, dziennikarzem, krytykiem – Ryszard Borowski z „Jazz Forum”. Za Nadzieję Melomanów uznano Nikolę Kołodziejczyka. Urszulę Dudziak uhonorowano za całokształt działalności.
- Rozpoczęto V edycję Festiwalu Łódź – miastem kobiet pod przewrotnym hasłem „Gdzie ci faceci?”, którego głównym organizatorem był Akademicki Ośrodek Inicjatyw Kulturalnych. Honorowy patronat nad imprezą sprawowała prezydent miasta Hanna Zdanowska. Festiwal trwający do 25 czerwca oferował możliwość uczestniczenia w wielu imprezach kulturalnych w wykonaniu czołowych polskich aktorów, m.in. Wojciecha Pszoniaka, Jana i Błażeja Peszków. Teatr Scena Poczekalnia założony przez Izabelę Noszczyk (aktorkę Teatru Jaracza) i Sebastiana Nowickiego pokazał monodram według tekstu Pawła Kamzy *Listy do Michaliny*. Fundacja Kamila Maćkowiaka przypomniała *Ławeczkę na Piotrkowskiej* w wykonaniu Kamila Maćkowiaka i Ewy Audykowskiej-Wiśniewskiej. Teatr Piosenki wystąpił z muzycznym spektaklem o Hance Ordonównie pt. *Miłość ci wszystko wybaczy*, a Pracownia Damska prowadzona przez Maszę Bogucką spektakl *One* w wykonaniu amateerek, które podczas warsztatów zastanawiały się, co zrobić ze swoją starością.

11 czerwca

- Na Polesiu odbyło się I Forum Aktywistów Łódzkich. Przybyli na forum społecznicy uczestniczyli w warsztatach organizowanych przez Odnowę Teofilowa, Społecznie Zaangażowanych i Nową Łódź. Głównym celem spotkania było wzajemne poznanie się oraz dyskusja nad pomysłami zmierzającymi do poprawy i urozmaicenia życia w mieście. Projekty będą realizowane m.in. z funduszy budżetu obywatelskiego.

14 czerwca

- Po 71 latach od zakończenia drugiej wojny światowej do Muzeum Archeologiczno-Etnograficznego wróciły eksponaty sztuki afrykańskiej i południowoamerykańskiej wywiezione podczas wojny przez Niemców. Zabytki były eksponowane w latach 30. Cała kolekcja liczyła 1300 egzemplarzy. Kompletował ją ówczesny dyrektor muzeum Jan Mangulewicz, głównie z darów łódzkich podróżników. Obecnie zabytki są własnością skarbu państwa. Wicepremier i minister kultury Piotr Gliński podpisał z dyrektorem muzeum, prof. Ryszardem Grygłem, porozumienie, na mocy którego będzie można wypożyczać odzyskane skarby na muzealne wystawy. Pierwsza odbędzie się jesienią br.

15 czerwca

- Polska Akademia Filmowa ogłosiła rok 2016 rokiem Krzysztofa Kieślowskiego z okazji 20. rocznicy śmierci reżysera przypadającej 13 marca 2016 roku. Muzeum Kinematografii zainaugurowało cykl okolicznościowych imprez spotkaniem z Krzysztofem Zanussim.
- Uczniowie Zespołu Szkół Muzycznych Moniuszki wystąpili w Teatrze Wielkim w spektaklu pt. *Ale opera, czyli krótka historia miłości Sokratesa*. Spektakl reżyserowała Małgorzata Flegel według scenariusza Zofii Ulańskiej, opracowanie muzyczne wykonał Kamil Chałupnik.
- W Centrum Dialogu im. M. Edelmana otwarto wystawę pt. *Lodzer Myszmasz, czyli opowieść o żydowskiej Łodzi*. Otwarcia towarzyszył koncert piosenek żydowskich w wykonaniu Studia Piosenki Domu Literatury.
- W siedzibie Biura Międzynarodowych Wystaw (BIE) w Paryżu wicepremier Piotr Gliński oficjalnie potwierdził kandydaturę Łodzi do organizacji EXPO 2022. Jeśli do 15 grudnia br. nie zgłosi się żaden kontrkandydat, przyznanie imprezy Łodzi będzie tylko formalnością. Prezydent Łodzi Hanna Zdanowska zapewniała, że Łódź będzie przygotowana do imprezy pod hasłem „Miasto wymyślone na nowo”. Oznacza to wielkie zmiany dla Łodzi i nowe doświadczenia dla zwiedzających. EXPO jest projektem rządowym, ekonomiści przewidują, że 40 procent wydanej kwoty może się zwrócić.
- Rada Miejska w Łodzi przyjęła miejski projekt *in vitro*, który opracował i przedstawił prof. Sławomir Wołczyński. Projekt poparła koalicja rządząca miastem. Przeciwni byli radni PiS. W tym roku na ten cel zostanie przekazanych pół miliona złotych, a od przyszłego roku milion.

- Radni udzielili absolutorium za wykonanie budżetu za rok 2015 Hannie Zdanowskiej. Podkreślili jednak, że stan finansów miejskich jest niepokojący, na jednego mieszkańca dług przekracza cztery tysiące złotych.

17 czerwca

- Władysław Frasyniuk, były działacz opozycji demokratycznej i dawny lider Unii Wolności, przyjechał na spotkanie do Pabianic na zaproszenie miejscowego KOD. Uczestniczyło w nim przeszło 500 osób. W. Frasyniuk dzielił się swymi przemyśleniami na temat obecnej sytuacji w kraju, podkreślał potrzebę działania obywatelskiego, odbudowy etycznych zachowań, myślenia perspektywicznego i zmiany pokoleniowej w polityce.
- Stowarzyszenie Śpiewacze Echo obchodzi w tym roku jubileusz 140-lecia. Ten najstarszy łódzki chór powstał w 1876 roku przy kościele pw. Podwyższenia św. Krzyża jako chór męski. W latach 90. XIX wieku powstało Łódzkie Towarzystwo Muzyczne, a chór przyjął obecną nazwę w 1925 roku. W latach międzywojennych zdobywał najwyższe laury na ogólnopolskich konkursach. Odrodził się po wojnie, w 1959 roku. Od lat 80. chór działa jako żeński. Obecnie śpiewa w nim 26 pań. Od 16 lat chórmistrzem jest Ewelina Bień, absolwentka łódzkiej Akademii Muzycznej, a prezesem Towarzystwa Muzycznego Elżbieta Klimowicz. Chór dwukrotnie odznaczono Honorową Odznaką Miasta Łodzi. Z okazji jubileuszu chórzystki wystąpiły na koncercie w Muzeum Miasta Łodzi.

18 czerwca

- Klub Krytyki Politycznej zorganizował pochód upamiętniający wydarzenia sprzed 111 lat znane jako Rewolucja 1905 roku. Na ulice Łodzi wyszli wtedy robotnicy, doszło do strajku powszechnego. Strajkujący domagali się nie tylko poprawy warunków pracy, ale także zniesienia rusyfikacji i autonomii dla Królestwa Polskiego. Naprzeciw demonstrującym władze carskie wysłało wojsko, a w czerwcu ogłoszono stan wojenny. W rocznicowym marszu wzięło udział około 400 osób, które dostały śpiewniki i *Łodziankę* – wydaną na tę okazję jednodniówkę. Pochód zatrzymywał się po drodze, w podwórku przy ul. Piotrkowskiej pod nr 17 oraz przed DH Magda. Teatr Chorea przedstawił inscenizację pracy robotnic.
- Teatr Wielki wystawił dwa balety: *Święto wiosny* do muzyki Igora Strawińskiego i *Krzesanego* do muzyki Wojciecha Kilara. Pierwszy z baletów łodzianie obejrzeni w interpretacji choreograficznej Amerykanki Marthy Graham, *Krzesanego* w reżyserii Henryka Konwińskiego. Konwiński połączył balet z poematem wokalnym

Siwa mgła, w którym wystąpił Arkadiusz Anyszko. Orkiestrę prowadził jak zwykle Tadeusz Kozłowski.

22 czerwca

- Katedra Teorii Literatury UŁ zorganizowała ogólnopolską konferencję pt. *Twórcze pisanie, między uniwersytetem a rynkiem*". Pierwszy dzień zakończył panel dyskusyjny z udziałem Izabelli Morskiej (Uniwersytet Warszawski), pisarki Sylwii Chutnik i Mariusza Szczygła – założyciela Polskiej Szkoły Reportażu. W następnym dniu uczestnicy konferencji dzielili się swymi doświadczeniami pisarskimi.
- Popularny 50 lat temu harcerski zespół muzyczny Alibabki nagrał w studio koncertowym im. Henryka Debicha Radia Łódź płytę *W rytmach Jamaica Ska*, na której znalazły się piosenki tego zespołu sprzed lat w nowej aranżacji.
- Seniorzy łódzcy wyrazili gotowość pracy jako wolontariusze podczas międzynarodowego festiwalu filmowego Transatlantyk. Z taką propozycją wystąpiło po raz pierwszy w Polsce biuro organizacyjne festiwalu. Wybrano kilkadziesiąt osób znających języki obce, obeznanych z kulturą i chętnych do pomocy.
- W Teatrze Wielkim odbyła się gala inauguracyjna festiwalu Transatlantyk Łódź 2016. Impreza, której pełna nazwa brzmi Międzynarodowy Festiwal Filmu Muzyki i Idei, po raz pierwszy odbywa się w Łodzi. Miasto zawarło z organizatorem Janem A. P. Kaczmarkiem umowę na cztery lata i zaoferowało rekordowy jak na łódzkie warunki budżet 4,5 mln zł. Podczas ośmiu dni festiwalu widzowie otrzymali premierowe projekcje światowego kina (blisko 150 filmów), oglądali warsztaty kaskaderskie i kulinarne, uczestniczyli w dyskusjach panelowych. Jednym z najważniejszych wydarzeń okazał się przegląd filmów wykorzystujących technologie rzeczywistości wirtualnej *Czasoprzestrzenie: Kaleidoscope VR*. Fani kina cieszyli się na spotkanie z francuską aktorką Irene Jacob, odtwórczynią głównych ról w *Podwójnym życiu Weroniki* i *Trzech kolorach: Czerwonym* Krzysztofa Kieślowskiego. Imprezy oferują bezpłatny wstęp.

24 czerwca

- W ramach festiwalu Transatlantyk działała w Łodzi tzw. Łózkoteka – kino plenerowe zlokalizowane na ul. Piotrkowskiej między numerami 136 a 142. Filmy można było oglądać, wylegając się na łóżku. Każde łóżko przewidziane na cztery osoby miało własny ekran spełniający też rolę parawanu. Projekcje rozpoczynały się o 22:00, a poprzedzały je wykłady związane tematycznie z wyświetlanym filmem. Bilety w łóżku kosztowały 20 złotych.

29 czerwca

- Rafał Frankiewicz, rzeźbiarz z Pabianic, opiekun grupy Amat Victoria Curam skupiającej amatorów w wieku 55+, zaproponował swoim podopiecznym namalowanie portretów Jarosława Kaczyńskiego, prezesa partii Prawo i Sprawiedliwość. Powstało 35 oryginalnych portretów, które grupa wystawiła w Miejskim Ośrodku Kultury. Na wernisaż, mimo zaproszenia, nie przyszli członkowie PiS. Grupa pragnie sprzedać kolekcję jako całość, bo jak twierdzi Frankiewicz, dopiero portret zbiorowy pokazuje prawdę o wybitnej osobowości. Dodajmy, że artysta nie należy do żadnej partii i nie przenosi poglądów politycznych na płaszczyznę zawodową.
- Minister edukacji Alicja Zalewska zapowiedziała wprowadzenie obowiązkowych zajęć z gry w szachy w najmłodszych klasach szkół podstawowych. Polski Związek Szachowy rozpoczął kursy dla nauczycieli. Przewiduje, że do końca sierpnia przeszkoli nauczycieli z 50 szkół w województwie.
- Społeczniczka Maria Nowakowska zaproponowała, żeby rynek w Manufakturze nosił imię włókniarek łódzkich. Wspólnie z Moniką Długosz-Łempicką, dyrektorem ds. marketingu Manufaktury, podpisała list intencyjny w tej sprawie i przekazała go do Urzędu Miasta.

30 czerwca

- W nowym roku akademickim Politechnika Łódzka uruchomi na Wydziale Włókiennictwa nowy kierunek studiów: Przemysł Mody. Absolwenci kierunku będą się kształcić w zakresie materiałoznawstwa, technologii, kreowania mody i zarządzania.

Odeszli:**2 czerwca**

- Andrzej Niemczyk – wybitna postać polskiej siatkówki, wieloletni trener żeńskiej reprezentacji tej dyscypliny sportu, która dwukrotnie zdobyła złote medale podczas mistrzostw Europy. Prezydent Andrzej Duda odznaczył pośmiertnie trenera Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Został pochowany w Alei Zasłużonych na cmentarzu na Dołach. Zmarłego pożegnali przedstawiciele władz państwowych, sportowcy i licznie zebrani kibice.

25 czerwca

- Monika Dzienisiewicz-Olbrychska – łodzianka, aktorka, reżyserka, wykładowca w Łódzkiej Filmówce.

Opracowała: Małgorzata Golicka-Jabłońska